

Kurt VONNEGUT



Wonnigut a Vonnegucia I p. sarrickel:  
frankczka, osbro f. z. maddclajq.  
„The New York Times Book Review”

Losy gorsze od śmierci



**Kurt Vonnegut**

**Losy gorsze od śmierci**

**przekład: Jan Rybicki**

# Spis treści

## Przedmowa

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

XX

XXI

RÓWNOCZEŚNIE POSŁOWIE DO NOWEGO

UWAGI

KAREL ČAPEK, „O LITERATURZE”, ZE ZBIORU

UWAGI

CO BERNARD O’HARE MIAŁ DO POWIEDZENIA

UWAGI

Z „PRZEWODNIKA BOMBARDIERA”

UWAGI

TEKST MSZY ŻAŁOBNEJ, WPROWADZONEJ

ŁACIŃSKI PRZEKŁAD MOJEJ MSZY

NIGDZIE DOTĄD NIE PUBLIKOWANY ESEJ,

MOJA ODPOWIEŹ NA LIST

Wszelkie postacie tak żywe, jak umarłe, są całkowicie przypadkowe i jako takie nie powinny być brane dosłownie. Autor nie zmienił ani jednego nazwiska żadnej z występujących tu osób, bo Bóg Wszechmogący i tak chroni niewinnych.

### *Pamięci Kurta Vonneguta seniora*

Boże, który wspierałeś mnie dotąd, pozwól mi nadal prowadzić to dzieło i wszystko, co czynię w obecnym wcieleniu, bym - gdy ostatniego dnia będę zdawać sprawę z powierzonych mi talentów - otrzymał przebaczenie w imię Jezusa Chrystusa, Pana Naszego. Amen

SAMUEL JOHNSON

zapis w dzienniku z dnia 3. kwietnia 1753, podczas pracy nad Słownikiem języka angielskiego.

I dlatego 3. kwietnia można uważać za „Dzień Pisarza”.

## *Przedmowa*

Na zdjęciu obok, zrobionym przez Jill Krementz (moją żonę) jestem z wielkim pisarzem niemieckim, Heinrichem Bóllem (byłym szeregowcem piechoty, podobnie jak ja, Norman Mailer, James Jones i Gore Vidal). Jedziemy autobusem turystycznym na zwiedzanie Sztokholmu w czasie międzynarodowego zjazdu PENklubu, organizacji pisarzy (Poetów, Powieściopisarzy, Eseistów, Nowelistów) odbywającego się w 1973 roku. Właśnie opowiedziałem Bollowi o pewnym niemieckim weteranie drugiej wojny światowej (moim znajomym stolarzu z przylądka Cod), który przestrzelił sobie udo, żeby go nie wysłali na front wschodni. Rana zagoiła się, zanim jeszcze dojechał do szpitala (była mowa o sędzie wojennym i plutonie egzekucyjnym, ale tymczasem Armia Czerwona wzięła do niewoli cały szpital). Boll odparł na to, że najlepiej postrzelić się przez bochenek chleba, żeby w skórze nie zostały spalone ziarenka prochu. Z tego właśnie śmiejemy się na zdjęciu. (Trwała wówczas wojna wietnamska, podczas której na pewno wielu piechurów zastanawiało się, czy nie zranić się własnoręcznie, a potem udać, że dokonał tego wróg).

Później (kiedy już przestaliśmy się śmiać) stwierdził, że po wojnie francuscy pisarze, Jean-Paul Sartre i Albert Camus, uganiali się za niemieckimi kolegami po piórze, żeby ich zapytać: „A jak wyście to widzieli?” (Podobnie jak Sartre i Camus, Boll także miał otrzymać literacką nagrodę Nobla). Na rok przed śmiercią - w 1984 - Boll, który skończył wówczas sześćdziesiąt siedem lat (ja osiągnąłem ten wiek rok temu, a nadal palę tyle, co on), zaprosił mnie do telewizyjnego dialogu o niemieckości, nagrywanego i opracowywanego dla BBC. Poczuję się zaszczycony, bo uwielbiałem i tego człowieka, i jego twórczość. Zaproszenie przyjąłem. Program był kompletnym niewypałem, mglisty, melancholijny i dość bezsensowny, choć co jakiś czas wyświetlają go w amerykańskiej telewizji kablowej, kiedy akurat nie mają nic lepszego. (Służymy tam jako pakuły owinięte wokół tandetnej biżuterii w wielkim pudle, żeby się nie obiała). Zapytałem go wtedy, jaka jest najniebezpieczniejsza wada narodowa Niemców, a on odparł: „Posłuszeństwo”.

A oto ostatnie słowa, jakie wypowiedział do mnie za życia (chodził już wtedy o dwóch laskach, a dalej dymił jak komin; w zimnej, londyńskiej mżawce wsiadał do taksówki na lotnisko): „Och, Kurt, tak mi ciężko, tak mi c i ę ż k o”. Był jednym z ostatnich wśród swych rodaków, którzy czuli jeszcze żal i wstyd z powodu roli, jaką odegrał ich kraj w drugiej wojnie światowej i tego, co ją poprzedziło. Na stronie wyznał mi, że nie cierpią go za to, że pamięta, gdy przyszedł czas zapomnienia.

Czas zapomnienia.

Przedmowę pisze się zwykle na samym końcu, chociaż właśnie ją pierwszą ma zobaczyć czytelnik. Minęło sześć miesięcy od ukończenia zasadniczej części niniejszej książki. Dopiero teraz, gdy wraz z moją redaktorką, Faith Sale \*, szukujemy to stworzenie do spania, doszywam dla niego taką kołderkę. W tym czasie moja córka Lily zdążyła skończyć osiem lat. Zawaliło się imperium rosyjskie. Całą broń, której, jak nam się zdawało, mogliśmy kiedyś użyć na ZSRR, stosujemy teraz bez obciachu i oporu przeciwko Irakowi, państwu o szesnastokrotnie mniejszej liczbie ludności niż USA. Mowa, wygłoszona wczoraj przez naszego prezydenta, na temat dlaczego nie było innego wyjścia i musieliśmy zaatakować Irak, miała najwyższą oglądalność w historii telewizji, bijąc wieloletni rekord, należący, pamiętam, do Mary Martin w Piotrusiu Panu. Tak jest; również wczoraj następująco wypełniłem kwestionariusz przedstawiony mi przez brytyjski tygodnik Weekly Guardian:

Pytanie: Co jest dla pana doskonałym szczęściem? Odpowiedź: Wyobrażanie sobie, że gdzieś jest coś, co chce, żeby nam się tu podobało.

P: Kogo z żyjących podziwiał pan najbardziej?

O: Nancy Reagan.

P: Jakiej cechy najbardziej nienawidzi pan u innych?

O: Darwinizmu społecznego.

P: Jakim samochodem pan jeździ?

O: Honda accord rocznik 1988.

P: Jaki jest pana ulubiony zapach?

O: Ten, który wydobywa się przez tylne drzwi piekarni.

P: Jakie jest pana ulubione słowo?

O: „Amen”.

P: Jaka jest pana ulubiona budowla?

O: Chrysler Building na Manhattanie.

P: Jakiego słowa lub zwrotu najbardziej pan nadużywa?

\* Może rzeczywiście nazywa się tak pani redaktor tej książki, ale warto wiedzieć, że Faith to po angielsku wiara, zaś Sale - sprzedaż.

O: „Przepraszam”.

P: Kiedy i gdzie czuł się pan najszcześniejszy? O: Jakies dziesięć lat temu mój fiński wydawca zabrał mnie w swym kraju do małej gospody na skraju wiecznej zmarzliny. Poszliśmy na spacer i znaleźliśmy dojrzałe jagody, zmrożone na krzaczkach. Roztapiały nam się w ustach. Było tak, jakby gdzieś istniało coś, co chce, żeby nam się tam podobało.

P: Jak chciałby pan umrzeć?

O: W katastrofie samolotowej na szczycie Kilimandżaro.

P: Jakiej umiejętności pragnąłby pan najbardziej dla siebie?

O: Gry na wiolonczeli.

P: Jaka jest pana najbardziej przeceniana zaleta?

O: Zęby.

**K.V.**

17. stycznia 1991.



Oto dalszy ciąg - nie żeby ktoś się szczególnie o niego upominał - książki zatytułowanej Niedziela palmowa (1980), będącej zbiorem esejów i mów mojego autorstwa, opatrzonych ulotnym, autobiograficznym komentarzem, służącym za tkanę łączną, gips i bandaż. A więc jeszcze raz przebieramy samo życie i poglądy za wielkie, nieprawdopodobne zwierzę, przypominające wytwory bujnej wyobraźni doktora Seussa (wielkiego pisarza oraz ilustratora książek dla dzieci), takie jak odąg, trząś, loraks, albo choćby świszcz.

Albo jednorożec, ale to już nie jest wymysł Seussa. (Doktor Seuss nazywał się naprawdę Theodor Geisel. Urodził się w roku 1904, a ja w 1922). Gdy w roku 1940 poszedłem na uniwersytet Cornell, zapisałem się do studenckiej korporacji Delta Epsilon. Korporacja posiadała w piwnicy bar; jego ściany, na wiele lat, zanim ja tam trafiłem, ozdobił ołówkiem doktor Seuss. Potem jakiś inny artysta, członek Delta Epsilon, utrwalił owe rysunki farbą. (Dla tych, którzy nie znają rysunków doktora Seussa: przedstawiają one zwierzęta o nieprawdopodobnej liczbie stawów, o kompletnie zwariowanych uszach, nosach, ogonach i nogach, zwykle w jaskrawych kolorach, takich, jakie podobno jawią się ludziom cierpiącym na delirium tremens. Ktoś mówił mi, że ludzie z delirium tremens znacznie częściej widują jednak białe myszki).

Doktor Seuss chodził do Dartmouth i nie należał do Delta Epsilon, ale ściany zarysował, gdy hulał w Ithaca z kolegą-malarzem, Hughem Troyem, który był w Cornell i Delta Epsilon. Troy okazał się również mistrzem dowcipu sytuacyjnego (na żadnym nie zarobił ani grosza. Wszystkie żarty pozostawały całkowicie pro publico bono). Kiedy studiowałem na pierwszym roku, Troy odwiedzał swą dawną korporację, racząc mnie i mych smarkatych współkorporantów historyjkami o swych wyczynach.

Opowiedział nam, jak kiedyś udało mu się na trzech przystankach całkowicie opróżnić jeden wagon nowojorskiego metra. Wsiadł do niego z wieloma! kumplami, którzy mieli udawać, że się nie znają.

Działo się to w Nowy Rok o świcie. Każdy z konspiratorów trzymał w ręce egzemplarz Daily News z wielkim nagłówkiem KŁĘSKA HOOVERA, ZWYCIĘSTWO ROOSEVELTA. Troy przechowywał je od roku, tzn. od czasu zdecydowanego zwycięstwa wyborczego Roosevelta (czyli musiało to być na samym początku 1934 roku. Miałem wtedy jedenaście lat, a Wielki Kryzys - cztery).

Innym razem Troy kupił ławkę, taką jak w parku, i uparł się, żeby wypisali mu rachunek. Razem z kolegą postawili ją w Central Parku, a gdy zobaczyli policjanta, porwali ławkę i rzucili się do ucieczki. Policjant dogonił ich, a wtedy Troy pokazał rachunek. Robili to wiele razy, aż wszyscy policjanci w tym rejonie wiedzieli już, że ławka należy do Troya. Wówczas dowcipnisie zaczęli zbierać inne ławki - policja nie reagowała - po czym ułożyli je w jeden wielki stos w jakimś zakątku parku.

Nawet w mych najbardziej sałatowych latach (bo byłem wtedy „zielony”) uważałem to za dość głupi dowcip - tyle zachodu... Ale słuchałem Troya z wielkim szacunkiem, bo na uniwersytet z Ivy League \* trafiłem z państwowej szkółki z Indianapolis, żebym nabrał ogłady. (Gdybym poszedł na uniwersytet Indiana, Purdue, Wabash czy DePauw\*\* byłbym teraz może kongresmenem albo senatorem).

Po wyjeździe Troya sam spróbowałem swych sił na polu dowcipu sytuacyjnego. Chodziłem na końcowe egzaminy z kilku ważnych przedmiotów, na które sam nie uczęszczałem. W trakcie egzaminu wstawałem, darłem na strzępy kartkę z pytaniami, rzucałem je w twarz egzaminatorowi i wychodziłem trzaskając drzwiami. Musiałem chyba zainspirować wielu naśladowców, bo nastąpiła

prawdziwa epidemia takiego zachowania na egzaminach.

Sukces!

Mój ostatni wyczyn w Cornell, podobnie jak ten pierwszy, zrobił głupka wyłącznie ze mnie. Wszyscy mężczyźni musieli wówczas przez dwa lata chodzić na kurs oficerski. Chcecie, to wiercie, chcecie, nie wiercie: ja byłem w artylerii konnej (tak dawno to było). Pod koniec drugiego roku moich studiów Ameryka toczyła już wojnę z Niemcami, Włochami i Japonią. Zgłosiłem się do wojska i czekałem, aż mnie wezwą. Wizytował nas jakiś generał. Na inspekcji pojawiłem się udekorowany wszystkimi medalami i odznakami - pływackimi, harcerskimi, nawet za chodzenie do szkoły niedzielnej - jakie tylko zdołałem pożyczyć od kolegów. Chyba odbijało mi już kompletnie, bo oblewałem równo wszystkie egzaminy, w tym też z kursu oficerskiego.

\* „Liga bluszczowa” - zbiorcze określenie najstarszych, najlepszych i/lub najbardziej renomowanych uniwersytetów amerykańskich. (Odtąd wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

\*\* Uniwersytety niewiele gorsze od tych z Ivy League, ale mniej renomowane, bo znajdujące się na Środkowym Zachodzie. Generał zapytał, jak się nazywam, ale poza tym nic nie powiedział. Jestem jednak przeświadczony, że musiał to sobie zapamiętać, i słusznie, a jego raport z inspekcji włókł się za mną, i słusznie, przez następne trzy lata mojej służby w wojsku, z góry przesądając o tym, że nigdy nie wyszedłem poza rangę szeregowca. Dobrze mi tak; była to zresztą jedna z najlepszych rzeczy, jaka mi się przytrafiła (niedouczonego starszego szeregowca musi m y ś l e ć o tylu sprawach!). Kiedy wojna się skończyła (czterdzieści pięć lat temu!), jak wszyscy inni miałem prawo do noszenia zgodnych z regulaminem i godnością żołnierza naszywek i wstążek. Ze złośliwą satysfakcją mogę teraz, gdy wiem, jak na nie zapracowałem, uznać, że warte są akurat tyle, co pożyczone błyskotki, które przypiąłem do munduru z okazji tej tak brzemiennej w skutki inspekcji na kursie oficerskim. Zaczęło się od kawału i na kawale się skończyło. To chyba dość udana zapowiedź przyszłych wypadków, co?

Czy to możliwe, żeby ktokolwiek poszedł na uniwersytet z Ivy League po to, by do końca życia pozostać starszym szeregowcem? Owszem: ja tak właśnie zrobiłem. (I Norman Mailer też. On również ma co opowiadać).

Należało do tradycji w indianapolitańskiej gałęzi naszej niegdyś wielkiej i trzymającej się razem rodziny, by jechać na studia na wschód, ale po skończeniu ich wrócić do Indianapolis. Wujek Aleks poszedł na Harvard. Jako pierwsze zadanie domowe miał napisać wypracowanie o tym, dlaczego chce studiować właśnie tam. Opowiadał mi, że zaczął swą pracę od następującego stwierdzenia: „Poszedłem na Harvard, bo na MIT \* jest już mój starszy brat”.

\* Massachusetts Institute of Technology - jedna z najbardziej prestiżowych uczelni technicznych USA. Tym starszym bratem był Kurt senior, mój ojciec, który studiował wtedy architekturę. Wiele lat później, gdy wcielono mnie do armii jako starszego szeregowca bez możliwości awansu, ojciec powiedział: „I bardzo dobrze! Może wreszcie nauczą cię porządku!” (Potrafił zachowywać się bardzo zabawnie, ale wtedy wcale nie żartował. Miał całkiem poważną minę. To chyba świadczy o tym, jak okropnym byłem bałaganiarzem). Kiedy umarł, w geście freudowskiego kanibalizmu przestałem używać dodatku „junior” do nazwiska. (Przez to na liście moich dzieł występuję równocześnie jako ojciec i syn, Kurt Vonnegut i Kurt Vonnegut junior). Tak o nim napisałem w Architectural Digest:

„Gdy mój ojciec miał lat sześćdziesiąt pięć, a ja dwadzieścia siedem, stwierdziłem kiedyś, uważając iż jest strasznie stary, że jego zawód musiał sprawiać mu ogromną przyjemność. Niespodziewanie odpowiedział, że to wcale nie było przyjemne, architektura zaś to nie sztuka, ale księgowość. Poczułem się oszukany, bo dotąd zawsze wpajał we mnie przekonanie, że architektura

jest dla niego naprawdę świetną zabawą.

Teraz rozumiem, że to oszustwo, którego tak nagle zaniechał, było przejawem najwyższego honoru i odwagi. Gdy podrastaliśmy, ja i dwoje rodzeństwa, karmił nas złudzeniem, że nasz zwawy ojciec szczyli się dotychczasową karierą zawodową i cieszy się czekającymi go jeszcze, trudnymi ale ciekawymi wyzwaniem. W rzeczywistości Wielki Kryzys, a potem druga wojna światowa, kiedy właściwie nikt nic nie budował, o mało kompletnie nie usadziły Kurta Vonneguta seniora jako architekta. Między czterdziestym piątym a sześćdziesiątym pierwszym rokiem życia nie miał prawie nic do roboty. W czasach prosperity byłyby to najlepsze lata, w których jego oczywisty talent, renoma i dojrzałość mogłyby przekonać jakiegoś nie pozbawionego resztek wyobraźni klienta, że ojciec, nawet w Indianapolis, godny jest wielkości lub, jak kto woli, ubawu po pachy. Nie zamierzam opowiadać tu o zupkach dla bezrobotnych, choć od jakiegoś czasu znów o nich u nas głośno. W czasie Wielkiego Kryzysu w naszym domu zawsze znalazło się coś do jedzenia. Mimo to ojciec musiał zamknąć biuro, założone jeszcze przez jego ojca, pierwszego dyplomowanego architekta w Indianie, i zwolnić wszystkich sześciu pracowników. Co pewien czas trafiały mu się drobne zamówienia, ale teraz wiem, że były tak mało interesujące, iż usnęłyby nad nimi licealiści uczący się rysunku technicznego. Gdyby nie smutny fakt, że rodzina potrzebowała pieniędzy, mógłby mówić wówczas to, co potem, po wojnie, gdy w kraju znów zaczęło się ludziom lepiej powodzić, powiedział w mojej obecności niedoszłemu klientowi: „Wie pan co? Niech pan lepiej kupi sobie parę ołówków i trochę papieru w kratkę. Usiądzie pan razem z żoną, może akurat...” Wyraził to w bardzo miły sposób, emanował czystą życzliwością.

W czasie wojny kompletnie zarzucił architekturę. Pracował jako intendent w fabryce pił Atkinsa, gdzie produkowano jakąś broń, pewnie bagnety. W tym czasie zmarła jego żona. Zrozumiał też, że gdy wojna się skończy, żadne z jego dzieci nie zamieszka w Indianapolis, że każde z nas będzie miało własną pracę daleko od rodzinnych stron. To znów o mało go nie usadziło.

Kiedy do Indianapolis powrócił dobrobyt, ale nie dzieci, ojciec zaczął pracować w biurze projektowym kierowanym przez znacznie młodszych ludzi. Nadal cieszył się doskonałą renomą; był jednym z najbardziej kochanych ludzi w mieście; założył nawet, znane obecnie na cały świat, tamtejsze Muzeum Dziecięce. Szczególnie podziwiano go za projekt siedziby Bell Telephone na North Meridian Street, który zrobił jeszcze przed krachem na giełdzie. Po wojnie w Bell Telephone postanowiono nadbudować jeszcze kilka pięter, ale tak, żeby w niczym nie różniły się od ośmiu już istniejących. Wynajęto do tego innego architekta, choć ojciec ani przedwcześnie się nie postarzał, ani się nie zapijał; naprawdę był w pełni sił. Dla firmy architekt to architekt. Ważne, że dostali projekt. Tyle właśnie jest romantyzmu w architekturze.

Wkrótce potem ojciec przeniósł się do okręgu Brown w stanie Indiana, gdzie spędził samotnie resztę życia jako garncarz. Zbudował sobie koło garncarskie. Zmarł w tej pagórkowatej okolicy w roku 1957, w wieku siedemdziesięciu dwóch lat.

Gdy teraz usiłuję przypomnieć sobie, jaki był, kiedy dorastałem - właśnie wtedy czerpał ze swej pracy zawodowej tak mało satysfakcji - wyobrażam go sobie jako Śpiącą Królową, pogrążoną w letargu, na polanie w gęstym lesie czekającą na księcia. Stąd już o krok do następnego skojarzenia: wszyscy architekci, jakich znam, i w dobrych, i w złych czasach, sprawiają wrażenie, że czekają na tego jednego, hojnego klienta, który sprawi, że staną się wreszcie wzniosłymi artystami, jakimi się urodzili.

Można więc uważać, że życie mojego ojca było dość ponurą bajką. Jeśli stał się Śpiącą Królową, to w roku 1929 nie jeden, lecz kilku książąt, w tym Bell Telephone, zaczęło przedzierać się ku jego polance przez gęsty las, żeby go obudzić. Ale nagle książęta zachorowali na całe szesnaście lat, a

przez czas ich pobytu w szpitalu zła czarownica zmieniła Śpiącą Królową w Śpiącego Rycerza.

Kiedy nadszedł Kryzys, przeniesiono mnie ze szkoły prywatnej do państwowej, więc przyjechałem teraz do domu nowych kolegów, żeby zobaczyli, jakiego mam ojca. To właśnie te dziesięcioletnie chłopskie dzieci z Indiany uświadomiły mi, że mój ojciec jest czymś równie egzotycznym, jak jednorożec.

W epoce, gdy mężczyźni z jego klasy społecznej nosili ciemne garnitury, białe koszule i monochromatyczne krawaty, ojciec ubierał się tak, jakby wszystko kupował w Armii Zbawienia. Ani jeden element jego garderoby nie pasował do pozostałych. Teraz wiem, oczywiście, że wszystko dobierał z wielką starannością, tak operując odmiennymi barwami i materiałami, by uzyskać efekt interesujący, a w rezultacie - piękny.

Podczas gdy inni ojcowie gawędzili ponuro o węglu, żelazie, zbożu, drewnie, cemencie i tak dalej, no i jeszcze o Hitlerze i Mussolinim, ojciec namawiał zarówno przyjaciół, jak i zdumionych nieznajomych, by zwrócili uwagę na jakiś przedmiot, znajdujący się w zasięgu ręki czy to w przyrodzie, czy wytworzony przez człowieka, i cieszyli się nim jak dziełem sztuki. Kiedy zacząłem grać na klarncie, ogłosił, że ten czarny, nabijany srebrem instrument jest dziełem sztuki. Nieważne, czy wydobywała się z niego muzyka, czy nie. Uwielbiał szachy, chociaż w ogóle nie umiał w nie grać. Któregoś dnia przynieśliśmy mu z nowymi kolegami ómę, żeby nam powiedział, co to za óma. Nie wiedział, jak się nazywa, ale wszyscy zgodziliśmy się jak jeden mąż: było to dzieło sztuki.

Był też pierwszym obywatelem świata, jakiego widzieli w życiu moi nowi koledzy, i zapewne również ostatnim. Politykę i granice polityczne szanował akurat tak jak (znowu ten sam obraz) jednorożec. Piękno może powstawać wszędzie na świecie, i tyle. AT&T wybudowało jeszcze inny budynek, ten na wyspie Manhattan, niedaleko miejsca, w którym mieszkam. Przedsiębiorstwo telefoniczne znów obyło się bez mojego ojca, którego i tak nie dałoby się już dobudzić. Zamiast niego wynajęto Philipa Johnsona, taką Śpiącą Królową, którą przez całe dorosłe życie łaskotały, by się zbudziła, całe tłumy żarliwych księżąt.

Czy mam teraz szaleć ze złości, że Los nie dał ojcu tyle radości, co panu Johnsonowi?

Usiłuję wyobrazić sobie, że ojciec przemawia do mnie ponad przepaścią, dzielącą żywych od umarłych, i słyszę: „Nie żałuj mnie, że w sile wieku na próżno czekałem na romantyczne wyzwania. Jeżeli teraz, po tylu latach, chcesz wyryć coś na moim skromnym grobie na cmentarzu Crown Hill, napisz:

»WYSTARCZYŁO MI, ŻE BYŁEM JEDNOROŻ-  
CEM\*».

Tyle artykuł. Ze wzruszeniem dodaję, że ojciec usiłował umożliwić sobie powrót do miłych sercu chwil (nic łatwiejszego dla Tralfamadorczyków z mojej powieści Rzeźnia numer pięć), naklejając miłe sercu pamiątki na płytkę pilśniową i pokrywając je lakierem bezbarwnym. To dzięki ojcu właśnie na ścianie mojego gabinetu wisi teraz tak zmumifikowany list:

„Drogi Tato!

Sprzedam pierwsze opowiadanie do Collier's. Wczoraj w południe dostałem wypłatę (750 dolarów minus 10 procent prowizji dla agenta). Wygląda na to, że w najbliższej przyszłości uda mi się sprzedać jeszcze dwie rzeczy.

Chyba coś drgnęło. Pieniądze wpłaciłem na konto, a kiedy i jeśli znowu coś sprzedam, zrobię to samo, dopóki nie będę miał równowartości rocznej pensji w General Electric. Wystarczą na to spokojnie cztery opowiadania, i nawet mi trochę zostanie (tego jeszcze u nas nie było), a wtedy rzucę tę cholerną, koszmarną pracę i póki życia nie poszukam drugiej, tak mi dopomóż Bóg.

Od lat nie czułem się tak szczęśliwy.

Całuję cię”.

List jest podpisany pierwszą literą mojego imienia, bo tak mnie nazywał. Nie jest to żaden kamień milowy w dziejach literatury, ale przy mojej osobistej, wąskiej ścieżynce od narodzin do śmierci piętrzy się jak Stonehenge. Nosi datę 28 października 1949 roku. Na odwrocie ojciec dokleił list od siebie, wykaligrafowany jego pięknym charakterem pisma cytata z Kupca weneckiego:

Przysięga moja w niebie zapisana

Krzywoprzysięstwem mamże się obciążyć? \*

\* Przekład L. Ulricha.

## II

Powiadają, że jeśli dziewica usiądzie na polanie w lesie zamieszkiwanym przez jednoroźca, zwierzę to przyjdzie do niej i złoży jej głowę na podołku. Tak najlepiej złapać jednoroźca. Bez wątpienia sposób ten odkryła jakaś dziewica, która siadła sobie na leśnej polanie i wcale nie zamierzała niczego łapać. Ten jednorożec, który przybiegł złożyć jej głowę na podołku, musiał narobić jej kupę wstydu. (Co dalej?)

W domu mojego dzieciństwa i młodości taką dziewicą była moja siostra Alice, zmarła wiele lat temu (cholernie mi jej brak), a nieuchwytnym, niesamowitym, zczarowanym jednorożcem - ojciec. Nie potrafiłem go złapać ani ja, ani starszy brat, ten, co był na MIT, Bernard. Nie interesowaliśmy go zbyt; jeśli o nas chodzi, nie robiliśmy z tego wielkiej tragedii. Byliśmy twardzi, dawaliśmy sobie radę, mieliśmy innych fanów.

(Kiedyś moja córka Edith wyszła bardzo nieszczęśliwie za człowieka nazwiskiem Geraldo Rivera, który teraz, gdy piszę te słowa, przeprowadza w popołudniowych programach telewizyjnych wywiady z ludźmi, którym przytrafiło się coś niezwykłego. Wspominam o nim w tym miejscu, ponieważ niektórych z jego gości napastowali seksualnie członkowie bliskiej rodziny. Dodaję szybko, że mojej siostry, starszej ode mnie o pięć lat, nasz łagodny ojciec nigdy nie napastował seksualnie. Jak dziewica, w której podołku składał głowę jednorożec, była w najgorszym razie po prostu zadziwiona).

Nasz ojciec, gdy ja, jego najmłodsze dziecko go poznałem, rozpaczliwie pragnął bezkrytycznej przyjaźni osoby płci podobno litościwej, ponieważ nasza mama (a jego żona) stopniowo traciła rozum. Późną nocą, zawsze tylko w ciszy domowego ogniska, nigdy przy gościach, dawała upust nienawiści do ojca, nienawiści zżęcej jak kwas fluorowodorowy. Kwas fluorowodorowy potrafi przegryźć się przez szklaną butlę, potem przez blat stołu, potem przez podłogę i tak dalej, aż do Piekła.

(Ale nie przez wosk. Za moich czasów w korporacji Delta Epsilon - większość jej członków kształciła się w przedmiotach technicznych - w Cornell krążył dowcip: „Jeśli uda ci się odkryć doskonały rozpuszczalnik, to w czym go będziesz przechowywać?” Poza tym znacznie lepszym rozpuszczalnikiem niż kwas fluorowodorowy jest woda, tylko że woda nie potrafi przegryźć się przez szkło).

W Niedzieli palmowej upierałem się, że nie leczona i nie rozpoznana choroba umysłowa mamy była wywołana przez szkodliwe substancje chemiczne, nie te, które sama produkowała w swoim organizmie, ale te, które przyjmowała doustnie, a konkretnie alkohol i nieograniczone wprost ilości zapisywanych jej przez lekarza barbituranów. (Nie dożyła czasów, kiedy lekarz szpikowałby ją amfetaminą). Z chęcią uwierzyłbym w dziedziczność jej choroby, ale wśród moich amerykańskich przodków (skrupulatnie wyliczonych w Niedzieli palmowej) brak klinicznych wariatów. A zresztą co mnie to obchodzi? Przodków się nie wybiera, a mózg i całą resztę traktuję jako wybudowany na wiele lat przed moim urodzeniem dom, w którym mieszkam.

Naprawdę mieszkam w domu na Manhattanie,  
wybudowanym przez spekulanta nazwiskiem L.S.

Brooks w roku 1862. Ma pięć i pół metra długości i czternaście metrów szerokości, parter i dwa piętra (dom, nie Brooks. Brooks postawił dwadzieścia identycznych domów, i to wszystkie naraz!)

W czasie obrzydliwej kampanii o urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej między Bushem a Dukakisem (kiedy to obaj kandydaci obiecywali, że zajmą się ochroną wszystkich boga-

tych ludzi o jasnej skórze przed wszystkimi biednymi o ciemnej skórze), poproszono mnie, bym wygłosił mowę na konferencji Amerykańskiego Związku Psychiatrów w Filadelfii. Mój odziedziczony mózg i struny głosowe powiedziały zebranym, co następuje:

„Witam wszystkich z najwyższym szacunkiem.

Trudno uszczęśliwić nieszczęśliwych, chyba że potrzeba im tego, co łatwo przepisać: na przykład jedzenia, schronienia czy współczucia i towarzystwa, albo wolności.

To wielki zaszczyt dla mojego zawodu, polegającego na opowiadaniu dla pieniędzy historyjek, prawdziwych i nieprawdziwych, że zaprosiliście mojego przyjaciela i kolegę po piórze, Elie Wiesela oraz mnie, byśmy wystąpili tu przed wami. Może słyszeliście o badaniach doktor Nancy Andreassen z Centrum Medycznego Uniwersytetu Iowa, która przeprowadziła serię wywiadów z zawodowymi pisarzami, wykładającymi podczas słynnych warsztatów pisarskich, jakie odbywają się na tamtejszej uczelni. Chodziło o sprawdzenie czy nasze, pisarskie nerwice różnią się od nerwic całości społeczeństwa. Okazało się, że większość z nas, w tym ja sam, to osobnicy z wyraźną predylekcją do depresji pochodzący z rodzin obciążonych skłonnościami... do depresji. Z badań tych wyprowadzam pewną zasadę, oczywiście bardzo ogólną: nie masz szans zostać dobrym, poważnym pisarzem, jeśli nie wykazujesz skłonności do depresji.

Z historii kultury pochodzi inna reguła, która, zdaje się, już się nie sprawdza, a mianowicie że pisarz amerykański, jeżeli chce zdobyć Nagrodę Nobla, musi być alkoholikiem: Sinclair Lewis, Eugene O'Neill, John Steinbeck, samobójca Ernest Hemingway. Według mnie reguła nie sprawdza się dlatego, że w naszym kraju wrażliwość artystyczna przestała być uważana za cechę czysto kobiecą. Dziś nie musiałem już pojawić się na tej mównicy po pijanemu ani wczorajszego wieczoru przyłożyć komuś w barze, by udowodnić, że nie jestem tym, kogo nie tak dawno uważano za istotę szczególnie odrażającą, czyli homoseksualistą.

Elie Wieselowi sławę przyniosła książka pod tytułem Noc, opowiadająca o potwornościach Holocaustu widzianych oczyma chłopca, którym wtedy był. Ja zdobyłem sławę pisząc Rzeźnię numer pięć, książkę o amerykańskobrytyjskiej reakcji na ten sam Holocaust, czyli o zbombardowaniu Drezna - widzianej oczyma młodzika, starszego szeregowca piechoty amerykańskiej, którym wtedy byłem. Obaj nosimy niemieckie nazwiska, podobnie jak doktor Dichter, który nas tu zaprosił, i wielu sławnych pionierów waszej dziedziny. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby okazało się, że przodkowie wielu z nas tu zebranych, tak Żydów jak gojów, to poddani cesarstwa niemieckiego i austrowęgierskiego, skąd wywodzi się tyle wspaniałych dzieł muzycznych, naukowych, malarskich i teatralnych, lecz pozostałości owych mocarstw dały nam koszmar, z którego, w moim mniemaniu, nigdy się nie przebudzimy.

Holocaust tłumaczy prawie wszystko, dlaczego Elie Wiesel pisze to, co pisze i jest tym, kim jest. Zbombardowanie Drezna ani trochę nie tłumaczy, dlaczego piszę to, co piszę i jestem tym, kim jestem. Na pewno wiecie to stokrotnie lepiej ode mnie i możecie zaproponować tysiące mądrych wyjaśnień, co jest tego przyczyną. Mnie Drezno w ogóle nie obchodziło. Nikogo tam nie znałem, a zanim spłonęło, nie było mi tam szczególnie dobrze, zapewniam. W domu, w Indianapolis, widywałem drezdeńską porcelanę, ale już wtedy, podobnie jak teraz, uważałem, że jest ona w większości kiczowata. To zresztą kolejny dar od narodów niemieckojęzycznych, obok psychoanalizy i Czarodziejskiego fletu: to bezcenne słowo kicz.

A w dodatku porcelana drezdeńska nie jest wyrabiana w Dreźnie, tylko w Miśni, więc należało spalić Miśnię, a nie Drezno.

Oczywiście to tylko żart. Już taki jestem, że powiem wszystko, byle tylko błysnąć dowcipem, często w najokropniejszych sytuacjach; to zresztą jeden z powodów, dla których jak dotąd już dwie kobiety gorzko żałowały, że wyszły za mnie za męża. Każde piękne miasto to skarb całego świata, a nie tylko jednego narodu, więc zniszczenie któregośkolwiek z nich jest katastrofą na skalę światową. Zanim zostałem żołnierzem, byłem dziennikarzem, więc w Dreźnie zachowywałem się jak dziennikarz - podglądacz cudzych nieszczęść. Obserwator z zewnątrz. Elie Wiesel, widząc to, co widział - a on w dodatku był chłopcem, nie młodym mężczyzną, jak ja - tkwił w samym środku tego, co się działo. Nalot na Drezno - szybka, chirurgiczna akcja, jak uwielbiają mówić specjaliści od wojskowości, okazał się zgodny z arystotelesowskim ideałem tragedii, której akcja rozgrywa się w ciągu dwudziestu czterech godzin. Holocaust ciągnął się, ciągnął i ciągnął. Mnie Niemcy chcieli utrzymać przy życiu, kierując się przekonaniem, że w pewnym momencie uda się im wymienić mnie i moich towarzyszy niewoli za swoich żołnierzy. Niemcy, oczywiście przy współudziale podobnie jak oni myślących Austriaków, Węgrów, Słowaków, Francuzów, Rumunów, Bułgarów i tym podobnych, chcieli zabić Elie Wiesela i wszystkich, których on znał, wszystkich, którzy choć trochę go przypominali. Chcieli zabić ich, tak jak zabili ojca Elie'ego - głodem, katorżniczą pracą, rozpaczą lub cyjankiem.

Elie Wiesel próbował utrzymać ojca przy życiu. I nie dał rady. Mój ojciec oraz prawie wszyscy ci, których znałem i kochałem, żyli sobie zdrowo i bezpiecznie w Indianapolis. Właściwą receptą na śmiertelną depresję, jaka zabiła ojca Elie Wiesela, było jedzenie, odpoczynek i czuła opieka, a nie lit, thorazine, prozac czy tofranil\*.

Jestem magistrem antropologii Uniwersytetu Chicagowskiego. Studentów tej dziedziny poezji uczy się szukać wy tłumaczenia ludzkich radości i smutków - nie tych, które biorą się z wojen, ran, spektakularnych chorób i klęsk żywiołowych

- w kulturze, społeczeństwie i historii. Tym samym wymieniłem właśnie czarne charaktery występujące w moich książkach, bo nigdy nie są nimi konkretne osoby. Moje czarne charaktery, powtarzam, to kultura, społeczeństwo i historia - jakoś nie działa na nie ani lit, ani thorazine, ani prozac, ani tofranil.

Jak większość pisarzy, trzymam w domu zaczątki wielu książek, które nie chcą się dać napisać. Jakieś dwadzieścia lat temu pewien lekarz przepisał mi ritalin \*\*, żeby przekonać się, czy nie pomoże mi na

\* Środki antydepresyjne.

\*\* Środek pobudzający centralny układ nerwowy. Mobilizuje uwagę, zwiększa zdolność asocjacji i koordynacji (za

J. Podlewski, A. Chwalibogowska-Podlowska, „Leki współczesnej terapii”, PZWL Warszawa 1986). takie właśnie problemy. Natychmiast zorientowałem się, że ritalin to koncentrat czystej paranoi, i zaraz wyrzuciłem całą fiolkę do śmieci. Książka, z którą wówczas nie mogłem dać sobie rady, miała się nazywać Psychiatra z SS. Opowiadała o doktorze medycyny, psychoanalityku oddelegowanym podczas wojny do Oświęcimia. Miał leczyć z depresji członków personelu, niezadowolonych z tego, co tam się działo. W tamtych czasach miał im do zaoferowania wyłącznie terapię słowną. Było to jeszcze przed... Nieważne.

Chciałem dowieść, i może uda mi się dokonać tego tutaj, bez konieczności dokończenia tamtej książki, że od czasu do czasu w różnych częściach świata specjaliści od zdrowia psychicznego



proszeni są o leczenie ludzi zdrowych, ale żyjących w cywilizacjach i społeczeństwach, które dostały szau. Od razu powiem, że w naszym kraju nikt jeszcze o to nie prosi. Wydaje się, że głównym celem naszego społeczeństwa jest nauczenie inteligentnych i wykształconych jego przedstawicieli jak gadać bzdury, dzięki którym staną się bardziej popularni. Popatrzcie na Michaela Dukakisa. Popatrzcie na George'a Busha.

Wydaje mi się, że zostałem tu zaproszony z powodu tego, co przytrafiło się mojemu drogiemu synowi Markowi Vonnegutowi, obecnie już doktorowi Vonnegutowi. Mark był świrem, i to wymyślnym: wyściełana cela, kaftan bezpieczeństwa, halucynacje, bójkę z pielęgniarkami, te rzeczy. Potem mu przeszło i napisał o tym książkę pod tytułem *The Eden Express* \*, którą wkrótce, z nowym posłowiem, ma wznowić wydawnictwo Dell. Jego po-  
\* „Ekspres do Edenu”.

winniście wynająć na tę uroczystość. Znacznie mniej by was to kosztowało, a on w dodatku zna się na tym, o czym mówi.

I jest dobrym mówcą. Zawsze, kiedy ma odczyt dla psychiatrów, w pewnym momencie zadaje pewne pytanie, prosząc obecnych o podniesienie ręki. Zastąpię go teraz. Proszę o podniesienie ręki: ile z obecnych tu osób brało kiedyś thiorazynę? Dziękuję. A potem dodaje: „Ci, którzy jeszcze nie próbowali, niech koniecznie spróbują. Na pewno nie zaszkodzi”.

Z Kolumbii Brytyjskiej, gdzie założył komunę, zabrałem go do prywatnego domu wariatów, a tam postawiono diagnozę: schizofrenia. Ja też byłem przekonany, że ma schizofrenię. Nigdy nie widziałem, żeby tak zachowywał się ktoś, kto cierpi na depresję. My, chorzy na depresję, zwykle albo użalamy się nad sobą, albo śpimy. Ktoś, kto zachowuje się tak jak Mark (wkrótce po przyjęciu do kliniki podskoczył i przygrzmocił w żarówkę w suficie wyściełanej celi), na pewno może mieć wszystko, tylko nie depresję.

Tak czy inaczej Mark wyzdrowiał na tyle, że napisał książkę i ukończył medycynę na Harvardzie. Obecnie pracuje jako pediatra w Bostonie, ma żonę, dwóch wspaniałych synów i dwa wspaniałe samochody. Aż tu nagle, i to nie tak dawno, wielu przedstawicieli waszego zawodu ogłosiło, że on i paru innych, którzy opisali w książkach, jak to wyleczyli się ze schizofrenii, zostali po prostu mylnie zdiagnozowani. I niezależnie od tego, jak byli nabuzowani w czasie choroby, tak naprawdę cierpieli na depresję. No cóż, może to i prawda.

Mark zareagował na tę nową diagnozę następująco:

„Co za wspaniałe kryterium diagnostyczne! Wiemy teraz, że jeśli pacjent zdrowieje, to na pewno nie miał schizofrenii”.

Ale niestety, on także zrobi wszystko, żeby błysnąć dowcipem. Nieco spokojniejsze i bardziej odpowiedzialne rozważania na temat tego, co się z nim działo, można znaleźć w posłowiu do nowego wydania jego książki. Mam ze sobą kilka egzemplarzy. Gdyby ktoś je tu odbił na ksero, każdy, kto chce sobie poczytać, mógłby to wziąć do domu.

Mark nie jest już takim entuzjastą megawitamin jak wtedy, gdy jeszcze nie był lekarzem, ale nadal większe nadzieje pokłada w biochemii niż w gadaniu.

Na wiele lat przedtem, zanim Markowi odbiło, uważałem, że choroby umysłowe wywoływane są przez substancje chemiczne, i tak pisałem w moich opowiadaniach. Żadnego z moich bohaterów

nie przyprowadziło o szaleństwo jakieś wydarzenie lub inna postać. W chemiczne pochodzenie szaleństwa wierzyłem jeszcze jako chłopiec, bo bliski przyjaciel rodziny, mądry, dobroduszny i kwaśnosmutny doktor Walter Bruetsch, ordynator ogromnego, przerażającego stanowego szpitala dla obłąkanych w naszym mieście, mówił zawsze, że choroby wszystkich jego pacjentów mają podłoże chemiczne, i że niewiele da się dla tych ludzi zrobić bez rozszerzenia wiedzy chemicznej.

Wierzyłem mu.

Toteż kiedy oszalała moja mama, na wiele lat przed urodzeniem się mojego syna, i kiedy w końcu zabiła się, winiłem za to substancje chemiczne, choć miała strasznie ciężkie dzieciństwo. Mogę nawet wymienić dwie z tych substancji: fenobarbital i gorzała. Oczywiście pochodziły z zewnątrz; barbiturany zapisywał jej nasz rodzinny lekarz, bo chciał wyleczyć ją z bezsenności. Kiedy umarła, byłem w wojsku, a moja dywizja odpływała właśnie do Europy.

Udało nam się utrzymać jej obłąd w tajemnicy, bo przejawiał się głównie w domu, między północą a świtem. Udało nam się utrzymać w tajemnicy także jej samobójstwo, dzięki miłosiernemu i zapewne mającemu ambicje polityczne koronerowi.

Czemu ludzie zadają sobie tyle trudu, żeby utrzymać takie rzeczy w tajemnicy? Dlatego, że gdyby prawda wyszła na jaw, zmniejszałoby to szansę dzieci na dobre małżeństwo. Teraz wiecie już całkiem sporo o mojej rodzinie. Opierając się na tych informacjach, ci z was, których dzieci myślą już o małżeństwie, powinni zapowiedzieć im: róbcie, co chcecie, tylko nie bierzcie ślubu z nikim, kto nosi nazwisko Vonnegut.

Mojej mamie nie pomógłby nawet doktor Bruetsch, a był on największym specjalistą od obłąd w całym stanie Indiana. Może wiedział, że jest wariatką, a może nie. Gdyby nawet wiedział, że staje się nią po północy, choć bardzo ją lubił, byłby na pewno równie bezradny jak ojciec. W tamtych czasach w Indianapolis nie było nawet oddziału Anonimowych Alkoholików - może to by coś pomogło. Dopiero około 1955 roku miał go założyć] jedyny brat ojca, Aleks, alkoholik.

I proszę - wygadałem się z kolejnym sekretem rodzinnym, bo opowiedziałem wam o wuju Aleksie. A czy ja jestem alkoholikiem? Chyba nie. Alkoholikiem nie był ani mój ojciec, ani jedyne żyjącej rodzeństwo, jakie mam, czyli mój starszy brat. Jestem za to wielkim admiratorem Anonimowych Alkoholików, Anonimowych Hazardzistów, Anonimowych Kokainistów, Anonimowych Kolejkowiczów, Anonimowych Żarłoków i tak dalej. Takie stowarzyszenia cieszą mnie jako kogoś, kto studiował antropologię, bo dają Amerykanom coś równie koniecznego do życia jak witamina C, coś, czego wielu z nas, członków tej szczególnej cywilizacji, zostało pozbawionych: wielką, szeroko rozumianą rodzinę. Istoty ludzkie prawie zawsze mogły liczyć na to, że wszyscy krewni i przyjaciele podtrzymają ich na duchu, dodadzą otuchy, rozweselą... Aż do czasu Wielkiego Eksperymentu Amerykańskiego, który jest eksperymentem nie tylko ze swobodą, ale również z odcinaniem korzeni, bezustanną tułaczką i niemożliwie zatwardziałą samotnością.

Jestem człowiekiem próżnym - inaczej nie stałbym tu przed wami z tym moim „bla, bla, bla” - nie tak jednak, by sądzić, że powiedziałem wam cokolwiek, czego dotąd nie wiedzieliście, poza błahostkami na temat mamy, wuja Aleksa i mojego syna. Wy spotykacie nieszczęśliwych ludzi co dzień, co godzina. Ja z całych sił staram się ich unikać. Udaje mi się stosować do trzech zasad dobrego życia określonych przez nieżyjącego już Nelsona Algrena, mojego kolegi po piórze i w depresji, który również był przedmiotem badań nad pisarzami, prowadzonych na uniwersytecie Iowa. Zasady te brzmią oczywiście następująco: nie jadać w knajpach zwanych „U mamy”, nie grać w karty z facetami, których nazywają „szef i, co najważniejsze, nie chodzić do łóżka z ludźmi, którzy mają więcej kłopotów niż ja. \* Jestem pewny, że każde z was, wypisując receptę pacjentom w lekkiej depresji, znacznie zdrowszym niż moja mama czy syn, myśli sobie: „Żałuję, że muszę szpikować cię

pastylkami. Zrobiłbym wszystko, gdybym zamiast tego mógł wstawić cię w sam środek dużej, ciepłej aparatury reanimacyjnej wielkiej, szerokiej rodziny”.

I tak zakończyło się moje przemówienie do tych wszystkich psychiatrów zebranych w Filadelfii. Orzekli potem, że o t w a r ł e m się przed nimi (to znaczy wypaplałem im wszystkie rodzinne sekrety), i że nie spodziewali się, iż tak bardzo się o t w o r z ę. Miałem wtedy ze sobą odbitki komentarza mojego syna do tego koszmaru, który mu się przytrafił; rozdawałem je każdemu, kto chciał. Komentarz ten znajduje się w Dodatku do tej książki razem z mnóstwem innych rzeczy, które, gdybym ich tam nie wyrzucił, okropnie by nas opóźniały. (Dodatkowo przyśpieszyłem sprawę wrzucając w nawiasy wszystkie dygresje, uwagi na stronie, non sequitur(y), dializy, epikryzy, mejozy, antyfrazy itd).

### III

Gdy, późną nocą, mama dostawała szału, nienawiść i pogarda, którą obrzucała ojca, jednego z najłagodniejszych i najniewinniejszych mężczyzn, jacy kiedykolwiek chodzili po ziemi, wydawały się bezgraniczne i czyste, nieskażone myśleniem czy konkretnymi powodami. Od kiedy umarła - w dzień matki 1944 roku, na około miesiąc przed lądowaniem w Normandii, równie czystą nienawiść obserwowałem u kobiet może dziesięć razy. Nie wydaje mi się, żeby przedmiotem tej nienawiści był mężczyzna, którego to właśnie spotyka. Ojciec na pewno na nią nie zasługiwał. Według mnie jest to bardziej reakcja kobiet na całe wieki poddaństwa, choć mama i wszystkie inne, kierujące ją pod moim, jak im się zdawało, adresem, przypominały niewolnice akurat tak, jak Elżbieta I czy Kleopatra.

Mam teorię, że wszystkie kobiety noszą w sobie zakorkowany kwas fluorowodorowy, a moja mama miała go za dużo. Kiedy zegar wybijał północ (rzeczywiście mieliśmy w domu taki starodawny, stojący zegar, który wybijał godziny z wielką powagą), kwas wylewał się na zewnątrz, zupełnie jakby wymiotowała. Nic nie mogła poradzić. Biedna! Biedna!

Teoria ta jest samousprawiedliwieniem, bo daje do zrozumienia, że ani ojciec, ani ja nie zasługiwaliśmy na taką nienawiść. Nie ma o czym mówić. Kiedy byłem w Pradze, na cztery lata przed tym, jak artyści obalili komunistów, jeden z tamtejszych pisarzy powiedział mi, że Czesi uwielbiają tworzyć wymyślne teorie, tak spójne, że wydają się niepodważalne, a potem obalać je, drwiąc z samych siebie. Ja też. (Moim ulubionym pisarzem czeskim jest Karel Čapek, którego czarodziejski esej literacki też wrzuciłem do Dodatku na dowód, że mam rację, kiedy się nim tak zachwygam).

Wracając jednak do ojca i siostry, jednorożca i dziewicy: ojciec, z którego był akurat taki freudysta, jak z Lewisa Carrolla, uczynił z Alice swe główne źródło pociechy i zachęty. Do końca wykorzystywał ich wspólny entuzjazm dla sztuk pięknych. Pamiętajcie, że Alice była zaledwie dziewczynką i nawet jeśli pominąć zażenowanie, z jakim przyjmowała w podolek głowę jednorożca, stresowało ją głównie to, że ojciec rozwodził się nad każdą z jej rzeźbiarskich i malarskich prac, jakby to była Pięta lub freski w kaplicy sykstyńskiej. W późniejszym życiu (które w całości trwało tylko czterdzieści jeden lat) zrobiło to z niej okropnie leniwą artystkę. (Gdzie indziej co chwila, cytuję jej powiedzenie: „Jeżeli ktoś ma talent, nie znaczy to wcale, że zaraz musi coś z tym robić”). „Moja jedyna siostra Alice”, pisałem o niej, też w Architectural Digest, „była obdarzona sporym talentem malarskorzeźbiarskim, którego prawie nie wykorzystywała. Miała metr osiemdziesiąt wzrostu i platynowoblond włosy; powiedziała kiedyś, że mogłaby przejechać się na wrotkach po jakimś wielkim muzeum, na przykład po Luwrze, którego wtedy nie знаła, którego nie miała szczególnej ochoty poznać, i którego nigdy nie było jej dane zwiedzić, a i tak obejrzałaby każdy mijany obraz. I że ponad szumem powietrza i terkotem kół wrotek po marmurowej posadzce słyszałaby głos wewnętrzny: »I już, i już, i już«.

Rozmawiałem potem na ten temat ze znacznie bardziej od niej znanymi i pracowitymi artystami, i ci przyznali, że też potrafią prawie zawsze wydobyć z nieznanego obrazu całą jego wartość jednym łup! Chyba, że obraz jest do niczego; wtedy nie ma żadnego łup!

To każe mi znowu pomyśleć o ojcu, który chciał z całych sił zostać malarzem, gdy Wielki Kryzys zmusił go do przedwczesnego i niezamierzonego przejścia na emeryturę. Miał powody, by optymistycznie podchodzić do nowego zawodu, bo początkowe stadia jego obrazów, czy to martwych natur, portretów, czy krajobrazów, miały w sobie mnóstwo owego łup! Mama mówiła z czystej życzliwości: »Kurt, to naprawdę śliczne. A teraz tylko to d o k o Ń c z«. Wtedy zawsze ojciec psuł cały efekt. Pamiętam portret, który namalował swojemu jednemu bratu, Aleksowi, agentowi

ubezpieczeniowemu. Zatyłował go Agent specjalny. Kiedy szkicował, na początku udało się mu kilkoma śmiałyymi pociągnięciami uchwycić naraz kilka prawd o Aleksie, w tym leciutki akcent rozczarowania. Wuj Aleks był dumnym absolwentem Harvardu; żałował chyba przez całe życie, że nie jest badaczem literatury, tylko agentem ubezpieczeniowym. Ale kiedy ojciec dokończył portret, starając się, żeby każdy centymetr płótna pokryć równą ilością farby, wuj Aleks zniknął jak kamfora, a na jego miejscu pojawiło się skrzyżowanie pijaka z lubieżnie uśmiechniętą królową Wiktorią.

To było okropne.

No właśnie: najślawniejszą osobą odpowiedzialną za przerwanie pracy nad arcydziełem jest oczywiście »człowiek, który przyszedł z Porlock« i na całą wieczność rozproszył skupienie Samuela Taylora Coleridge'a tworzącego wiekopomny poemat Kubla Chan. Ale gdyby podczas Wielkiego Kryzysu w podobny sposób regularnie przeszkadzano mojemu ojcu, na jego śmiertelnie cichym strychu naszego domu w Indianapolis, przeszedłby do historii jako jeden z pomniejszych malarzy Indiany - a nie tylko jako, niech mi będzie wolno powiedzieć, dobry ojciec i wspaniały architekt.

W ogóle upieram się, że artystom należy przeszkadzać, szczególnie jeżeli od początku pracy nad dziełem idzie im dobrze. Ja sam, gdy czytam jakąś powieść albo oglądam sztukę czy film, i zostało jeszcze sporo rozdziałów czy scen, słyszę w mózgu wariację na temat »i już, i już, i już« mojej siostry, a brzmi to: »Kończ już, kończ już, kończ już. Kończ, na miłość boską«. No właśnie; a gdy dochodzę do dwóch trzecich własnej powieści czy sztuki, zdarza się, że nagle czuję dziwną lekkość i ulgę, jakbym płynął małą żaglówką do domu, z wiatrem w plecy. Bo osiągnąłem znacznie więcej, jeśli akurat miałem dość szczęścia, niż mogłem się spodziewać gdy wyruszałem na morze.

Wyznanie to może wydać się ludziom pozbawionym poczucia humoru równie obciążające i barbarzyńskie jak marzenia mojej siostry, by przemknąć przez Luwr na wrotkach. Przynajmniej jest prawdziwe. Błagam więc ich, by zapomnieli o wszystkich moich zrodzonych z obłędu potworach, i pomyśleli o tragedii szekspirowskiego Hamleta, akt III, scena czwarta - zostały jeszcze trzy akty, jeszcze dziewięć scen. Hamlet zabija niewinnego, wiernego, nudnego starucha, Poloniusza, wzięwszy go za świeżo upieczzonego męża matki. Spostrzega, kogo zamordował, i oznajmia z co najmniej mieszanymi uczuciami:

*»Nieszczęsny, wścibski, nadgorliwy głupcze, żegnaj!«\**

\* Przekład S. Barańczaka. U Barańczaka Hamlet przekłują Poloniusza w 3. scenie aktu III.

I już, i już, i już. Niech nikt się nie rusza.

Wprowadźcie człowieka z Porlock. Kurtyna. The end. Reguła, którą nazywam: »Dwie Trzecie Arcydziała To Aż Nadto« znajduje często potwierdzenie nawet w tak krótkich formach, jak niniejszy artykuł. Teraz zrobię to, co mama nazywała »dokończeniem«, które, jeśli nie chcę zaprzeczyć sam sobie, musi być tak puste jak rozmowy pod koniec przyjęcia, te wszystkie:

»O Boże, jak późno«, »Zdaje się, że brakło lodu« i »Pamiętasz, gdzie położyłaś płaszc?« Jest taki wzór na napisanie dobrze skonstruowanej trzyaktówki; nie wiem, skąd pochodzi, a brzmi tak:

»Akt I - pytajnik. Akt II - wykrzyknik. Akt III - kropka«. A ponieważ ludzie normalni chcą we wszystkich dziedzinach sztuki tylko pytajników i wykrzykników, znaczenie kropki jest dla mnie właśnie dokładnie takie samo, jak kariery malarskiej ojca i siostry, czyli żadne - zero, nic.

Jeżeli zaś chodzi o faceta z Porlock w jego powszednim trudzie, i krzywdę, jaką podobno wyrządził Coleridge'owi, należy postawić pytanie, czy rzeczywiście pozbawił czegokolwiek miłośników poezji. Gdy nieszczęsny, wścibski, nadgorliwy głupiec wlaź tam, gdzie go nie proszono, Coleridge miał już na papierze trzydzieści wersów, a ostatnie z nich to:

Raz dziewczę z cymbałkami

Stańto w mym widzeniu

Etiopskie rysy miała

I na cymbałkach grała

Pieśń o aborskiej górze \*

»Dziewczę z cymbałkami\*! Co za poezja!

Gdyby człowiek z Porlock był moim służącym,

a ja wiedziałbym dokładnie, co tam się wyprawia

\* przekład J. Pietrkiewicza.

z drugiej strony drzwi, wysłałbym go natychmiast,! gdy tylko Coleridge napisał dwa pierwsze wersy:

W Xanadu kazał Kubla Chan wznieść cud

Pałac rozkoszy, gdzie przepych bez końca;”

(I tu artykuł kończy się, powiedziawszy wszystko, co było do powiedzenia, w dwóch trzecich długości). Ja sam od czasu do czasu tworzę obrazy. Na tytułowej stronie Dodatku można zobaczyć typowy przykład mojej grafiki. Kilka lat temu (w 1980 roku) miałem nawet własną wystawę rysunków w Greenwich Village, nie dlatego, że były dobre, ale dlatego, że jestem sławny.

Kiedyś zrobiłem zdjęcie na okładkę książki mojej żony, Jill Krentz. Ustawiła aparat, powiedziała, gdzie mam stanąć i jak przycisnąć migawkę. Po ukazaniu się książki, z moim nazwiskiem pod zdjęciem, właściciel pewnej galerii zaproponował mi autorską wystawę moich zdjęć. Byłaby to wystawa nie tylko jednego autora, ale i jednego zdjęcia. To właśnie jest sława. Dopadnie człowieka wszędzie. Zazdrość was zżera, co?

(Jestem trzecim z kolei członkiem amerykańskiej gałęzi rodu, po moich córkach, Nanette Prior i Edith Squibb, który miał własną wystawę; drugim, po moim synu, Marku, który spędził jakiś czas w domu wariatów; pierwszym, który rozwiódł się i ożenił ponownie. O moim krótkim pobycie w wariatkowie opowiem później. To już tyle lat, trzy czy cztery książki temu).

W końcu udało mi się napisać książkę o malarzu. Nosi tytuł Sinobrody, a pomysł wziął się stąd, że Esquire zamówiło u mnie coś o abstrakcyjnym ekspresjonizmie Jacksonie Pollocku; czasopismo to przygotowywało na swoje pięćdziesięciolecie specjalny numer. Miały się tam znaleźć artykuły o pięćdziesięciu Amerykanach, którzy urodzili się na tej ziemi i wywarli największy wpływ na losy kraju od 1932 roku. Chciałem pisać o Eleanor Roosevelt, ale ją zaklepał już sobie Bili Moyers.

(Truman Capote, z którym sąsiaduję w lecie na Long Island, obiecał im, że napisze coś o Cole Porterze, ale potem, dosłownie w ostatniej chwili, uraczył ich esejem o mojej sąsiadce z Manhattanu, Katharine Hepburn, albo - albo. Esquire nie miało wyjścia, musiało wydrukować artykuł o Katharine Hepburn).

„Jackson Pollock (1912-1956) - napisałem wtedy- był malarzem, który w okresie, kiedy go najbardziej podziwiano, czyli od roku 1947, malował w ten sposób, że rozkładał płótno na podłodze pracowni i kapał na nie, opryskiwał i oblewał farbą. Urodził się w Gody w stanie Wyoming, miasteczku nazwanym tak na cześć legendarnego twórcy martwych zwierząt, Buffalo Billa Cody'ego. Buffalo Bili dożył starości, a Jackson Pollock pojechał na wschód, do stanu Nowy Jork, i zmarł tam tragicznie w wieku czterdziestuczterech lat, jako pionier prądu w sztuce zwanego obecnie ekspresjonizmem abstrakcyjnym, przyczyniwszy się znacznie bardziej niż ktokolwiek inny do tego, że nasz kraj, a szczególnie Nowy Jork, stał się nie kwestionowanym ośrodkiem światowego malarstwa awangardowego.

Zanim się pojawił, Amerykanów podziwiano za prekursorstwo w jednej tylko dziedzinie sztuki, czyli w jazzie. Podobnie jak wszyscy wielcy muzycy jazzowi, Pollock został mistrzem i znawcą tej pociągającej przypadkowości, której starali się unikać jak ognia bardziej tradycyjni twórcy.

Na trzy lata przed tym, zanim zabił siebie i dopiero co poznaną dziewczynę, wjeżdżając w drzewo na spokojnej wiejskiej drodze, Pollock zaniechał sposobu malowania, z powodu którego pewien krytyk nazwał go »Jackiemplackiem«. Znowu używał pędzla do nakładania farby. Zaczynał od pędzla jako przeciwnik przypadkowości. Niech dowiedzą się wszyscy, zwłaszcza filistrzy, że człowiek ten potrafiłby namalować z fotograficzną dokładnością przeprawę Ojca Narodu przez rzekę Delaware\*, gdyby tylko takie tableau znajdowało się w kręgu zainteresowania i pasji malarza oraz jego wieku. W swym rzemiośle otrzymał najstaranniejsze wykształcenie, a uczył się między innymi u najbardziej wymagającego amerykańskiego mistrza realizmu, geniusza antymodernizmu, Thomasa Harta Bentona.

Pollock pozostał w cywilu przez całą drugą wojnę światową, chociaż był wtedy w sile wieku. Odrzucono go zapewne z powodu alkoholizmu, z którym zresztą od czasu do czasu dawał sobie radę; na przykład między rokiem 1948 a 1950 nie wypił ani kropelki. Malował, uczył innych i sam siebie przez całą wojnę, gdy tak wielu jego amerykańskich kolegów musiało przerwać pracę, a dyktatorzy nakazywali malarzom europejskim, jego rówieśnikom, jak mają malować, albo używali ich jako mięso dla armat i krematoriów. A więc to właśnie Pollock, choć znany głównie z tego, że zerwał z przeszłością, był jednym z nielicznych młodych artystów, którzy podczas wojny bez przerwy analizowali dzieje sztuki i w pokoju rozmyślali nad tym, jak rozwinie się w przyszłości.

Pollock zadziwia nawet ludzi obojętnych dla malarstwa, a to dlatego, że gdy pracował, całkowicie poddawał swą wolę podświadomości. W 1947 roku, osiem lat po śmierci Freuda, napisał: »Kiedy jestem w obrazie, nie wiem, co się ze mną dzieje\*. Można powiedzieć, że w czasie, gdy Zachód entuzjazmował się pokojem i harmonią, które podobno można

\* Przeprawa Jerzego Waszyngtona przez tę rzekę pod obstrzałem angielskim jest ulubionym tematem amerykańskiego malarstwa historycznego. osiągnąć dzięki medytacji, stanowi pośredniemu między snem a jawą, on malował tematy religijne. Wyróżniał się tym spośród pionierów wielkich ruchów artystycznych, że jego koledzy i naśladowcy nakładali farbę inaczej niż on. Wszyscy impresjoniści francuscy malowali mniej więcej tak samo, wszyscy kubiści malowali mniej więcej tak samo, i tak musiało być, bo rewolucje, w których brali udział, były pomimo całej uduchowionej interpretacji rewolucjami czysto technicznymi. Pollock nie zapoczątkował jakiegś tam szkoły kapaczy albo rozlewaczy. Tak malował tylko on. Malarze, którzy choć trochę przyznawali się do spuścizny po nim, malowali tak różnie, jak różne są zwierzęta w Afryce: Mark Rothko, Willeni de Kooning, James Brooks, Franz Kline, Robert Mphtherwell, Ad Reinhardt, Barnett Newman i tak dalej. Przy okazji jest to również lista osobistych przyjaciół Pollocka. Zdaje się, że wszystkie rozwijające się grupy artystyczne zaczynają od stworzenia sztucznej, wielkiej rodziny. Rodziny Pollocka nie łączyły wspólne poglądy na to, jak powinien wyglądać obraz; natomiast jej członkowie byli zgodni co do tego, skąd czerpać natchnienie: z podświadomości, tej części umysłu, która nie rejestruje podobieństw, która nie wie, co to moralność, co to polityka, która nie musi w nieskończoność powtarzać tych samych, wymęczonych tematów.

James Brooks, w wieku lat siedemdziesięciu siedmiu będący jedną z głównych figur tego nurtu, opisał mi kiedyś w prywatnej rozmowie idealne nastawienie malarza, który chce, by jego dłońmi rządziła podświadomość, tak jak robił to Pollock: »Pierwsze machnięcie muszę zrobić sam, ale potem upieram się, żeby przynajmniej połowę pracy zrobiło za mnie płótno«. Płótno, czyli podświadomość, zastanawia się przez chwilę nad tym machnięciem, a potem przekazuje dłoni malarza, jak ma reagować na ten pierwszy ślad pędzla - taką a taką farbą, taką a taką fakturą. Potem

jeśli wszystko idzie jak należy, płótno pomyśli znowu nad tym, co się pojawiło, i przedstawia następne sugestie. Płótno zmienia się w planszę domina. Czy wymyślono kiedykolwiek bardziej inteligentne doświadczenie na stwierdzenie istnienia podświadomości? Czy jakikolwiek inny eksperyment psychologiczny pozwala wyciągnąć wniosek, że istnieje część umysłu pozbawiona ambicji i wiedzy, a mimo to świetnie znająca się na pięknie?

Czy jakakolwiek inna teoria artystycznego natchnienia równie bezpośrednio nakazuje malarzowi, by w swej pracy całkowicie zapomniał o życiu? We wszystkich dziełach ekspresjonizmu abstrakcyjnego, jakie można znaleźć w muzeach, w domach kolekcjonerów sztuki i w skarbcach spekulantów, bardzo mało jest sugestii kształtu, na przykład dłoni, twarzy, stołu lub miski pełnej pomarańcz, czy słońca, księżycy lub kieliszka wina.

Czy jakikolwiek moralista mógłby domagać się lepszej reakcji malarzy na drugą wojnę światową, obozy śmierci, Hiroszimę i całą resztę, niż obrazy bez osób czy wizerunków, bez aluzji nawet do dobrodziejstw Natury? Przecież na pełnię mamy teraz inne określenie: »księżyc dla bombardierów\*«. Nawet zwykła pomarańcza sugeruje obecnie chorą planetę albo poniżoną ludzkość, jeśli kto przypomni sobie, że komendant Oświęcimia, jego żona i dzieci jedli codziennie różne smaczne rzeczy i nie przeszkadza im tłusty dym z pieców.

Większość prądów artystycznych tego oszalałego na punkcie mody wieku pod względem długości życia przypomina chrząszcze; niektórym udaje się dorównać wiekiem koniom albo psom, A teraz, w dwadzieścia pięć lat po śmierci Jacksona Pollocka, mamy więcej entuzjastycznych ekspresjonistów abstrakcyjnych niż kiedykolwiek. Niech więc dowiedzą się wszyscy, zwłaszcza filistrzy, że wszystkie eksperymenty udowodniły, iż tylko jeden rodzaj człowieka potrafi stworzyć ważny obraz traktując płótno jak planszę domina: człowiek cudownie uzdolniony, a równie biegły w swym rzemiośle i szanujący dzieje sztuki, jak legendarny obecnie posiadacz kategorii E z Cody.

Willem de Kooning, zapewne też wielki malarz, a do tego Europejczyk z pochodzenia, powiedział kiedyś o Pollocku: »Jackson przetaił nam drogę«». Koniec. Dotarło?

Trochę przesadziłem z moim entuzjazmem dla kapaniny Pollocka. (Hipokryta!). A mówi do was człowiek, który spędził kawał życia w galeriach komercyjnych i muzeach malarstwa. Kiedy chcę odróżnić obraz dobry od złego, idę za radą mojego kumpla, Syda Salomona, abstrakcyjnego ekspresjonisty. Powiedział: „Musisz najpierw obejrzeć milion obrazów”. Po czymś takim człowiek już się nie pomyli. Powód, dla którego nie bardzo lubię tę kapaninę, no, chyba że we wzorach tkanin, jest bardzo prymitywny: nie widzę w nich horyzontu. Mogę się obejść bez informacji w obrazie, ale mój układ nerwowy - i pewnie wszystkich zwierząt na Ziemi - zawsze chce wiedzieć jedno: gdzie jest horyzont. Taka nowo narodzona sarna, na przykład, która zaraz gdy tylko zostanie wydana na świat musi wstać, a może nawet uciekać przed drapieżnikiem. Jestem pewny, że pierwszą informacją, jaką jej oczy przekazują do mózgu, jest położenie horyzontu. Podobnie dzieje się z ludźmi, którzy budzą się ze snu lub omdlenia - zanim zaczną myśleć, muszą wiedzieć, gdzie jest horyzont. I dlatego znający swój fach producenci naklejają na pudłach z delikatnymi rzeczami, takimi jak ludzki układ nerwowy, taki oto znak:

Z Franklin Library poproszono mnie o specjalną przedmowę do eleganckiego wydania Sinobrodego (z ilustracjami mojej córki, Edith Squibb). Oto dalszy ciąg bełkotu o malowaniu, które i mnie, i ojcu wychodziło raczej miernie.

„Chcę powiedzieć wszystkim moim krewnym i znajomym z Anonimowych Alkoholików - zacząłem - że słusznie zrobili popadając w nałóg. Życie bez nałogów niewarte jest »kubła śliny«, jak mówi to piękne, amerykańskie powiedzenie. Problem polega na tym, że wybrali do tego śmiertelną



truciznę.

Bo istnieją też nałogi nieszkodliwe, a ich świetnymi przykładami są rzeczy, którymi zajmują się dzieci. Potrafią wstawić się na parę godzin pewnym dokładnie określonym aspektem tej Kupy Wszystkiego, czyli Wszechświata, na przykład wodą, śniegiem, błotem, kolorem, kamieniami (małymi, którymi rzucają, dużymi, pod które zagładają), echem, wydawaniem śmiesznych odgłosów, biciem w bębenek i tak dalej. Uczestniczy w tym tylko dwoje: dziecko i Wszechświat. Dziecko daje coś z siebie Wszechświatowi, a Kupa Wszystkiego daje dziecku coś śmiesznego, pięknego, a czasem rozczarowanie, strach, nawet ból. A dziecko uczy Wszechświat, jak się z nim dobrze bawić, jak być miłym, a nie złym. A zawodowi artyści-malarze, bo o nich jest spora część tej zmyślonej historyjki, to ludzie dorośli, którzy dalej bawią się jak dzieci różnymi maziami i brudem, kredą i rozdrobnionymi minerałami wymieszanymi z olejem, starym popiołem i tak dalej, którzy przez całe życie mażą coś, smarują, bazgrzą, zdrapują i... tak dalej. Ale w dzieciństwie było inaczej: wtedy byli sam na sam z Wszechświatem, i to sam Wszechświat nagradzał ich lub karał, jak starszy towarzysz zabawy. Kiedy malarz dorasta, a szczególnie kiedy musi zapewnić innym jedzenie, mieszkanie, i ubranie, nie mówiąc już o ciepłe w zimie, do swojej zabawy dopuszcza trzecią osobę, która w przerażający sposób może wystawiać na pośmiewisko albo zupełnie ponad miarę wyróżniać - słowem osobę kompletnie niezrównoważoną. Jest nią ta część społeczeństwa, która zwykle sama nie umie malować, ale za to wie doskonale, czego chce. Czasami jej wcieleniem bywa konkretny dyktator, jakiś Hitler, Stalin czy Mussolini, albo krytyk, albo kustosz, albo kolekcjoner, albo marchand, albo wierzyciel, albo teściowie.

Tak czy inaczej zabawa jest świetna, gdy biorą w niej udział dwie osoby, czyli malarz i Kupa Wszystkiego, ale troje to już cały tłum.

Vincent Van Gogh nie dopuścił do zabawy trzeciej osoby w ten sposób, że nie miał nikogo na utrzymaniu, nie sprzedawał swoich obrazów, poza nielicznymi, które kupił od niego ukochany brat, Theo, i że do minimum ograniczał rozmowy z innymi ludźmi. Większość malarzy nie może sobie pozwolić na ten luksus, jeżeli tak wielką samotność można nazwać luksusem.

Większość dobrych malarzy, których znam, wolałaby nie sprzedawać swoich obrazów. Grafik Sal Steinberg powiedział mi kiedyś z filuternie chytrym wyrazem twarzy, że nie rozstaje się ze swoimi dziełami, nawet gdy mu za nie dobrze zapłacą. Tworzy głównie ilustracje do książek i czasopism oraz plakaty, a te nie potrzebują żyć własnym, publicznym życiem. Steinberg żyje z kopii, a zatrzymuje oryginały.

Obrazy tworzą i sprzedają moje obie dorosłe córki. One też wolałyby ich nie sprzedawać, ale przez wspomnianą trzecią osobę muszą wystawiać je do adopcji. I osoba ta zawsze z wielkim przekonaniem służy radą, co powinny robić, żeby te ich dzieci lepiej nadawały się do adopcji, czyli jak lepiej prowadzić fabrykę dzieci.

Młodsza z nich jest teraz żoną malarza, który przez wiele lat żył, w biedzie, ale obecnie, jak to mówią, cieszy się powodzeniem. A z czego cieszą się najbardziej? Z tego, że teraz stać ich, żeby nie pozbywać się najlepszych obrazów, i sami mogą bawić się w kolekcjonerów.

Chodzi mi o to, że najbardziej zadowolony malarz na świecie to taki, który przez całe godziny, dni, tygodnie i lata może oddawać się swemu nałogowi, polegającemu na przekształcaniu materiału artystycznego dłońmi czy oczyma, a przy tym mieć cały świat w dupie.

Nawiasem mówiąc, mój sposób zarobkowania jest czysto urzędniczy, a przez to mozolny i uciążliwy. Każdy, kto przychodzi mi w tym przeszkodzić, choćby nie wiem jaki był nieprzyjemny, głupi czy nieszczerzy, jest niczym promień słońca, pojawiający się zniecka w pochmurny dzień.

Malowanie ma się tak do pisania, jak gaz rozweselający do grypy Hongkong.

Wracając do pionierów ekspresjonizmu abstrakcyjnego w Ameryce, tuż po drugiej wojnie światowej: trzeci uczestnik zabawy nagle wpakował się im z butami do mieszkania, szczególnie do mieszkania nieśmiałego i gołego jak święty turecki Jacksona Pollocka, z takim hałasem, jakby była to akcja policyjnej brygady antynarkotykowej. Pollock bawił się dotąd świetnie kapaniną i plackami farby na płótnie, na własną odpowiedzialność, własny koszt i własny użytek, zastanawiając się jak dziecko, czy to, co mu wyjdzie, będzie ciekawe, czy nie.

Było ciekawe.

Niewątpliwie dzięki owemu jego pierwszemu pociągnięciu pędzla, do którego dziecko byłoby całkowicie niezdolne oraz dzięki temu, że umysł dorosłego potrafi zachwycać się obrazami tworzonymi w taki właśnie sposób. Przy drugim pociągnięciu musiał zaufać intuicji, że poprowadzi jego dłoń i wykaże - robiąc z jednym to, z drugim tamto - ile w takich obrazach tajemniczej jedności i spełnienia.

Niektórzy okropnie wściekali się na niego, uważając go za oszusta i hochsztaplera, choć wściekanie się na obraz czy jakiegokolwiek dzieło sztuki jest akurat równie bezsensowne, jak wściekanie się na banana z bitą śmietaną. Równie niepokojący wydawali mi się niektórzy jego wielbiciele, głoszący, że Pollock dokonał niezwykłego przełomu, porównywalnego, powiedzmy, z odkryciem penicyliny. On i jego kumple robią coś epokowego, nie wolno im zatrzymać się na tej drodze. A wszyscy czujnie obserwują każdy ich krok.

Taka sensacja niosła za sobą mnóstwo pieniędzy i sławy, ale była również piekielnym hałasem dla uszu kogoś tak nieśmiałego i niewinnego, jak Jackson Pollock z Gody w stanie Wyoming. Zginął młodo, po pijanemu i, jak zgodnie twierdzą wszyscy, rozpaczliwie nieszczęśliwy - w wypadku samochodowym, któremu sam zawinił, a może i sprowokował. Nie znałem go, ale ośmielę się zaproponować epitafium na jego grób na cmentarzu Green River:

Troje to już tłum”.

(Nie zdawałem sobie dotąd sprawy, że farba i broń mają tyle ze sobą wspólnego: i jedno, i drugie sugeruje posiadaczowi zadziwiające i niepospolite rzeczy, których można dokonać za ich pomocą).

## IV

A teraz posłuchajcie tego:

„Gdziekolwiek się znajduję, nawet jeśli nie wiem dobrze gdzie, i niezależnie od tego, w jakich akurat jestem kłopotach, potrafię wprowadzić się w stan bezmyślnej, rozpromienionej szczęśliwości, jeśli tylko uda się mi dotrzeć na sam skraj naturalnego zbiornika wodnego. Sam skraj wszystkiego, co ciekłe, od strumyczka po ocean, mówi mi: »Teraz wiesz już, gdzie jesteś. Teraz wiesz już, dokąd iść. Już niedługo będziesz w domu«.

Dzieje się tak dlatego, że pierwsze mapy świata rysowałem w myślach, gdy jako małe dziecko spędzałem wakacje w naszym zimowym leżu nad jeziorem Maxincuckee, znajdującym się w północnej Indianie, w połowie drogi między Chicago a Indianapolis. Maxincuckee ma pięć kilometrów długości, szerokości zaś cztery w najszerszym miejscu. Jego brzeg jest zamkniętą pętlą. Gdziekolwiek się znalazłem na jego obwodzie, wystarczyło, że poszedłem w którąkolwiek stronę, i zawsze trafiałem do domu. Gdy wyruszałem na codzienne przygody, był ze mnie bardzo pewny siebie Marco Polo.

No właśnie. Zapytuję teraz czytelnika niniejszego tekstu, mojego niezbywalnego współpracownika: czy i twego, najgłębszego rozumienia czasoprzestrzeni, a więc i losu, nie kształtują, podobnie jak mojego, najpierwsze doświadczenia geograficzne, wpojone zasady, jak trafić do domu? Co takiego sprawia, że czujesz, choćby niesłusznie, że jesteś teraz na właściwej drodze, że wkrótce cało i zdrowo powrócisz do domu?

Zamknięta pętla brzegów jeziora prowadziła mnie prosto i pewnie nie tylko do nie ogrzewanego letniego domku rodziców, ale i do czterech sąsiednich domków, w których roili się nasi bliscy krewni. W dodatku obecni ojcowie każdej z tych gałęzi rodu również spędzali tu wakacje, co czyniło z nich niemal bezpośrednich spadkobierców indiańskiego szczepu Potawatomi. Mieli nawet własną nazwę rodu, która brzmiała mniej więcej: »Eptamajanhoje«. I później zdarzało się, że ojciec, dorosły przecież mężczyzna, wychodził na brzeg Maxincuckee i krzyczał, ot tak, na jezioro: »Epta majan hojh A jego kuzyn, łowiący ryby z dziurawego czółna, albo siostra, pogrążona w lekturze na hamaku, albo jeszcze ktoś inny odpowiadał: »Ja! Epta majan hojł\* Co to znaczy? Był to jakiś purenonsense z ich dzieciństwa. Gdyby zachować ten dialog w oryginalnej pisowni, znaczyłby po niemiecku: »Czy opaci koszą siano? Tak! Opaci koszą siano!«

Co z tego? Chyba niewiele; tyle tylko, bym mógł powiedzieć, że Potowatomich zastąpili Eptamajan-

-hoje, którzy zniknęli znad jeziora Maxincuckee bez śladu, zupełnie jakby nigdy ich tam nie było. Czy mi smutno? Wcale nie. Dzięki temu, że jezioro na stałe zapisało się w moim umyśle - gdy niewiele w nim jeszcze było, gdy chętnie przyswajał sobie każdą wiedzę - pozostanie moją własnością do końca życia. Wcale nie chcę znowu tam pojechać, bo dobrze mi tu, gdzie jestem. Tak się złożyło, że zeszłej wiosny widziałem je z wysokości około dziesięciu kilometrów, lecąc z

Louisville do Chicago. Patrzyłem na nie tak, jakbym przyglądał się pyłkowi kurzu pod mikroskopem. Dlatego powtarzam, że prawdziwe Maxincuckee było nie tam, na dole, tylko w mojej głowie.

To przez prawdziwe jezioro, to w mojej głowie, przepłynąłem wpraw, tak, całe cztery kilometry, kiedy miałem jedenaście lat, a w tym samym dziurawym czólnie płynęli, dopingując mnie, siostra, starsza ode mnie o pięć lat i brat, starszy o dziewięć. Siostra umarła trzydzieści lat temu. Brat, badacz atmosfery, ciągle trzyma się mocno, z głową w chmurach i elektryczności. Czasy zmieniają się, ale moje jezioro nie zmieni się nigdy.

Jeżeli kiedykolwiek napiszę powieść albo sztukę o Maxincuckee, będzie bardzo czechowowska, bo to, co tam zaobserwowałem wynikało z faktu, że kilkoro rodzeństwa odziedziczyło i usiłowało podzielić się wspólną, ukochaną posiadłością ze sobą nawzajem i swymi dziećmi, które, dorósłszy, odchodziły w świat, by nigdy nie powrócić, i tak dalej, i tak dalej. Naszą chatkę, współwłasność ojca i dwojga jego rodzeństwa, sprzedano pod koniec drugiej wojny światowej jakiemuś obcemu. Ten zgodził się przejąć ją o tydzień później, żebym mógł tuż po zwolnieniu z wojska zabrać tam moją młodą żonę na miesiąc miodowy. Był koncertmistrzem Indianapolitańskiej Orkiestry Symfonicznej, stąd pewnie ten romantyczny pomysł. Moja młoda żona, która nazywała się Jane Cox, a pochodziła z Anglii, wyznała mi, że jedna z jej krewnych zapytała ją: »Naprawdę chcesz mieć w rodzinie tych wszystkich Niemców?« I Jane, podobnie jak moja siostra, poszła już do Nieba. W czasie miodowego miesiąca zmusiła mnie, żebym czytał jej na głos Braci Karamazow, według niej najlepszą ze wszystkich istniejących powieści. Był to bardzo właściwy wybór lektury na ostatni pobyt w dawnej posiadłości rodzinnej, bo opowiada ona o ruchomych ludzkich duszach, a nie przywiązuje najmniejszej wagi do nieruchomości.

Była chłodna, choć słoneczna, późna jesień.

Pływaliśmy tym samym starym, dziurawym czólnem, które przez całe życie nazywałem »Beralikur« (to połączenie imion: mojego i rodzeństwa). Oczywiście nikomu nie przyszłoby do głowy wypisywać tę nazwę na łódce. Każdy, kto był kimś nad Maxincuckee i tak wiedział, że dziurawe czólno nazywa się Beralikur.

Powiedziałem Jane: - Kiedy miałem jedenaście lat, przepłynąłem wpraw na drugi brzeg.

- Już mi mówiłeś - odparła.

A ja na to: - Ty mi chyba nie wierzysz. Ja sam w to nie wierzę, a co dopiero ty? Ale chcesz, to zapytaj mojego brata albo siostrę, czy zmyślam. Przy okazji: Jane też była pisarką. Jej książka, *Angels without Wings\**, w której opisuje, jak wychowywaliśmy naszą dzieciarnię, ukazała się pośmiertnie zeszłej jesieni, dokładnie w czterdzieści dwa lata po naszym miodowym miesiącu.

Zapytała mnie podczas miodowego miesiąca, jaki wpływ miała na mój dziecięcy umysł Culver, tak zwana akademia wojskowa \*\*, o której nawet tu nie wspomniałem. Przecież znajdowała się na jednym z końców jeziora, i tam właśnie pracowała większość mieszkańców pobliskiego miasteczka, które też nazywało się Culver. Stanowiła jakby połączenie miniaturowego West Point z Annapolis; mieli oddział kawalerii, mnóstwo żaglówek, hałaśliwe defilady i tak dalej. Co wieczór o zachodzie słońca oddawali wystrzał armatni.

\* „Bezskrzydli aniołowie”.

\*\* W rzeczywistości jest to słynna z drakońskiej dyscypliny szkoła dla tzw. dzieci trudnych, służąca głównie jako straszak na wszystkie niegrzeczne dzieci.

- Myślałem o nich tylko wtedy, gdy strzelali

z armaty - odpowiedziałem - i bałem się, żeby mnie tam nie posłano, bo nie chciałem, żeby ktoś wrzeszczał na mnie i kazał nosić mundur.

Kiedyś, podczas naszego miodowego miesiąca, z głębin jeziora wyskoczył nur i wydał z siebie mrozący krew w żyłach, przenikliwy, płynny wrzask obłędu.

I dopiero teraz wiem, że powinienem był mu odpowiedzieć: \*Ja! Epta majan hojh

Przez dwadzieścia lat mieszkałem na przylądku Cod; dzięki temu w umysłach moich dzieci zapisane jest wszystko, co trzeba wiedzieć i czuć o zatoce w Barnstable, o bagnach, które napęniają się wodą w czasie przyływu i o stawku Coggina - bardzo głębokiej kałuży w polodowcowej niecce.

Te dzieci, wchodzące już w wiek średni i wychowujące własne dzieci, nie musiały przekonywać się na własnej skórze, że zatokę, bagna i stawek mogłyby nosić ze sobą wszędzie razem z duszą. Dom ich dzieciństwa w Barnstable nadal należy do rodziny; jest teraz ich wspólną własnością, bo otrzymały go w spadku po matce wraz z ewentualnymi honorariami autorskimi za jej książkę. Jedno z nich, malarka, mieszka tam przez okrągły rok z mężem i synem. Inni spadkobiercy przyjeżdżają tam często z współmałżonkami i dziećmi, najchętniej podczas ukochanych wakacji.

Ich dzieci, nad zatoką, stawkiem czy na bagnach, też uczą się bezpiecznie wracać do domu przed zachodem. Ile ich tu jest! Mimo najróżniejszego pochodzenia wszystkie mówią tym samym językiem, i na pewno mają kilka wspólnych słów, które nigdy nie pojawią się w żadnym słowniku, bo same je wymyśliły.

A jedno z ostatnich słów w Braciach Karamazow to: »Urral«” (Ten artykuł również ukazał się w Architectural Digest. Lubię pisać do tego czasopisma, bo mój ojciec i ojciec mojego ojca byli architektami. Może jest to z mojej strony wyrzut pod adresem ojca, może chcę powiedzieć mu, że wystarczyłoby słowo zachęty, bym został kolejnym Vonnegutem z długiej linii architektów tego nazwiska, pochodzących z Indiany. W Vermont pracuje zresztą młody architekt Scott Vonnegut, syn mojego starszego brata, Bernarda; ale Vermont to nie Indiana, Scott zaś nie jest i nigdy nie będzie tym, kim ja mogłem zostać - współnikiem mojego ojca).

Nie znałem mojego dziadka Bernarda, architekta, ale opowiadano mi, że tak nie znosił swego rodzinnego Indianapolis, że z ulgą umarł tam w całkiem jeszcze młodym wieku. Wolałby mieszkać w Nowym Jorku albo w Europie, gdzie spędził wiele lat, gdy jeszcze był młody. Myślę, że cieszyłby się z tego, że jego barbarzyńskie wnuczka z zabitej deski Indiany zawsze chciały gdzie indziej wieść życie - może w pięknym Dreźnie nad Łabą.

Mój ojciec, o czym ad nauseam powtarzałem gdzie indziej, oświadczył, że pozwoli mi pójść na studia tylko pod warunkiem, że zajmę się chemią. Jaki byłbym dumny, gdyby powiedział, że powinienem tak jak on zostać architektem.

(Boże! Ledwo zacząłem, a już odwaliłem kupę psychologicznej roboty! Zdążyłem wytłumaczyć, dlaczego skrycie obawiam się kobiet, i dlaczego zawsze, gdy mowa o architekturze, na mojej gębie pojawia się głupawy, zmieszany uśmiezek).

Na uroczystości żałobnej ku czci wspaniałego autora Donalda Barthelme'a (ten na pewno żałował, że umiera, bo z wiekiem pisał coraz lepiej), chlapanąłem ni stąd, ni zowąd, że łączył nas tajemny związek, niby dlatego, że obaj pochodzimy z Estonii na przykład czy z Wysp Fryzyjskich. (To musiało być w listopadzie 1989 roku). Znaliśmy się od wielu lat, ale nie była to bliska znajomość. Mimo to zawsze, gdy oczy nasze spotykały się, pojawiała się w nich potwierdzenie owego tajemnego związku i jego złożonych konsekwencji.

Właśnie: bo byliśmy synami architektów.

To tłumaczyło, dlaczego snujemy nasze opowieści w tak niekonwencjonalny sposób, mimo świadomości, że konwencje literackie są jakby formami grzecznościowymi na użytek czytelnika, i że na pewno nie należy nimi pogardzać. (Literatura, w odróżnieniu od innych form sztuki, wymaga by ci, do których przemawia, byli jej wykonawcami. Takim wykonaniem jest czytanie; jeżeli pisarz może zrobić coś, żeby ułatwić to trudne przedsięwzięcie, korzyść odnoszą wszyscy zainteresowani. Inaczej mówiąc, po co pisać symfonię, jeśli nie wykona jej choćby Filharmonia Nowojorska? Ale my, synowie architektów, staraliśmy się przede wszystkim zrealizować marzenie każdego architekta: zbudować dom, jakiego jeszcze nikt nigdy nie widział, a przy tym bardzo wygodny.

Grupa pisarzy amerykańskich, których lubiłem, poniosła spore straty. (Agentów spółek ubezpieczeniowych zajmujących się polisami na życie nie zdziwi takie oświadczenie z ust człowieka w wieku sześćdziesięciu siedmiu lat). Cztery dni po pogrzebie Barthelme'a odbyło się pożegnanie Bernarda Malamuda, który umarł w wieku lat siedemdziesięciu jeden. (Nie poszedłem, bo zachorowałem. Wybierałem się; miałem czytać na głos fragmenty jego dzieł). Na tamten świat przenieśli się też moi sąsiedzi z lotnisk na Long Island: James Jones, Nelson Algren, Truman Capote oraz Irwin Shaw. Najmłodszym z nich i najmniej użytym był właśnie Barthelme. Miał tylko pięćdziesiąt osiem lat. (Średni wiek amerykańskich poległych w drugiej wojnie światowej wynosił dwadzieścia sześć lat. W Wietnamie już tylko dwadzieścia. Wstyd i hańba!)

Nelson Algren przeżył siedemdziesiąt dwa lata (tak jak mój ojciec). Tak napisałem we wstępie do nowego wydania jego książki *Poranek nigdy nie przyjdzie* (wydawnictwo Four Walls Eight Windows, 1987): „Według pamiętnika mojej żony, Jill Krementz, 9. maja 1981 roku był u nas na obiedzie młody angloindyjski powieściopisarz, Salman Rushdie. W Stanach Zjednoczonych właśnie

ukazała się jego świetna powieść *Dzieci północy*>; powiedział nam, że najinteligentniejszą recenzję napisał o niej Nelson Algren, i że bardzo chciałby go poznać. Odparłem, że znamy trochę Algrena, bo Jill kilka razy robiła mu zdjęcia, i że w 1965 roku, kiedy obaj byliśmy goli jak święci tureccy (ja miałem czterdzieści trzy lata, on - pięćdziesiąt sześć), razem wykładaliśmy na Warsztatach Pisarskich na uniwersytecie Iowa.

Powiedziałem też, że Algren jest jednym z nielicznych znanych mi pisarzy, którzy są naprawdę dowcipni w rozmowie. Jako próbkę przytoczyłem to, co Algren powiedział w czasie Warsztatów po tym, jak przedstawiłem go chilijskiemu powieściopisarzowi Jose Donosowi: »To chyba fajnie pochodzić z kraju, który jest taki długi i taki wąski«.

Tłumaczyłem Rushdiemu, że naprawdę ma szczęście, bo Algren mieszka tylko o kilka kilometrów na północ, w Sag Harbor, tam, gdzie dokończył żywota John Steinbeck, i właśnie tego samego popołudnia wydaje cocktailparty (Algren, nie Steinbeck). Pomyślałem, że zatelefonuję do niego i zapowiem, że przywozimy Rushdiego. Jill trochę pofotografuje tych dwóch autorów piszących o biedocie... To pewnie jedyne przyjęcie, tłumaczyłem dalej żonie i Salmanowi, jakie Algren wydał w całym swym życiu, bo mimo sławy dalej pozostał biedakiem żyjącym wśród biedaków. W Sag Harbor mieszkał sam. Miał nową żonę w Iowa City, ale małżeństwo to było równie trwałe jak bańka mydlana. Entuzjazm, z jakim oddawał się pisaniu, czytaniu i hazardowi nie pozostawiał zbyt wiele czasu na obowiązki małżeńskie.

Opowiedziałem Rushdiemu, że Algren jest bardzo rozgoryczony, iż przez te wszystkie lata tak mało zarobił na swojej jakże ważnej twórczości. Szczególnie zaś niezadowolony był ze sprzedaży praw do filmowej adaptacji najlepszej zapewne jaką napisał książki, *Człowieka ze złotą ręką*, która jako film z Sinatrą zarobiła mnóstwo pieniędzy. Algren nie dostał ani grosza z zysku. Sam słyszałem, jak skarżył się kiedyś: „Jestem najtańszą dziwką literatury amerykańskiej”.

Więc kiedy skończyliśmy lunch) podszedłem do telefonu i wykręciłem numer Algrena. Słuchawkę podniósł jakiś facet. Powiedział: - Policja, komisariat Sag Harbor.

— O, przepraszam - rzuciłem automatycznie.—

Pomyłka.

— A z kim pan chciał rozmawiać?

— Z Nelsonem Algrenem - odpowiedziałem.

— To dobrze się pan dodzwonił - on na to - ale pan Algren nie żyje. - Tego samego dnia, przed południem, Algren zmarł na atak serca.

Pochowano go w Sag Harbor - na pogrzebie nie było ani wdowy, ani potomków - setki, setki

kilometrów od Chicago, które wydało go na świat; a z którego ciemną stroną tak często go utożsamiano. Podobnie jak James Joyce, musiał iść na wygnanie, bo napisał, że jego sąsiedzi nie są może tak szlachetni, inteligentni i mili, jak im się chętnie wydaje. Na kilka zaledwie tygodni przed śmiercią grupa ludzi rzekomo mu równych, w tym ja, przyznała Algrenowi członkostwo Amerykańskiej Akademii i Instytutu Sztuki i Literatury \* - dowód uznania, którym nie mogło poszczycić się wielu pisarzy tej miary co James Jones czy Irwin Shaw. Nie było to bynajmniej pierwsze wyróżnienie, jakie go spotkało. Osiągnąwszy szczyt sławy i własnych możliwości w połowie tego wieku, regularnie zdobywał różne nagrody za opowiadania; został pierwszym w historii laureatem Krajowej Nagrody Literackiej w dziedzinie powieści, i tak dalej. Jeszcze na kilka lat przed śmiercią ta sama Akademia i ten sam Instytut przyznały mu medal za osiągnięcia literackie, ale bez członkostwa. Taki sam medal dostawali pisarze pokroju Williama Faulknera i Ernesta Hemingwaya.

Algren zareagował na ten medal w sposób dość obelżywy. Wtedy mieszkał jeszcze w Chicago, i sam błagałem go, aby przyjechał do Nowego Jorku na uroczystość, a my pokryjemy wszystkie koszty. Jego ostateczna odpowiedź brzmiała: „Przykro mi, ale jestem już umówiony na odczyt w kole gospodyń”. Miałem nadzieję, że na cocktailparty> którego perspektywa może go zabiła, zapytam go, czy członkostwo Akademii i Instytutu ucieszyło go bardziej niż medal. Inni jego znajomi twierdzili, że przyznanie członkostwa niezwykle go wzruszyło, tak bardzo, że zebrał w sobie dość odwagi, by wydać to nieszczęsne przyjęcie. A obraza, jakiej we własnym mniemaniu doznał, otrzymując przedtem tylko medal, bez członkostwa, była głupią, biurokratyczną omyłką tych, którzy je przyznawali - równie jak sam Algren w tych sprawach leniwych, roztargnionych i drażliwych pisarzy.

\* Członkowie Institute of Arts and Letters (powstałego w 1898 roku) założyli w 1904 roku American Academy of Arts and Letters. Spośród członków Instytutu (jest ich 250) wybiera się 50 członków Akademii.

Bóg jeden wie, jak do tego doszło, ale wszystko dobre, co się dobrze kończy.

Słyszałem też od różnych ludzi - nigdy od samego Algrena - jak bardzo pragnie, żeby pamiętano o nim po śmierci. Zawsze bardzo ciepło mówiły o tym kobiety. Gdyby okazało się, że nigdy nie zwierzył się ze swej nadziei na nieśmiertelność żadnemu mężczyźnie, byłoby to w zupełności zgodne z jego charakterem. Kiedy widywałem go w towarzystwie samych mężczyzn, Algren zachowywał się, jakby nie pragnął od życia niczego więcej poza graniem w pokera, chodzeniem na mecze bokserskie i wyścigi konne. Na tę pozę nikt oczywiście nie dawał się nabrać. W Iowa City wiedzieliśmy również, że Algren przegrywa w karty mnóstwo forsy, i że nie idzie mu pisanie. Zdążył stworzyć już mnóstwo rzeczy, w większości w nastroju Wielkiego Kryzysu, a to przecież zamierzchłe czasy. Algren chciał się chyba jakoś uwspółcześnić. Skąd o tym wiem? Bo on, prawdziwy mistrz opowiadania, odczuwał zupełnie nieproporcjonalny podziw i targaną nim zazdrość z powodu średnio nowatorskiego kryminału, ukazującego się wówczas w odcinkach w New Yorkerze, czyli Z zimną krwią Trumana Capote. Przez jakiś czas, kiedy siedzieliśmy w Iowa, nie potrafił rozmawiać o niczym innym.

Choć był starszy ode mnie zaledwie o trzynaście lat, tak mało, że zaciągnięto nas na tę samą wojnę w Europie, stał się moim dziadkiempionierem w skomprimowanej historii literatury amerykańskiej. Jego nowatorstwo polegało na tym, że opisywał ludzi, o których twierdzono, że są pozbawieni cech ludzkich przez nędzę, głupotę i niesprawiedliwość jako rzeczywiście tych cech pozbawionych, i to na stałe. Porównajcie sobie biedaków z opowieści Algrena z biedakami z dzieł naprawiaczy społeczeństwa, takich jak Dickens czy George Bernard Shaw, szczególnie z tymi z Pigmaliona> pełnymi jakże optymistycznie nastrajającej inteligencji, zaradności i dzielności. Opisując własne obserwacje zdehumanizowanych Amerykanów - widział ich dzień w dzień, rok w rok - Algren chciał powiedzieć: »A wiecie, że ci, których wam tak strasznie żal, są bardzo często podli i głupi? Właśnie, właśnie. Tak jest«.

A dlaczego nie zamierzał ugrzecznic swych opowieści, jak uczyniłoby wielu pisarzy, postaciami niezbyt mądrymi i wpływowymi, ale starającymi się z całych sił pomóc tym zdehumanizowanym biedakom? Znowu przez swoją obsesję prawdy, która sprawiała, że był taki niepopularny. Wiedział, a wiedzę tę czerpał z własnego doświadczenia, że altruista to okaz tak rzadki, jak jednorozec, tym bardziej w Chicago, jak mi kiedyś powiedział »jedynym z wielkich miast, w którym łatwo wykupić się nawet od oskarżenia o morderstwo\*.

Czy naprawdę spodziewał się, że osiągnie coś tą przerażającą szczerością? Odpowiedź na to pytanie daje chyba sam w przedmowie do niniejszej książki. Na pewno zgodziłby się ze mną, że ludzie nieszczęśliwi, biedni i niezbyt roztargnięci godni są szacunku za to tylko, że żyją, choć żeby



przeżyć, muszą czasem chwytając się mniej pięknych czy chwalebnych sposobów niż ci, którym powodzi się znacznie lepiej. Wydaje mi się teraz, że pesymizm, z jakim Algren pisał o życiu na naszej planecie, miał wybitnie chrześcijański charakter. Podobnie jak Chrystus, taki, jakiego znamy z Biblii, był oczarowany biednymi, nie mógł od nich oderwać oczu, ale nie miał dla nich dobrej nowiny, widząc jak nisko upadli, jaki jest Cezar i tak dalej - chyba że po śmierci czeka ich bardziej ludzka przyszłość”.

Tu kończy się mój wstęp. Bardzo niewiele wiedziałem o życiu seksualnym Algrena (podobnie zresztą jak o swoim), ale później przeczytałem w Simone de Beauvoir autorstwa Deirdre Bair (wydawnictwo Summit, 1990), że to on pomógł panie de Beauvoir osiągnąć jej pierwszy orgazm. (Jedyną osobą, której ja pomogłem osiągnąć jej pierwszy orgazm był mój stary, dobry kumpel - ja sam). Kiedy byliśmy w Iowa City, Algren nigdy nie nazywał Simone inaczej jak „Madame Chlapchlap” - za to, że nadała ich związkowi taki rozgłos.

Napisałem też wstęp do zbioru opowiadań Budda Schulberga i długi panegiryk do książki pamiątkowej na osiemdziesiąte urodziny Erskine’a Caldwell. (Zostały mu wtedy jeszcze trzy lata). Oba teksty gdzieś mi się zapodziały - może to i lepiej. Jeśli dobrze pamiętam, w obu wydziwiałem nad skrótem, w jakim obserwuje się historię literacką Ameryki, przez co różnice wieku między pozornie odrębnymi pokoleniami pisarzy nie sięgają czasem dwudziestu lat. Kiedy sam zaistniałem jako zawodowy prozaik, Irwin Shaw, Nelson Algren, William Saroyan, John Cheever, Erskine Caldwell, Budd Schulberg i James T. Farrell wydawali mi się równie odwieczni jak Mark Twain czy Nathaniel Hawthorne. A tymczasem z każdym z nich prędzej czy później zaprzyjaźniłem się. I dlaczego by nie? Z wyjątkiem Caldwell większość była w wieku mojego starszego brata Bernarda. (Nie było mi dane poznać Johna Steinbecka, ale znam wdowę po nim, Elaine, która jest mniej więcej w wieku mojej zmarłej siostry).

Za to skrócenie perspektywy winić należy spektakularny gwałt na kulturze, jakiego dopuszczają się nasze czasy. Kształtują nas boomy, kryzysy i wojny, każde z nich kompletnie różnią się od poprzednich atmosferą, celem i techniką. Moja żona, Jill, robiła reportaże o wojnie wietnamskiej. Dla młodych ludzi, o których teraz pisze, wojna ta mogłaby równie dobrze toczyć się tysiąc lat temu.

Tak jest.

Byłem uczniem w czasach Wielkiego Kryzysu, a więc epoce, która ukształtowała Steinbecka, Saroyana i Algrena. Pierwsza wojna światowa, która ukształtowała Ernesta Hemingwaya, dla mnie też mogłaby równie dobrze toczyć się tysiąc lat temu - chociaż znałem i po nim wdowę. Mary; urodził się po moim wuju Aleksie (ale umarł przed nim), tym samym, który poszedł na Harvard, bo na MIT studiował już jego starszy brat.

„Nie znałem Ernesta Hemingwaya - powiedziałem

kilka lat temu grupie specjalistów od niego, obradujących w Boise w stanie Idaho. - Był ode mnie starszy o dwadzieścia trzy lata; teraz miałby dziewięćdziesiąt. Obaj urodziliśmy się na

Srodkowym Zachodzie, zamierzaliśmy zostać dziennikarzami, nasi ojcowie mieli fioła na punkcie broni palnej, czuliśmy się spadkobiercami Marka Twaina i któreś z naszych rodziców popełniło samobójstwo.

Nie sądzę, żeby miał szczególnie dobre zdanie o moim pokoleniu powieściopisarzy amerykańskich. Wiem, że Norman Mailer wysłał mu świeżo wydanych Nagich i martwych. Dostał z powrotem nie otwartą paczkę. Hemingway szydził z Irwina Shawa, że, jak to określił, ośmielił się wejść na ten sam ring, co Tolstoj, pisząc powieść będącą spojrzeniem na wojnę z obu stron frontu: Młode lwy. Znam tylko dwóch przedstawicieli mojego pokolenia, których chwalił. Nelsona Algrena, chicagowskiego twardziela, będącego za pan brat z bokserami i karciarzami, oraz Vance'a Bourjaily, zapalonego myśliwego, który podczas drugiej wojny światowej, tak jak Hemingway w pierwszej, został kierowcą sanitarki przy jednostce bojowej. James Jones, autor Stąd do wieczności, który lubił sobie postrzelać najpierw, kiedy trwał jeszcze pokój, powiedział mi, że nie uznawał Hemingwaya za towarzysza broni, bo ten nigdy nie poddał się szkoleniu czy dyscyplinie. W czasie hiszpańskiej wojny domowej, a potem w drugiej wojnie światowej Hemingway ani nie słuchał rozkazów, ani ich nie wydawał. Robił wyłącznie to, na co miał ochotę. Przez jakiś czas nawet tropił niemieckie łodzie podwodne na Karaibach - własną łodzią i na własny rachunek.

Został kronikarzem wojny, i to jednym z najlepszych, jakich kiedykolwiek poznał świat. Podobnie Tolstoj - który w dodatku był żołnierzem z prawdziwego zdarzenia.

Do pierwszej wojny światowej Stany Zjednoczone przystąpiły tak późno, że Amerykanin, który naprawdę miał co o tym opowiadać, był nie byle jaką rzadkością. Należał do nich Hemingway. On zresztą należał do jeszcze większych rzadkości, bo świeżo powróciwszy z następnego pola bitwy pisał o wojnie domowej w Hiszpanii.

Ale potem, w drugiej wojnie światowej, prawdziwe historie wojenne mocno się zdewaluowały, kiedy poza krajem walczyły nas całe miliony i już nie potrzebowaliśmy żadnego Hemingwaya, żeby nam o tym opowiedział. Joseph Heller wyznał mi kiedyś, że gdyby nie druga wojna światowa, po dziś dzień pracowałby w pralni chemicznej.

Heller to oczywiście autor Paragrafu 22, książki dzisiaj znacznie bardziej poważanej niż Pożegnanie z bronią czy Komu bije dzwon. Najważniejszym słowem niniejszego wystąpienia jest »dzisiaj«. Hemingway był niewątpliwie pierwszorzędnym artystą, a duszę miał wielką, mniej więcej jak Kilimandzaro. Jednak dobór tematów jego dzieł, te wszystkie corridy, dawno zapomniane wojny i zabijanie wielkich zwierząt dla sportu, sprawia, że jest dzisiaj trochę trudny w odbiorze. Ochrona przyrody, ludzkie traktowanie zwierząt i pogarda dla tak zwanej sztuki wojennej znajdują się dzisiaj wysoko na liście idei uprzywilejowanych.

Iluż z nas potrafi jeszcze znaleźć przyjemność w tych słowach Zielonych wzgórz Afryki Hemingwaya: »Wiedziałem, że jeżeli zdołam zabić lwa samemu... będę miał potem przez długi czas dobre samopoczucie. Postanowiłem absolutnie nie strzelać, jeśli nie będę pewny, że go zabiję; zastrzeliłem już trzy i wiedziałem, na czym to polega, ale ten dawał mi więcej emocji niż cała wyprawa«\*.

Wyobraźcie to sobie dzisiaj: chwalić się, że zabiło się trzy lwy i donosić, że odczuwa się rozkosz na myśl o zabiciu jeszcze jednego.

Vance Bourjaily, jak już powiedziałem, podziwiany przez Hemingwaya, podał mi kiedyś myśliwską zasadę trzech palców: »Im większa zwierzyzna, tym bardziej zepsuta jest dusza myśliwego«. A jeśli komuś imponuje dzisiaj polowanie na grubego zwierza, to przewiduje się, że ostatni słoń w Afryce Wschodniej zdechnie z głodu lub zostanie zabity dla kłów za około osiem lat.

Co do corridy, w naszym kraju lubi ją tak mało osób, że jest nielegalna. Tutaj akurat nie muszę

dodać słówka »dzisiaj«, bo walki byków były tu zabronione na długo przed urodzeniem się Hemingwaya. Paradoksalnie właśnie te jego opowiadania ciągle najbardziej lubię - może dlatego, że jest to coś tak odległego od mych pasji i doświadczenia, że mogę traktować je jako fenomen etnograficzny, jako zapiski badacza społeczeństwa, za które nie muszę czuć się odpowiedzialny.

Dodam szybko, że niezależnie od tego, jak bardzo denerwują mnie tematy, które porusza, zawsze zadziwia mnie i zachwyca siła, jaką odkrywa w najprostszym języku. Oto przypadkowa próbka z opowiadania Rzeka dwóch serc: »Nick usiadł, oparł się o zwęglony pień i zapalił papierosa. Tobolek leżał równo na wierzchu pnia, widać było wgłębienie odcisnięte przez plecy Nicka, rzemienie zwisały gotowe do nałożenia. Nick siedział paląc i rozglądając się po okolicy. Nie potrzebował wyjmować mapy. Wiedział, gdzie jest, orientując się według rzeki. Kiedy tak palił wyciągnąwszy przed siebie nogi, zauważył pasikonika, który laźł po ziemi, a potem wpełznął na jego wełnianą skarpetkę. Był czarny. Kiedy Nick szedł pod górę, wypłoszył z pyłu drogi wiele pasikoników. Wszystkie były czarne«\*.

(Pasikoniki były czarne oczywiście dlatego, że wszystko niedawno poszło z dymem i kolor czarny stał się najlepszą barwą ochronną).

Nie ma obawy, że któreś słowo się powtórzy. Ilu z was miało nauczycieli, mówiących wam, by nigdy nie używać żadnego słowa dwa razy w tym samym akapicie, a nawet w sąsiednich? Przy okazji: największe słowo w tym fragmencie to „pasikoniki”. Wielkie, co? Najmocniejsze słowo to „czarne”. Mocne, co? Ja sam, gdy uczę pisania, powtarzam, że ludzie nie będą czytać książek, w których nic się nie dzieje. A przecież w dwóch najbardziej przejmujących opowiadaniach Hemingwaya: Jasne, dobrze oświetlone miejsce i znowu w Rzece dwóch serc, nie dzieje się prawie nic. Jak to możliwe? Wszystko zależy od tego, jak się prowadzi pędzel. Gdyby Hemingway był malarzem, powiedziałbym o nim, że chociaż często nie przypadają mi do gustu jego ulubione tematy, mam cholerny szacunek dla sposobu, w jaki prowadzi pędzel.

Ech, mój Boże! Jaki on już staromodny! Tak, tak, w tym ulotnym wieku trzeba być przygotowanym na to, że entuzjazm i pasje początków naszego życia dorosłego również staną się staromodne. To, co spotkało Hemingwaya, spotkało lub spotka też i nas,

\* Przekład B. Zielińskiego.

pisarzy i nie pisarzy. Nie ma rady i dlatego nie trzeba wyśmiewać kogoś, komu to się przytrafiło. Rekiny prawie zawsze dopadają w końcu marliny, te wielkie prawdy, które z taką dumą przytracamy za młodu do naszej łodzi.

Pierwszego rekina, który nadgryzł hemingwayowskiego marlina, nazwałem ruchem ochrony przyrody. Drugim jest feminizm. Myślę, że nie muszę się nad tym rozwodzić. Koła żon myśliwych rozwiązano u nas już dość dawno temu.

Ernest Hemingway nadal jest sławny, chociaż nie wyklada się o nim wiele w szkołach i na uniwersytetach. Cokolwiek powiedzieć, to właśnie nauczyciele pielęgnyją czyjaś sławę lub pozwalają jej odejść w cień. W tych środowiskach Hemingway był kiedyś tak ważny jak General Motors czy The New York Times. Tylko pomyślcie: jeden człowiek, mający w sobie tyle majestatu, co wielka instytucja. Pomyślcie o Harriet Beecher Stowe. Taka bywa siła drukowanego słowa. Ostatnio znów mieliśmy do czynienia z tragiczną demonstracją siły. Chodzi mi o Salmana Rushdiego, który nieświadomie, za sprawą jednej książki, stał się drugim pod względem sławy „mahometaninem na świecie, a równocześnie człowiekiem, któremu wypowiedziało śmiertelną wojnę całe wielkie państwo. Kilkadziesiąt lat temu samotny powieściopisarz zagroził Związkowi Radzieckiemu

bardziej, niż jakakolwiek klęska militarna. Mówię o Aleksandrze Solżenicynie. To zresztą wszystko dygresje. Znaczenie Stowe, Solżenicyna i biednego Rushdiego w oczach świata polega w dużej mierze na tym, że chce im się przeciwstawiać pewnym silnym grupom społeczeństwa. Przez jakiś czas Hemingway sprawiał wrażenie, że jest równie ważny, ale nie robiąc sobie żadnych wrogów, nie nawołując do żadnych reform. Jego antyfaszyzm, przynajmniej ten na papierze, był nieanalityczny, by nie rzec - sztubacki.

Skąd więc brała się siła, która przez jakiś czas wyniosła go na poziom Stowe, Solżenicyna, biednego Rushdiego, General Motors i The New York Times'a. Wydaje mi się, że wynikała ona z jego uwielbienia dla męskiej przyjaźni w czasach, gdy w Ameryce i w Europie wszyscy bali się, żeby nie wzięto ich za homoseksualistów.

Kiedyś zapytano Margaret Mead- jeden z wielkich autorytetów antropologii - która badała mężczyzn, kobiety i dzieci we wszystkich społeczeństwach, kiedy mężczyzna jest najszcześliwszy. Pomyślała przez chwilę, po czym odpowiedziała: »Kiedy wyrusza na polowanie, bez kobiet i bez dzieci«. Chyba miała rację. Może nie? W czasach, kiedy wojna była po prostu szczególnie przypadkiem polowania, podobne uczucie radości dawało wyruszenie na wojenną ścieżkę. Pójdę dalej w mych domysłach: pozwolenie na ten ich szczególny związek, dane mężczyznom przez kobiety i dzieci, było głównym składnikiem tej radości.

Nie mówię teraz o homoseksualizmie klinicznym. Bardzo chętnie, ale innym razem. Kiedy powiadam, że męska przyjaźń, miłość mężczyzny do mężczyzny w obliczu niebezpieczeństwa, jest często największą nagrodą dla postaci z opowiadań Ernesta Hemingwaya, nie twierdzę, że Hemingway był gejem. Nie był, i w ogóle nie pytajcie o to mnie, tylko Marlenę Dietrich, która jest wciąż tak samo żywa i wciąż tak samo piękna. I jakie nogi!

Podczas mojego ostatniego pobytu w Boise, również na wykładzie, poznałem pewną miłą panią, która traktowała mężczyzn z wisielczym humorem. Jej mąż, uzbrojony po zęby, był właśnie na polowaniu w towarzystwie koleśków. Strasznie się z tego śmiała; mówiła, że mężczyźni muszą znaleźć się na dworze, popić nieco, pozabijać trochę żywych stworzeń, i dopiero wtedy mogą dać sobie nawzajem dowody miłości. Uważała, że to idiotyczne sprawiać sobie tyle kłopotu i wpędzać się w takie koszty, żeby wyrazić coś tak prostego i naturalnego jak miłość. To mi przypomina, co Vance Bourjaily powiedział mi kiedyś o polowaniu na kaczkę: »To tak, jakby stać w pełnym stroju pod prysznicem i drzeć na kawałki banknoty dwudziestodolarowe«.

Nawiasem mówiąc, ja też nosiłem karabin podczas wojny i też doznałem wtedy tego, co tak ukochał Hemingway. Rzeczywiście, mocna rzecz.

Ale dość już; jestem nieco zażenowany.

Bardzo niewielu pisarzy w średnim wieku wie tak dokładnie, jak wiedział Hemingway, co z boską pomocą powinni jeszcze osiągnąć. Ja nie wiedziałem tego ani gdy byłem w średnim wieku, ani teraz. On, kiedy miał trzydzieści dziewięć lat - zostało mu dwadzieścia trzy - powiedział, że ma nadzieję napisać jeszcze trzy powieści i dwadzieścia pięć opowiadań. Mówił to, gdy wydał już wszystkie z czterdziestu dziewięciu genialnych opowiadań, które dzisiaj są chyba jego najtrwalszym wkładem w literaturę światową. Nie napisał tych dodatkowych dwudziestu pięciu. Nie napisał już ani jednego. Mówił to, gdy wydał już cztery powieści: Wiosenne potoki, Słońce też wschodzi, które przyniosło mu światowy rozgłos, Pożegnanie z bronią, które potwierdziło jego pozycję na tej planecie, i znacznie słabsze Mieć i nie mieć. Ostatecznie wypełnił postanowienia umowy, jaką zawarł sam ze sobą w 1938 roku, wydając trzy kolejne książki: Komu bije dzwon, Za rzekę, w cień drzew i krótką powieść, za którą dostał zasłużonego Nobla, Stary człowiek i morze. Ta ostatnia opowiada oczywiście o tym, co rekiny zrobiły marlinowi starego człowieka. Hemingway nie był wtedy w

wieku, który powszechnie uważa się za starość, ale na pewno czuł się staro.

Nagrodę Nobla otrzymał w 1954 roku, po czym nastąpiło siedem lat milczenia. A potem, niedaleko od miejsca, w którym teraz się znajdujemy, stworzył coś, co sam może uważał za jeszcze jedno dzieło sztuki, choć dzieło makabryczne - zadał sobie własną ręką śmierć. Wydaje mi się całkiem możliwe, iż za najlepsze ze swych opowieści uważał własne życie, a w tej sytuacji samobójczy strzał jest znakiem przestankowym - kropką, takim filmowym »The end«.

Przypomniało mi się samobójstwo innego genialnego Amerykanina, George'a Eastmana, wynalazcy kamery Kodaka, założyciela Eastman Kodak Company, który zastrzelił się w 1932 roku. Nie był ani chory, ani zrozpaczony, a w swym pożegnalnym liście napisał to, co pod koniec życia musiał czuć Ernest Hemingway: »Moja praca skończona«.

Dziękuję za uwagę”.

(Skończyłem przemówienie i zapakowano nas wszystkich do żółtego autobusu szkolnego, który zawiózł nas do hiszpańskiej restauracji).

Hemingway należał do instytucji, która obecnie nosi nazwę Amerykańskiej Akademii i Instytutu Sztuki i Literatury. Założona w roku 1898, ma teraz izbę niższą i wyższą: do znacznie mniejszej Akademii należą, że tak powiem, oficerowie, do Instytutu - szeregowcy. (Ja jestem starszym szeregowcem; pewnie wciąż wlecze się za mną to dossier ze szkolenia oficerskiego w Cornell). Do izby wyższej dostali się za to Truman Capote i Er skinę Caldwell. Nelson Algren wśliznął się kominem do niższej. James Jones oraz Irwin Shaw zdążyli umrzeć, nim doczekali się podobnego zaszczytu; może brakowało im tego czegoś, na czym zależy naszej organizacji.

W typowej bzdurce na okładkę wyboru pism Jamesa Jonesa (The James Jones Reader, wydawnictwo Lane Press, 1991) napisałem o nim, że był Tołstojem piechoty amerykańskiej w ostatniej sprawiedliwej wojnie, w zapomnianej już erze Zwykłego Człowieka. Jones był zwykłym żołnierzem, a przy tym geniuszem. Naprawdę tak uważam.

Wybór do naszego Instytutu i Akademii jest sprawą całkowicie przypadkową, bo nominacje i głosowanie jest dziełem wariatów, to znaczy malarzy, pisarzy i muzyków, którzy już do niej należą. Zupełnie nie nadają się do tej urzędniczej pracy, są wręcz przysłowiowo roztargnieni, a przy ocenie dzieł innych artystów kierują się albo zawiścią, albo ignorancją. I co chwila zawierane są takie układy, że pisarz mówi do muzyka: „Zagłosuję na kogoś z twojej branży, o kim w życiu nie słyszałem, jeśli ty zagłosujesz na kogoś z mojej, o kim w życiu nie słyszałeś”. I tak dalej.

Czasami wydaje mi się, że Amerykańska Akademia i Instytut Sztuki i Literatury w ogóle nie powinny istnieć, bo nie tylko honorują twórców, ale ich też obrażają. Popatrzcie, co zrobili Jamesowi Jonesowi i Irwinowi Shawowi. Wyobrażacie sobie, jak musieli się czuć przy każdej, nawet najmniejszej wzmiance o Akademii? Podobnie potraktowanych a prawdziwie wybitnych twórców amerykańskich musi być w tej chwili ponad setka.

Wielki humorysta z Indiany, Kin Hubbard (jego kandydatury nawet nie rozpatrywano) powiedział, że to nie grzech być biednym, ale straszny wstyd. To nie grzech nie należeć do Akademii, ale straszny wstyd.

Należał do niej, dzięki Bogu choć za to, Tennessee Williams (1911-1983). (Był w końcu naszym największym dramaturgiem). Jeszcze zanim Jill i ja zamieszkaliśmy razem, któregoś wieczoru przypro-wadziła go do mojego mieszkania. Tak podnieciłem się poznaniem kogoś, kto tak wstrząsająco, zabawnie i współczująco pisał o Amerykanach nie mieszkają-

cych w Nowym Jorku, że rąbnąłem się do krwi  
o moją marmurową ławę, gdy wstawałem, żeby  
uścisnąć mu dłoń. (Tak jak T.S. Eliot, dorastał w St Louis, ale tylko Williams przyznawał się do  
tego, i nie zaczynał ni stąd, ni zowąd mówić po angielsku jak arcybiskup Canterbury).

Mimo to jedyną rzeczą, którą o nim napisałem, była doręczona przez posłańca notatka do aktorki  
Marii Tucci, która mieszka naprzeciw. Brała udział w próbach Nocą iguany Williamsa i zwierzyła  
mi się, że ich zespół jakoś nie „czuje” tej sztuki. Napisałem jej więc, że iguana jest zwierzęciem o  
obrzydliwym wyglądzie, ale bardzo smacznym, i że sztuka ta mówi, że lepiej kochać coś, co inni  
mogą uznać za brzydkie, niż nie kochać w ogóle. A kto zje iguanę, ten dobrze się naje.

## VI

(Ciekawostki: Aldous Huxley umarł tego samego dnia, co John F. Kennedy. Louis-Ferdinand Celinę umarł w dwa dni po Erneście Hemingwayu).

Requiem to msza za zmarłych, śpiewana zwykle po łacinie. Dla tych, którzy nie znają łaciny, a więc i dla mnie, jej słowa są pełne bezsensownego piękna. Co to kogo obchodzi, co znaczą? To requiem, do którego pisało muzykę tylu kompozytorów, zostało zatwierdzone przez papieża Piusa V Świętego w roku 1570 dekretem Soboru Trydenckiego. Ten rok jest znacznie, ale to znacznie bliższy naszym czasom niż czasom Jezusa Chrystusa.

Zaczyna się i kończy dość nieszkodliwie: Requiem aeternam dona eis, Domine; et lux perpetua luceat eis, co znaczy: „Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci”. (Ktoś niezorientowany, biorący wszystko zbyt dosłownie, mógłby pomyśleć, że Huxley, Kennedy, Celinę, Hemingway, moja siostra, moja pierwsza żona Jane, i wszyscy inni umarli próbują teraz zasnąć przy zapalonym świetle).

12. lutego 1985 roku byłem z moją drugą żoną,

Jill, na światowej premierze nowej wersji muzycznej tej mszy, skomponowanej przez Andrew Lloyd Webbera (urodzonego w roku 1948, kiedy ja byłem specem od reklamy w General Electric). Lloyd Webber miał już wtedy za sobą Jesus Christ Superstar, Evitę i Koty.

(Zawsze uważałem, że T.S.

Eliot, którego wiersze o kotach zainspirowały tego ostatniego do napisania musicalu, ściągnął cały pomysł z Archie and Mehitabel Dona Marquisa, którego żona była przedtem żoną Waltera Vonneguta).

Premiera requiem Lloyd Webbera odbyła się

w kościele Św. Tomasza na Piątej Alei na Manhattanie, instytucji wybitnie anglikańskiej, choć wyraźnie rzymskokatolickie słowa mszy zawdzięczały sporo zawartego w nich gniewu wyrwaniu się Anglii spod duchowej władzy papieżstwa. Jeśli potrafię to ocenić, jedną połowę ubranej wieczorowo widowni stanowili protestanci, drugą - Żydzi. (Katolikami mogli być niektórzy muzycy, technicy telewizyjni i pilnujący kościoła od zewnątrz policjanci).

Zdaje się, że mało kto wiedział, co znaczą łacińskie słowa mszy, i mało kogo to obchodziło. Wszyscy przyszliśmy tam przecież dla muzyki (albo ze snobizmu). W końcu śpiewać - i to bardzo długo - miał sam Placido Domingo (jeden z muzykówkatolików), z towarzyszeniem połączonych chórów chłopięcych kościoła Św. Tomasza i katedry winchesterskiej (aż z Anglii) i przy wsparciu orkiestry Filharmonii Nowojorskiej. I zaczęli! Requiem aeternam dona eis, Domine, et cetera. Oczarowała mnie kocia twarz i srebrny głosik solisty chłopięcego chóru katedry winchesterskiej, więc zajrzałem do programu, żeby zobaczyć, jak się nazywa. Niech Bóg go ma w swojej opiece: Paul Miles-Kingston! \*

\* To tak jakby nazywać się po polsku Topór-Wypsztycki.

Ale potem moją uwagę zwróciło co innego: tłumaczenie słów mszy, które oczywiście nikogo z

obecnych nie obchodziły. A były straszne! (Jeżeli komuś wydaje się, że wyśmiewam Pismo Święte, jeszcze raz przypominam, że msza ta jest dziełem czysto ludzkim i prawie tak współczesnym, przy szerokim spojrzeniu na historię, jak Zielone wzgórza Afryki Hemingwaya).

A tymczasem na scenie, na tle rur organów, Domingo, Paul Miles-Kingston i Sarah Brightman, sopran, a prywatnie żona Lloyd Webbera, no i cała reszta, zachowywali się, jakby Bóg był przemitym gościem, który na po śmierci przygotował im najróżniejsze przyjemności. A gdyby rozumieli, co śpiewają, wiedzieliby, że raj, który obiecują, nosi wszelkie znamiona hiszpańskiej Inkwizycji.

Quantus tremor est futurus, quando iudex est venturus, cuncta stricte discussurus! Hura! Jak fajnie! Jak miło! Tylko że znaczy to: „Jakiż będzie płacz i łkanie, gdy dzieł naszych sędzia stanie, odpowiedzieć każąc za nie!” \*

Quid sum miser tunc dicturus? Quem patronum rogaturus, cum vix justus sit securus? Z wyrazu twarzy i gestykulacji wykonawców można by wnosić, że słabi nie muszą obawiać się Nieba, że zewsząd otoczy ich tam łaska i przebaczenie. Akurat! Śpiewali: „Cóż mam, nędzarz, ku obronie, czyją pieczę się zasłonię, gdy i święty zadrży w łonie?”

Rozkoszne, co? (Msza żałobna, która mówi: „Załatw sobie dobrego adwokata”).

Taki sadomasochizm dominował w prawie całej

\* Tekst polski zaczerpnięty z modlitewnika Służmy Bogu, Kuria Metropolitalna w Krakowie, 1970 (z usunięciem i zmianami kolejności poszczególnych wersów dla zachowania układu oryginału książki). mszy. (Przeczytajcie ją sobie w Dodatku, to się przekonacie). Więc kiedy wróciliśmy z Jill do domu, nie spałem przez pół nocy, bo pisałem inną, lepszą. (Nie tylko próżność przemawia przeze mnie. Lepszą napisałby każdy, gorszej - nikt). Wyciąłem sędziów, tortury, lwie paszcze i spanie przy zapalonym świetle. (Ją też wrzuciłem do Dodatku, więc znowu przekonajcie się sami).

Wiedziałem, że nie jest to poezja najwyższego lotu, więc zależało mi (podobnie jak zapewne tekściarzom Soboru Trydenckiego), żeby ktoś jak najszybciej przełożył ją na łacinę. Jak powiedziałem żonie, potrzebowałem teraz kogoś, kto by przepchnął moje dzieło przez tę czarodziejską pralkę. Byłem gotów dobrze zapłacić.

Najpierw spróbowałem na Fordham, ale odmówili twierdząc, że to herezja. Za to potem, na Uniwersytecie Nowojorskim, znalazłem specjalistę od łaciny kościelnej, Johna F. Collinsa, który zgodził się posłużyć mi za Murzyna, nawet jeśli miałby iść za to do piekła. Jest katolikiem, tak jak Placido Domingo. Moja msza zaczyna się: „Wieczny odpoczynek racz im dać, Kosmosie, a niech żadna światłość nie zakłóca im snu”. Gdy John Collins wyciągnął to z czarodziejskiej pralki, brzmiało tak: Requiem aeternam dona eis, Munde, neve lux somnum perturbet eorum.

Wkrótce potem, kiedy zasiadałem na ławie przysięgłych, przypadkiem spotkałem Edgara Grane, kompozytora, absolwenta Juillard, który studiował na Uniwersytecie Iowa, gdy uczyłem tam w 1965 roku. (Jeden z moich tamtejszych studentów, John Casey, zdobył potem, w roku 1989, Krajową Nagrodę Literacką w dziedzinie powieści, czyli osiągnął więcej niż ja). Przez cały następny rok Grana siedział nad łaciną Collinsa, usiłując napisać do niej muzykę; nie wziął ode mnie ani centa. Najpierw, bez powodzenia. usiłowaliśmy sprzedać ją w paru kościołach tu, w Nowym Jorku. (Według mnie muzyka była postmodernistyczną, zapętloną, półklasyczną marmoladą cytrynową).

Aż wreszcie Barbara Wagner, dyrygentka najlepszego uniwersalistycznounitariańskiego chóru w całej Ameryce (śpiewają w nim same asy), z Buffalo, powiedziała, że bierze. Zaczęła próby zaraz po Bożym Narodzeniu i niech mnie! 13 marca 1988 roku mieliśmy własną, światową premierę, która odbyła się w jej kościele w niedzielny wieczór. Poprzedniego wieczoru wygłosiłem wykład w tym samym pomieszczeniu, żeby mieć z czego opłacić czterech wirtuozów syntezatorowych. To oni



stanowili całą orkiestrę.

Byłem taki podekscytowany, że na dziesięć sekund przed tym, zanim zabrzmiała pierwsza nuta, włosy dosłownie stanęły mi dęba.

Ale gdy skończyli, zorientowałem się, że nie usłyszałem ani jednego słowa, tak oszłamiająca wydała mi się muzyka. (Mark Twain powiedział kiedyś o jakiejś włoskiej operze, że nie słyszał nic podobnego od pożaru w sierocińcu). I tyle. Kompozytor i wykonawcy odnieśli ogromny sukces, dostali owację na stojąco, kwiaty, te rzeczy, a zawiedziony czułem się tylko ja - przygłup, któremu zależy na słowach.

I to by było na tyle o moim requiem, którego premiera odbyła się w trzy lata po requiem Andrew Lloyd Webbera. Nie, jeszcze jedno! W jakiś czas później Jill przypadkowo spotkała w Londynie Lloyd Webbera i powiedziała mu: „Mój mąż też napisał requiem”.

Odpowiedział z taką miną, jakby zapoczątkował nową modę: „Tak, wiem, wszyscy naokoło piszą teraz requiem”.

Nie zrozumiał, że\* próbowałem napisać mszę o zmarłych nowym językiem, a nie nową muzykę dla niej: na początku było przecież słowo.

(A propos kompozytorów: moja siostra Alice zapytała kiedyś ojca, gdy miała około dziesięciu lat, czy tańczyli z mamą do Beethovena).

## VII

Jest wiele starych i czcigodnych dokumentów, które aż się proszą, by ktoś napisał je na nowo. Co powiecie na Pierwszą Poprawkę do konstytucji Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, która brzmi następująco:

„Kongres nie wyda żadnej ustawy o uznaniu przez państwo jakiejkolwiek religii, ani zabraniającej swobody praktyk religijnych; ani ograniczającej wolność słowa ani prasy; ani prawa ludu do pokojowych stowarzyszeń, i do wnoszenia skarg do Rządu”. Starczyłoby tego, co tu mamy, na przynajmniej trzy odrębne poprawki, a może i pięć; wszystkie razem, chcąc nie chcąc, łączą się ze sobą w nie kończące się zdanie, przypominające jedno wielkie zwierzę pomysłu doktora Seussa. Wygląda to tak, jakby człowiek, zgłodzony niemal na śmierć, żywiący się dotąd chlebem i wodą, chciał wymienić naraz wszystkie potrawy, o których marzył.

Kiedy w roku 1778 James Madison spisywał pierwsze dziesięć Poprawek, tak zwaną Kartę Praw, otoczony był tak zgłodniałymi wolności mężczyznami - posiadaczami ziemi, że miał do wyboru 210 propozycji ograniczenia uprawnień rządu. (Według mnie większość dobrze odżywionych jednego pragnie najbardziej od rządu: mówiąc obrazowo, chodzi im o prawo do gry znaczoneymi kartami. Dostali je zresztą dopiero za czasów prezydenta Ronalda Reagana).

Powiedziałem kiedyś jednemu z adwokatów pracujących dla Amerykańskiego Stowarzyszenia Obrony Praw Obywatelskich, że madisonowska Pierwsza Poprawka mogłaby zostać znacznie lepiej sformułowana.

- Może Madison nie chciał, żebyśmy potraktowali go tak serio - odpowiedział.

Wydaje mi się, że istotnie tak mogło być, chociaż adwokat mówił to raczej z wisielczym humorem. Myślę, że Madison ani nie śmiał się, ani w inny sposób nie wyraził swej dezaprobaty, gdy Thomas Jefferson (właściciel niewolników) nazwał zebraną w Filadelfii Konwencję Konstytucyjną zgromadzeniem półbogów. Ludzie stojący jedną nogą na szczycie Olimpu niekoniecznie traktują równie poważnie, jak my, możliwość dotrzymywania górnołotnych, półboskich obietnic Karty Praw wiecznie handryczącym się śmiertelnikom.

Ten sam adwokat przekonywał mnie, że jako pisarz powinienem właśnie podziwiać Madisona za to, iż operując silnymi przeczeniami sprawił, że jego Poprawki są jednoznaczne, zupełnie jak wyłącznik światła, który może być tylko albo włączony, albo wyłączony: „Kongres nie wyda żadnej ustawy... nie będą naruszane... Żaden żołnierz nie będzie...” W żadnej z tych Poprawek ani razu nie występują zwroty typu „w warunkach idealnych”, „jeśli to możliwe” czy „zgodnie z uznaniem Rządu”. W każdej z ważnych chwil w naszej długiej już historii (system polityczny o najdłuższym na świecie stażu, poza Szwajcarią), te kilka szczegółowych postanowień Karty Praw może być dzięki Jamesowi Madisonowi tylko albo „włączone”, albo „wyłączone”.

Pierwsza Poprawka przypomina mi bardziej senne marzenie niż ustawę. Prawo powiedzenia czy wydrukowania absolutnie wszystkiego powoduje, że gdy go bronię, co często mi się zdarza, czuję się równie nierealny, jak postać z czyjegoś snu. Wolność słowa jest wolnością tragiczną, bo przez nią nie ma granic dla zła, z czym niektórzy obnoszą się publicznie, gdyż uchodzi im to bezkarnie. Dlatego raz po raz w dyskusjach z przedstawicielami Moralnej Większości i tym podobnych, i z co zawziętymi członkiniami Ligi Kobiet do Walki z Pornografią, bywam oskarżany o to, że namawiam do gwałtu i pornografii dziecięcej.

Kiedyś, gdy takie kłótnie były jeszcze dla mnie nowością, niebaczenie zapytałem mojego przeciwnika, fundamentalistę chrześcijańskiego („No, niech pastor nie przesadza”) czy słyszał o kimkolwiek, kto by zasłużył na potępienie z powodu jakiejkolwiek książki. (Mark Twain twierdził,

że będzie potępiony dzięki co bardziej lubieźnym fragmentom Biblii).

Pastor ucieszył się z mojego pytania. Zaraz opowiedział mi, jak to -jeden człowiek w Oregonie przeczytał pornograficzną książkę, potem zgwałcił nastoletnią dziewczę, która wracała do domu ze sklepu spożywczego, a potem jeszcze pokaleczył ją potłuczoną butelką po cocacoli. (Nie wątpię, że tak było). Rozmawialiśmy o staraniach niektórych rodziców o wycofanie ze szkolnych bibliotek i programów pewnych książek, uznawanych przez nich za nieprzyzwoite i moralnie szkodliwe - wszystkie, o które chodziło, były tak naprawdę całkiem zwyczajne i porządne. Niestety, moje głupie pytanie dało pastorowi możliwość połączenia inkryminowanych dzieł z najohydniejszymi zbrodniami na tle seksualnym.

Książki, które on i jego zwolennicy chcieli usunąć ze szkół - była wśród nich jedna mojego autorstwa - wcale nie były pornograficzne, choć pastor chętnie wpoiłby takie przekonanie w naszych słuchaczy. (Rzeczywiście, w mojej Rzeźni numer pięć pojawia się raz słowo „matkojebca”, w zwrocie „Złaż z drogi, ty kretyński matkojebco!”\*, i od czasu wydania jej drukiem, czyli od roku 1969, dzieci ciągle próbują odbywać stosunki płciowe z własnymi matkami. Nikt nie wie, kiedy to się skończy). Rzeźnię numer pięć, Ocalenie Jamesa Dickeya, Buszującego w zbożu J.D. Salinger, kilka książek Judy Blume i tak dalej dyskwalifikuje w oczach pastora to, że ani ich autorzy, ani bohaterowie nie pasują do jego wersji idealnego zachowania i postawy chrześcijańskiej.

Pastor (wolno mu) w sposób zupełnie otwarty atakował nie tylko dane Amerykanom przez półbogów prawo samodzielnej oceny każdej ideologii (również jego własnej), ale także konstytucyjny zapis mówiący, że państwu (a więc i szkołom państwowym) nie wolno wywyższać jednej religii nad drugą i egzekwować tego mocą ustaw.

Więc pastor nie był hipokrytą. Mówił jasno i wyraźnie, że Pierwsza Poprawka nie jest żadną świętością, że nie tylko pornografia, ale i wiele innych obrazów oraz idei powinno być wycofanych z obiegu przez policję, i że oficjalną religią całego kraju powinna stać się jego odmiana chrześcijaństwa.

Szczerze wierzył, że moja Rzeźnia numer pięć może w ten czy inny sposób wsadzić kogoś na całą wieczność do kotła (patrz msza zatwierdzona przez Papieża

\* Przekład Lecha Jęczyka. Chwała mu, że zaryzykował i przetłumaczył „motherfucker” dosłownie, a nie tak, jak zabrzmiałoby to na pewno w kontekście polskim, czyli „skurwysynie”, bo dzięki temu ma sens uwaga autora parę wierszy niżej (ta o stosunkach płciowych).

Piusa V Świętego), co byłoby znacznie gorsze (jeśli weźmie się pod uwagę czas trwania) niż zostać zgwałconym, zamordowanym, a następnie okaleczonym przez człowieka wpędzonego w obłąd przez świńskie obrazki.

W sumie współczułem pastorowi (nic łatwiejszego). Nie był żadnym z tych kaznodziejów telewizyjnych (których tak łatwo i tak słusznie można ośmieszyć), choć chyba co jakiś czas głosił kazania przez radio (jak oni wszyscy). Był głęboko wierzącym, szczerym chrześcijaninem i ojcem rodziny, całkiem niezłe naśladowującym Chrystusa takiego, w jakiego wierzył, czysty seksualnie, nie chciwy na dobra ziemskie, i tak dalej. Usiłował utrzymać wspólnotę swej rozległej rodziny, a to jest na pewno znacznie lepszym systemem opieki społecznej niż wszystko, co może zaproponować państwo chorym i zdrowym, biednym i bogatym, rodziny cementowanej jeszcze przez wspólną wiarę i postawę życiową. (W końcu przecież studiowałem antropologię, więc czułem w kościach, że ludziom niezbyt chyba dobrze w życiu, jeśli nie należą do klanu mającego oparcie w konkretnej nieruchomości).

Jeszcze czym innym była powołana przez Sąd Najwyższy Komisja do Spraw Pornografii,

wędrowną trupą dająca przedstawienia o świńskich książkach i obrazkach, puszczone w ruch za czasów administracji Ronalda Reagana. Dopiero później okazało się, że przynajmniej kilku z najważniejszych jej członków tonęło po uszy w finansowym lub seksualnym wyuzdaniu. I tu dochodziła do głosu więź klanowa, ale rodzinną posiadłością był w tym wypadku Biały Dom, a postacią sztandarową - dobroduszny, niemrawy, roztargniony, stary aktor filmowy. A opętańczy zlepek ideologiczny, jaki mieli wyznawać członkowie Komisji, bił na głowę Sobór Trydencki w konkurencji tworzenia małodusznych, obiektywnie szaleńczych bzdur: że to dobrze, że obywatele mogą kupować sobie karabiny maszynowe; że nikaraguańscy kontras to nowe wcielenia Thomasa Jeffersona i Jamesa Madisona; że Palestyńczyków należy nazywać „terrorystami” przy każdej nadarzającej się okazji; że zawartość łożon stanowi własność państwową; że Amerykańskie Stowarzyszenie Obrony Praw Obywatelskich jest organizacją wywrotową; że wszystko, co choć trochę przypomina Kazanie na Górze, to socjalistyczna albo komunistyczna, a więc anty amerykańska propaganda; że chorzy na AIDS, jeśli nie zarazili się przez transfuzje oszukańczej krwi, mają dokładnie to, na co zasłużyli; że warto wydawać miliard dolarów na jakiś tam samolot; i tak dalej, i tak dalej.

Powołana przez Sąd Najwyższy Komisja do Spraw Pornografii to był po prostu showbusiness. Biały Dom chciał dzięki niej zwrócić uwagę na swą pobożność, wypychając seks na szpalty gazet, i jeszcze raz zasugerować, że zwolennicy wolności słowa są entuzjastami seksualnego wykorzystywania dzieci, gwałtu i tak dalej (gdy tymczasem inni poplecznicy Reagana przywłaszczali sobie fundusze przeznaczone na budownictwo mieszkaniowe i dla własnego zysku obracali pieniędzmi kas oszczędności).

Poprosiłem więc o umożliwienie mi wystąpienia przed Komisją, gdy zjawiała się w Nowym Jorku, ale nie skorzystano z tej propozycji. Chciałem powiedzieć tak: „Wiele czytałem o rozdzierających serce świadectwach, których musiała wysłuchać wasza komisja, jak straszne niebezpieczeństwo może czaić się w słowach i obrazach. Opadły łuski z mych oczu. Zrozumiałem wreszcie, że państwo musi być władne niszczyć słowa i obrazy, które prowadzą do szaleństw i zbrodni na tle seksualnym. Jak mówi apostoł Jan:

»Na początku było słowo«.

Zarabiam na życie słowami i wstydzę się tego. Widząc, jak wielkie szkody czyni społeczeństwu, a szczególnie dzieciom, wolna wymiana myśli, błagam rząd, by usunął z mych dzieł wszystkie myśli, które uważa za niebezpieczne. Ratujcie mnie przed samym sobą. Błagam naszych wybranych władców o pomoc w takim uporządkowaniu mych myśli, by harmonizowały z ich myślami i myślami tych, którzy ich wybrali. Na tym polega demokracja.

Lepiej późno niż wcale. Próbując zadośćuczynić ludziom za wyrządzone krzywdy, chciałbym zwrócić uwagę tej prześwietnej komisji - niech Bóg błogosławi prawego Edwina Meese'a - na tekst, który leży u podstaw wszelkiego zepsucia, z którego biorą się wszystkie inne, tekst będący najgłębszym korzeniem drzewa rodzącego tak trujące owoce. Odczytam go głośno, więc ci z obecnych, którzy nie ukończyli jeszcze dwudziestu jeden, lat, powinni opuścić salę. Kto ukończył dwadzieścia jeden lat, ale choruje na serce lub gotów jest popełnić gwałt pod byle pozorem, niech też wyjdzie. Proszę potem nie mówić, że nie ostrzegałem.

Wy, członkowie komisji, nie macie wyboru. Musicie trwać na posterunku, niezależnie od tego, jak odrażające mogą być zeznania świadków. To niełatwe zadanie. Musicie być mężni. Często wyobrażam was sobie jako astronautów, wysłanych nie w niebo, lecz w szambo.

W porządku? Zatkajcie sobie uszy, zamknijcie oczy, bo zaczynam:

»Kongres nie wyda żadnej ustawy o uznaniu przez państwo jakiegokolwiek religii, ani zabraniającej swobody praktyk religijnych; ani ograniczającej wolność słowa ani prasy; ani prawa ludu do pokojowych stowarzyszeń, i do wnoszenia skarg do Rządu«”. Koniec kawału.

(Skończyłem ten rozdział po powrocie z Hellertown w Pensylwanii, gdzie byłem na pogrzebie starego kumpla z wojska, Bernarda V. O’Hare’a. Jego nazwisko będzie pojawiać się co chwila w dalszej części książki. Przez pierwsze pół życia zawodowego był palącym papierosa za papierosem prokuratorem okręgowym, a przez drugie pół - palącym papierosa za papierosem adwokatem, aż umarł na raka wkrótce po północy 9. czerwca 1990 roku. Spytałem go, jeszcze kiedy był prokuratorem, czy sądzi, że wsadzając złoczyńców do więzienia, robi dobrze. On na to: „Nie. Wydaje mi się, że ludzie mają i tak dość kłopotów beze mnie”. Nie ma to związku z Pierwszą Poprawką, lecz z tym, jak mi go teraz brak. Umieściłem w Dodatku to, co wpisał o naszej długiej przyjaźni do księgi pamiątkowej przygotowanej przez Jill na moje sześćdziesiąte urodziny).

## VIII

(Pierwsze z moich opowiadań, które nie spodobało się szczerze chrześcijańskiej, skrajnej prawicy, było o podróżnikach w czasie, którzy znaleźli się w epoce biblijnej i odkryli, że Jezus miał metr pięćdziesiąt pięć wzrostu. Wydaje mi się, że to ja bardziej lubiłem Jezusa niż przeciwnicy mojego opowiadania, bo cały czas twierdziłem, że nic mnie nie obchodzi, czy On był wysoki, czy niski. Bernard O'Hare też był niski, choć nie aż tak, a nie przeszkodziło mu to zostać najskuteczniejszym i najbardziej ludzkim prawnikiem specjalizującym się w sprawach karnych w najnowszej historii okręgu Northampton w Pensylwanii, miejscowym bohaterem. Ja, jego stary kumpel z wojska, okazałem się na pogrzebie jedynym nie należącym do rodziny żałobnikiem spoza stanu).

Gwarancje wolności słowa zawarte w Pierwszej Poprawce dają nam nie tylko korzyści, ale i cierpienie („nie ma nic za darmo”). Znaczna część tego, co mówią lub wydają inni Amerykanie, rani mnie albo przyprawia o mdłości. Mam pecha.

Kiedy Charlton Heston (aktor filmowy, który, gdy kiedyś grał Jezusa, miał wygolone pachy) opowiada mi w reklamach telewizyjnych (czyżby za państwowe pieniądze?) o tych wszystkich dobrych uczynkach Krajowego Związku Strzeleckiego (do którego należeliśmy obaj z tatą, kiedy byłem mały) i jak bardzo powinienem się cieszyć, że cywilom wolno trzymać broń wojskową w domu, pojazdach i miejscach pracy, czuję się dokładnie tak, jakby ktoś zachwalał drobnoustroje wywołujące jakąś paskudną chorobę, bo przecież broń w rękach cywili dzień w dzień zabija tyłu z nas - nieważne, przypadkowo czy naumyślnie.

(Kiedy kończyłem szkołę numer 43 w Indianapolis, każdy z nas musiał ślubować publicznie, że w dorosłym życiu zrobi coś, żeby na świecie żyło się lepiej. Ja miałem wynaleźć lekarstwo na jakąś chorobę. No a przecież nie potrzebuję mikroskopu elektronowego, żeby zauważyć AK-47 czy uzi).

„Karna milicja, konieczna dla bezpieczeństwa wolnego państwa - głosi artykuł II Karty Praw - prawo ludu do posiadania i noszenia broni, nie będą ograniczane”. I dobrze! Nie zmieniłbym ani słowa. Chciałbym tylko, żeby KZS oraz jego słono opłacani zwolennicy o długich mackach w stanowych i federalnych władzach ustawodawczych powoli wyrecytowali cały artykuł, a potem wytłumaczyli, czy uzbrojonego po zęby mężczyznę, kobietę lub dziecko, nie powołanych i nie kierowanych przez żadnego urzędnika państwowego, działających zgodnie z własnym rozsądkiem można uważać za członków „karnej milicji”. (Zresztą, żeby przeciąć ten węzeł gordyjski: wydaje mi się, że chodzi tu o czyjeś chorobliwe urojenia na temat jakiejś apokalipsy, gdy źli, biedni, ciemnoskórzy, niepiśmienni, leniwi narkomani rzucą się pewnej nocy na czyściutkie domy dobrych białych, którzy ciężko pracowali na wszystko, co mają, a w dodatku poświęcili kupę czasu i pieniędzy na dobroczynność). Kiedyś świetnie umiałem obchodzić się z karabinem, strzelałem chyba najlepiej w całej kompanii, ale za nic w świecie nie chciałbym teraz trzymać w domu takiego skurwysyna \*.

Uważam pukanie z broni palnej za poślednią formę sportu. Współczesna broń jest tak łatwa w obsłudze jak zapalniczka. Wystarczy zapytać dowolną kobietę, która nigdy przedtem nie miała do czynienia z bronią, a udawszy się do sklepu rusznikarskiego weszła w skład tego, co według KZS jest „karną milicją”, po czym zrobiła ser szwajcarski z niewiernego męża czy kochanka. Zawsze, gdy słyszę o kimś, że celnie strzela, myślę sobie: „To tak, jakby powiedzieć, że świetnie mu idzie zapinanie rozporoka albo pisanie długopisem. Też mi sportowiec!”

George Bush, podobnie jak Charlton Heston, przez całe życie należał do KZS. Znacznie bardziej raziło mnie u niego to, że nie potrafił docenić najpiękniejszego, najszlachetniejszego, najbardziej błyskotliwego, poetycznego i świętego ze wszystkich dotychczasowych osiągnięć Ameryki. Mówię tu

o badaniu Układu Słonecznego przez wyposażoną w kamery sondę Voyager 2. Ten dzielny ptak (podobny do gołębiczy Noego) pokazał nam wszystkie zewnętrzne planety oraz ich księżyce! Nie musimy już domyślać się, czy jest na nich życie, czy nie, albo czy nasi potomkowie będą mogli na nich żyć! (Nie ma mowy).

Gdy Voyager 2 opuszczał na zawsze Układ Słoneczny („Moja praca skończona”), wysyłając nam coraz mniej wyraźne zdjęcia, gdzie jesteśmy i jak wyglądamy, czy nasz prezydent mówił nam, byśmy kochali tego odkrywcę, okazali mu wdzięczność i życzyli wszystkiego dobrego? Nie. Zamiast tego wygłaszał płomienne przemówienie o konieczności wprowadzenia Poprawki do Konstytucji (Artykuł

\* Tym razem „motherfucker” będzie „skurwysynem”.

XXVII?), zabraniającej nieposzanowania dla kawałka materiału, jakim jest flaga amerykańska. Taka Poprawka dorównałaby głupotą dekretowi cesarza rzymskiego, Kaliguli, który mianował swego konia konsulem.

(Bardzo leży mi na sercu, czego uczą w Yale \*). Mimo to udało mi się wygłosić optymistyczną mowę na uroczystej promocji absolwentów uniwersytetu Rhode Island, rocznik 1990. Było to pod koniec maja w Kingston. (Rektor tej uczelni, Edward E. Eddy, który miał wkrótce odejść na emeryturę, pracował kiedyś ze mną w naszej gazecie uniwersyteckiej w Cornell. Stąd wziąłem się na tej fecie). Na początek zacytowałem komentarz do mów wygłaszanych w takich okazjach autorstwa humorysty z Indianapolis, Kina Hubbarda - za mojej młodości pisał on codziennie po jednym żarcie do gazet. Powiedział kiedyś, że według niego byłoby lepiej, gdyby uniwersytety rozkładały jakoś to, co najważniejsze, na cztery lata nauki, a nie trzymały wszystkiego na sam koniec.

(Uważam, że Kin Hubbard wzniósł się na poziom Oscara Wilde'a takimi powiedzeniami jak: „Nie znam nikogo, kto chciałby pracować za tyle, ile jest wart”, „Jeśli ktoś mówi, że nie chodzi mu o pieniądze, to znaczy, że chodzi mu o pieniądze”, i tak dalej, i tak dalej).

„Tytuł mojego przemówienia - powiedziałem rocznikowi 1990 - brzmi: »Nie Wyrażajcie Się z Cynizmem o Eksperymentach Amerykańskich, Bo On Dopiero Się Zaczyna«”.

Powiedziałem im, że ludzie często pytają mnie o cenzurę, bo moją książkę Rzeźnia numer pięć tak często wyrzucano ze szkolnych bibliotek. (Działo się tak dlatego, że znalazła się na liście rzekomo niebez-

\* Bo tam studiował George Bush, autor projektu Poprawki. piecznych książek, krążącej od mniej więcej 1972 roku. Od tego czasu lista nie była ani razu uzupełniana). „Dostawałem listy od czytelników ze Związku Radzieckiego - ciągnąłem - którym mówiono wiele lat temu, że u nas pali się moje książki”. (Naprawdę zdarzyło się to tylko raz, w Drake w Północnej Dakocie). „Odpisałem im, że cenzura istnieje najczęściej w społecznościach wiejskich - kontynuowałem. - Gdy byłem mały, w tych samych gminach palono nie książki, lecz ludzi. Zdaje się, że wreszcie mamy jakiś postęp.

Palono zwykle czarnych. Najbardziej niezwykłą zmianą, jaka zaszła tu od czasów mego dzieciństwa, jest odwrót rasizmu. Wierście mi, bardzo łatwo wróci z nową siłą, jeśli wywołają go demagodzy. Jak na razie udaje nam się całkiem nieźle oceniać prawdziwą wartość ludzi, a nie do

jakiego stopnia przypominają nas samych albo naszych krewnych. Prawdę mówiąc, jesteśmy w tym lepsi od innych krajów. W większości innych krajów nawet by o tym nie pomyśleli.

Komu zawdzięczamy tę podziwu godną zmianę naszych postaw? Otóż wszystkim uciskanym i opluwanym mniejszościom, które miały odwagę i godność upomnieć się o swe prawa, określone w Konstytucji. Czy grozi nam nasilenie cenzury? Można by tak przypuszczać, bo ostatnio bardzo znów o niej głośno. Uważam jednak, że choroba ta istniała już od wielu, wielu lat, podobnie jak choroba Alzheimera, ale dopiero ostatnio zidentyfikowano ją i zaczęto leczyć. Nowością jest nie cenzura, lecz fakt, że uznaliśmy ją za zagrożenie naszej pluralistycznej demokracji, toteż wielu porządnych ludzi stara się temu przeciwstawić. W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej niewolnictwo istniało przez niemal sto lat, nim uznano ten zwyczaj za zło społeczne, nim zaczęto protestować przeciwko niemu. Czy nie bije to na głowę Oświęcimia? Cóż to był z nas za wzór wolności dla innych narodów, skoro posiadanie na własność innych ludzi i traktowanie ich jak bydło nikogo nie raniło? Kto wam naopowiadał, że od samego początku byliśmy wzorem wolności? Po co te kłamstwa? Thomas Jefferson był właścicielem niewolników, i mało kto dziwił się temu - zupełnie jakby miał na nosie zaropiały wrzód, a nikt nie uważał, że coś jest nie w porządku. Kiedyś wspomniałem o tym na uniwersytecie wirginijskim, który Jefferson nie tylko założył, lecz również wspaniale zaprojektował. Potem jakiś profesor historii tłumaczył mi, że Jefferson wyzwolił swych niewolników dopiero gdy zarówno on, jak i oni byli bardzo starzy, bo zastawił ich przedtem, gdy nie miał przy duszy grosza.

Nieźle, co? W tym wzorze wolności nie kłóciło się z prawem zastawianie istoty ludzkiej, może nawet dzieci. Jaka szkoda, że gdy dziś zabraknie nam forsy, nie możemy zaprowadzić pani do sprzątnięcia za róg, do lombardu, zamiast zanosić tam saksofon.

A teraz tak: i Boston, i Filadelfia uważają, że każde z nich jest kolebką wolności. Które z nich ma rację? Żadne. W Stanach Zjednoczonych wolność rodzi się dopiero teraz. Ona wcale nie narodziła się w 1776 roku. Wtedy istniało niewolnictwo; kobiety, nawet białe, też nie miały żadnych praw, będąc praktycznie własnością ojca, męża lub najbliższego męskiego krewnego, a może sędziego czy adwokata. W Bostonie i Filadelfii wolność została dopiero poczęta. Można powiedzieć, że Boston i Filadelfia były motelem wolności.

A teraz tak: mały opos przebywa w łonie przez dwanaście dni, słoń indyjski - dwadzieścia dwa miesiące. Wolność w Ameryce, bracia i siostry, rodzi się po dwustu i więcej latach!

Dopiero za mojego życia mówiło się poważnie o ewentualnym przyznaniu kobietom i mniejszościom rasowym równości ekonomicznej, prawnej i społecznej. Niech wolność wreszcie się narodzi, niech jej głośne wrzaski usłyszą w Kingston i w każdym innym mieście, miasteczku, wiosce i osiedlu tego wielkiego, bogatego kraju, nie w czasach Jeffersona, lecz za czasów najmłodszych z tych, co są dziś pośród nas. Gdzieś tam słyszałem płacz dziecka. Niech płacze z radości.

Niech żyje, absolwenci, rocznik 1990 i ci, którzy dopomogli im wzmocnić Amerykę zostając wykształconymi jej obywatelami.

Dziękuję za uwagę”.



## IX

(Rhode Island była jedną z pierwszych Trzynastu Kolonii, które domagały się, a następnie doprowadziły do tego, że ich obywatele mogli wyznawać lub nie wyznawać to, na co mają ochotę).

Jill Krementz jest członkinią Kościoła episkopalnego (ale rzadko chodzi do kościoła), a ja - ateistą (a w najlepszym razie unitarianinem, który sporo przesiaduje po kościołach), więc kiedy w roku 1979, po kilku latach pożycia, postanowiliśmy się pobrać, mieliśmy do wyboru cały półmisek szwedzki sakralnych i świeckich obrzędów, które mogłyby nas połączyć w jedno, że tak powiem. Ponieważ poznaliśmy się podczas wystawiania jednej z moich sztuk, zaproponowałem, żeby magiczne zaklęcie padło w kościele podobno „aktorskim”, zwanym Kościółkiem Za Rogiem, akurat, tak się złożyło (abrakadabra!) episkopalnym, na Manhattanie, na ulicy Dwudziestej Dziewiątej, niedaleko od Piątej Alei. Ten miłutki kościółek zdobył swą miłutką nazwę oraz opinię przybytku ludzi teatru w połowie dziewiętnastego wieku, gdy Joseph Jefferson (autor i odtwórca głównej roli w Rip Von Winkle) poprosił o ślub w bardzo tradycjonalistycznie anglikańskim kościele kilka przecznic na północ od Dwudziestej Dziewiątej, przy samej Piątej Alei. Powiedziano mu tam grzecznie, lecz stanowczo, że aktorzy są zazwyczaj mniej wyczuleni moralnie niż członkowie tutejszej kongregacji, więc niech lepiej spróbuje „w tym kościółku za rogiem”. I tak się też stało. I tak się też stało ze mną, i nikt mnie jeszcze tak nie obrugał za rozwód! (Nic mi nie pomogły ani moje związki z teatrem, ani wieloletnia przyjaźń Jill z Paulem Moorem, biskupem nowojorskiego Kościoła episkopalnego). Rozmawiała z nami kobieta, która miała niewątpliwie wielką władzę, choć wtedy jeszcze episkopalianie nie wyświęcali kobiet na księży. Teraz już pewnie jest księdzem, to zaś, że rozszedłem się z moją pierwszą żoną, było najohydniejszą rzeczą, o jakiej w życiu słyszała. (Kiedy zdecydowali się na księżykobiety, jedna z pierwszych nazywała się przedziwnie: Tanya Vonnegut. To żona jednego z moich kuzynów, wielka piękność, więc niewątpliwie bardzo inspirujący z niej ksiądz).

Według herodbaby z Kościółka Za Rogiem daliby nam tam ślub, gdybym wstąpił do wspólnoty i odpokutował za grzechy pracując w parafii, zdaje się łącznie z nauczaniem w szkółce niedzielnej. Nie było rady; musieliśmy dać to przedstawienie w Chrystusowym Kościele Zjednoczonych Metodystów na rogu Sześćdziesiątej i Park Avenue. (Nie pamiętam, dlaczego akurat tam. Może dyskutowaliśmy o architekturze kościelnej z Brendanem Gillem, z komisji ochrony zabytków). Nie było żadnych kłopotów i wszystko poszło jak po maśle.

(Poza jednym: blisko zaprzyjaźniłem się z pastorem i ten poprosił kiedyś mnie i komika Joeya Adamsa, żebyśmy powiedzieli parę słów na pasterce. Wierni zarzucali potem pastorowi między innymi, że użyczył swego pulpitu znanemu ateście - chodziło nie o Joeya Adamsa, tylko o mnie. Teraz ma już inny kościół i korespondujemy sobie na różne tematy duchowe; przyjechał do Buffalo na światową premierę mojego i Grany requiem).

Przyjęcie odbyło się w hotelu Regency, o jedną przecznicę na północ od kościoła. (Jeżeli ma się wesele w Regency, hotel dorzuca do tego apartament dla nowożeńców na całą noc; upchnęliśmy tam wszystkie moje wnuki). Działo się to jedenaście lat temu; wtedy dogadaliśmy się, że dzieci już starczy (mam troje własnych i trzech adoptowanych siostrzeńców), ale po jakimś czasie adoptowaliśmy jeszcze jedno kochane maleństwo (trzydniowe) imieniem Lily; Lily jest główną towarzyszką mojego życia. (Kiedy dorośnie, stanie się okropnie leniwą artystką, bo rozwodzę się nad każdą z jej rzeźbiarskich i malarskich prac, jakby to była Pięta lub freski w kaplicy Sykstyńskiej).

Jill skończyła w tym roku pięćdziesiątkę, Lily niedługo skończy osiem lat. Wydałem na cześć Jill przyjęcie urodzinowe oraz księgę pamiątkową, zbiór sentymentalnych esejów, wierszy, żartów i życzeń od krewnych i znajomych. (Powiedziałem jej też przy okazji, że nigdy jeszcze nie żyłem z tak

starą babą). Tak zaczynał się mój wstęp:

„Do wszystkich zainteresowanych:

Bierzecie do swych rąk dzieło z pierwszego roku ostatniej dekady drugiego tysiąclecia od narodzin Jezusa Chrystusa, wydane na okoliczność pięćdziesiątych urodzin mojej drogiej, utalentowanej żony Jill Krementz, obchodzonych w poniedziałek, 19. lutego 1990 roku. Wieczorem, w Tavern on the Green w Central Park na wyspie Manhattan, odbyło się przyjęcie dla około pięćdziesięciorga z jej krewnych i znajomych.

Jill urodziła się na wspomnianej wyspie, ale wychowała się w Morristown w stanie New Jersey, jako córka Virginii i Waltera Krementzów. W dniu jej narodzin kończyłem szkołę średnią, Shortridge, w Indianapolis; jesienią miałem udać się na uniwersytet Cornell, by studiować chemię. Gdy miałem dziewiętnaście lat, a jej brakowało dwóch miesięcy do dwóch, zbombardowano Pearl Harbor.

W wieku lat pięćdziesięciu Jill wyglądem i zachowaniem przypominała idealną - powiedzmy, trzydziestodwuletnią - dziedziczkę wielkiej, amerykańskiej fortuny. Rzeczywiście uczyła się w szkołach prywatnych i jeździła na wakacje z dziedzicami i dziedziczkami, ale sama nigdy nią nie była. Wszystko, co posiada, zdobyła własną pracą jako fotograf i twórczyni książek dla dzieci (Na przykład A Very Young Dancer \*) i książek o dzieciach przeżywających ciężkie chwile (na przykład How It Feels When A Parent Diesa •).

Poznaliśmy się w roku 1970 podczas wystawiania mojej sztuki Wszystkiego najlepszego, Wanda June w Theatre du Lys w Greenwich Village. Przedtem Jill zjeżdżała cały świat, była pierwszą kobietą-fotografem na stałym etacie w nowojorskim dzienniku Herold Tribune, przez rok robiła zdjęcia w Południowym Wietnamie podczas wojny i wydała tak fotograficzny, jak i etnograficzny majstersztyk Groszek pachnący: Czarna dziewczynka wiejska dorastająca na Południu, zadedykowany jednej z jej nauczycielek, Margaret Mead. Mimo to bynajmniej nie mieszkała w Buckingham Palace, tylko na czwartym piętrze bez windy, nad delikatesami na Pierwszej Alei, tuż za ulicą Pięćdziesiątą Czwartą.

Opowiedziała mi kiedyś o pewnym zakochanym młodzieńcu (sądzę, że było ich mnóstwo), który po wdrapaniu się na te schody przez pierwsze dziesięć minut nie potrafił nawet powiedzieć »dzień dobry«.

Jill przysłała na świat na samym styku znaku

\* „Bardzo młoda tancerka”.

\*\* „Jak to jest, kiedy umiera któreś z rodziców”. Wodnika i Ryb. Urodziła się jako dobra, choć leniwa pływaczka, przedkładała wodę nad wino. Jednak znacznie ważniejsze jest to, że rozkwitła jako kobieta dokładnie na styku epok patriarchy i Ruchu Wyzwolenia Kobiet. Miała więc odwagę zachowywać się w pracy i w sytuacjach zawodowych tak, że jej płeć, pomimo fantastycznej urody, nie odgrywała żadnego znaczenia. Zawsze domagała się takiej płacy i takiego poważania, jakimi cieszył się mężczyzna na podobnym stanowisku. Zwykle domagała się skutecznie, przez co wiele osób zarzuca jej, że nie zachowuje się jak prawdziwa dama.

Po ukończeniu Masters School w Dobbs Ferry w stanie Nowy Jork Jill wstąpiła na uniwersytet, którym stał się dla niej Manhattan, a potem cały świat. Ucząc się zawsze zarabiała na siebie; z początku poszła do pracy w takim biurze, które wprowadziłoby ją w środowisko dziennikarzy i redaktorów. Na uczelni - uniwersytecie Columbia - studiowała tylko jeden przedmiot: antropologię.

Przedtem wzorowała się na Margaret Bourke-

-White, która przebojem wdarła się między fotografów-mężczyzn w Life, robiąc zdjęcia równie dobre jak oni, lub lepsze. Drugim wzorem do naśladowania była Margaret Mead, i dlatego też Jill

jest nie tylko fotoreporterką, ale i pierwszorzędną specjalistką od nauk społecznych. Musiała czekać niemal do pięćdziesiątki, a ja czekałem wraz z nią, by kręgi akademickie raczyły wreszcie dostrzec wszystkie książki, które stworzyła o i dla Amerykanów poniżej szesnastego roku życia, i przekonały się, że Jill nie ma sobie równych w rozumieniu smutków i radości dorastania. W dniu jej pięćdziesiątych urodzin powinniśmy się cieszyć, że odebrała tak niekonwencjonalne wykształcenie. Dzięki Bogu nie miała wyboru; musiała traktować poważnie to, co mówili jej o życiu młodzi ludzie, gdyż nie została wyszkolona do analizowania, interpretowania i robienia przypisów dosłownie do wszystkiego, co słyszy. Czuła, że musi zapisywać to, co jej mówią dzieci, cokolwiek mówiły, i robić im zdjęcia.

Jej książki nie są teoretyczne. Są dowodami, które trzeba albo zaakceptować, albo odrzucić, są całkowicie naturalne, a rosną z gleby tej wilgotnej, niebieskozielonej planety jak jabłoni.

Przyszli badacze zechcą dowiedzieć się, czy Jill retuszowała znajdujące się tu zdjęcia, na których ją widać. Nie. Niech sami wyjaśnią, jeśli potrafią, jak to się dzieje, że im starsza, tym piękniejsza”. Księga pamiątkowa kończyła się zgrabnym sonetem „Na pięćdziesiąte urodziny Jill”, napisanym przez jednego z ulubionych jej modeli, Johna Updike’a:

Przyjazna, dobra duszo cichej obecności,  
Ciebie podziwiać można jak iskierkę w oku  
Setek pisarzy, w którym ty sama, gdzieś z mroków  
Tańczysz za czarną Leiką. I jak udałołci  
Się rozmiękczyć te twarze, co je kisi stara,  
Ostra macerata z octu słów spowszedniały ch? -  
Kurta i Trumana, Anais i Eudory  
Tennessee i Saula, i Toni, i Gore\*a? \*  
I dzieci też grzeczniej w tej twojej soczewce, I niczym lilie patrzą w słońce twej migawki.  
Wraca młodość. Wprost w serce skacze jak z hu-  
stawki  
Dziecko rozbrykane. Dziś opiewają piewę  
Pięć dekad przeminionych. Żyj więc nam, królowo  
Jako Jill jasna od światek, widziana filmowo. \*\*

\* Vonneguta, Capote’a, Nin, Welty Williamsa, Bellowa, Morrison, Vidala. \*\* przekład Jana Rybickiego.

Wkrótce po pięćdziesiątych urodzinach Jill John Updike wygłaszał wykład w Indianapolis. Przed wyjazdem zapytał mnie, co powinien wiedzieć o moim rodzinnym mieście. Powiedziałem mu, że jestem tam obcy od czasów, gdy Jill była jeszcze tyciuteńkim maleństwem. „Mnie czasem też zapraszają - dodałem - ale jak tam jadę, wcale nie mam poczucia, że wracam do siebie”. Indianapolis jest dla mnie jeszcze jednym, dość miłym miastem Ameryki, w którym przychodzą mnie posłuchać mili ludzie. Może się zdarzyć, że spotkam tam ludzi, którzy albo sami, albo ich rodzice, znali mnie z dawnych czasów, ale to może zdarzyć się też Updike'owi. Wcale nie muszę po to jeździć do mojego rodzinnego miasta, ani Updike do swojego. Kolegów ze szkoły średniej albo ich dzieci widywałem w San Diego, Portland w stanie Oregon, w Iowa City, na Manhattanie... (Wspaniała aktorka Meryl Streep, której dotąd nie znałem, podeszła do mnie kiedyś w hallu jakiegoś kina po to tylko, żeby mi powiedzieć, że w Vassar mieszkała w jednym pokoju z dziewczyną, z którą kiedyś umawiałem się w szkole średniej).

Niedawno absolwenci mojej szkoły średniej, Shortridge rocznik 1940, obchodzili pięćdziesięciolecie matury; organizatorzy rozesłali listę tych z nas, którzy całkowicie zniknęli z pola widzenia - przynajmniej indianapolitańskiego. Mogłem im odpisać, że jeden z poszukiwanych bynajmniej nie jest nieznanym swym kolegom biochemikom z Bostonu, gdzie został ekspertem od procesów starzenia się. Po drugim, pisałem, pozostało coś znacznie więcej, niż wspomnienie w nowojorskim środowisku muzycznym, gdyż zarządzał prawami autorskimi do muzyki Richarda Rodgersa i Oscara Hammersteina.

(Nie pojechałem na ten jubileusz. Bałem się go, bo, jak wszyscy, miałem ze szkoły średniej dość nieprzyjemne wspomnienia. Może powinienem był pojechać; na pewno bawiłbym się świetnie i wyśmiałbym się za wszystkie czasy. Na szczęście zapadłem na chorobę z Lyme\*, ostatni krzyk mody z Hampton\*\*. Odpukać, choruję tylko wtedy, gdy jest mi to na rękę. Dzięki wirusowemu zapaleniu płuc w roku 1942 nie zostałem chemikiem. Gdzieś w latach osiemdziesiątych na chwilę mi odbiło, próbowałem na stałe wynieść się z tego padołu, ale nie udało się i zamiast tego przez trzydzieści dni mogłem grać sobie w bilard na oddziale zamkniętym).

Powiedziałem Johnowi, że Indianapolis to, jak sądzę, jedyne osiedle ludzkie w historii, którego lokalizację wyznaczono za pomocą kątownika i ołówka. Nowo utworzony stan Indiana jest na planie niemal prostokątny, z wyjątkiem zygzakowatego, dolnego boku, zakreślonego nie przez człowieka,

\* Krętkowica kleszczowa z Lyme, wywoływana przez krętek *Borellia burgdorferi*, przenoszony przez kleszcze, co zauważono po raz pierwszy w okolicach miejscowości Lyme w stanie Connecticut (za J. Kuszczak, A. Gładysz, Diagnostyka różnicowa chorób zakaźnych, PZWL Warszawa, 1989). \*\* Grupa modnych wśród artystów kąpielisk na wschodnim wybrzeżu USA. tylko wodę, posłuszną prawu ciężenia. Potem ludzie narysowali na mapie wielkie X, łącząc kąty nowego stanu przekątnymi. W punkcie przecięcia się przekątnych, choćby nie wiadomo gdzie wypadł, miała stanąć stolica - Indianapolis. I tak się też stało. (Nie wiodła tamtędy żadna droga wodna, która umożliwiałaby tani transport, ale koleje szybko znalazły to miejsce).

Przyszłe miasto miało więc powstać na terenie płaskim jak stół bilardowy (może partyjkę?) zgodnie z projektem urodzonego we Francji architekta Pierre'a Charlesa L'Enfant, który planował też inną, równie arbitralnie wybraną stolicę, Waszyngton. „John - tłumaczyłem - powstała szachownica, którą w każdej chwili rozszerzyć można o nowe, identyczne kwadraty o boku długości stu

sześćdziesięciu metrów. Wszystkie ulice biegną dokładnie na wschód i zachód albo na północ i południe, a w samym środku jest koło. (To cienie euklidesowego idealizmu Rewolucji Francuskiej, której, jak mi się czasem zdaje, jestem dzieckiem).

Kiedyś całkiem nieźle grywałem w szachy (dopóki z mózgu nie zrobiła mi się jajecznicą). Opowiadając Johnowi o mieście, którego nigdy jeszcze nie widział, uświadomiłem sobie, że rzeczywiście przypomina ono prawdziwą szachownicę, na której rozgrywane są partie. Najpierw znika z niej jedna figura, potem druga (ja, brat, siostra i rodzice zniknęliśmy w tej samej partii). A potem znów ustawia się wszystko od nowa, tylko figury są inne. Podałem Johnowi nazwiska różnych słynnych ludzi, żywych i umarłych, którzy kiedyś byli figurami na tej planszy. Znaleźli się wśród nich: James Whitcomb Riley, Charles Manson, Richard Lugar, Steve McQueen, Dan Quayle, Kin Hubbard, Booth Tarkington, Jane

Pauley i pastor Jim Jones, ten od oranżady w proszku. (Dodałem przy okazji, że fakt, iż George Bush, w przypadku, gdyby mu coś się stało, złożył los naszego narodu w ręce Dana Quayle, jest kolejnym dowodem, że Bush ma dokładnie gdzieś, co po jego śmierci stanie się z całym światem. Tak właśnie zachowuje się typowy pilot bombowca).

Ale moje wspomnienia z Indianapolis zatruwa teraz śmierć kumpla z wojska, Bernarda V. O'Hare'a, który w pewien sposób czuł się związany z tym miastem. Poznaliśmy się w wojsku, w Camp Atterbury, było to jakieś zadupie niedaleko na południe od Indianapolis. Gdy zobaczyłem Bernarda po raz pierwszy, palił papierosa i czytał biografię Clarence'a Darrowa, błyskotliwego obrońcy sądowego. (Ostatnim razem, gdy go widziałem, też palił. Ostatnim razem, gdy w ogóle był widziany za życia, też palił). Byliśmy świeżo upieczonymi żołnierzami kompanii sztabowej 2. batalionu 423, pułku 106. dywizji piechoty. („Kochana Mamo, Kochany Tato, zgadnijcie, gdzie teraz jestem”). Obaj przed pójściem do wojska liznęliśmy trochę studiów. Jego szkolono na Podstawach Walki Piechoty: bagnety, granaty, karabiny maszynowe, moździerz i tak dalej, mnie zaś na wirtuoza haubicy 240 mm, wówczas największego ruchomego działka polowego - dywizje nie dostawały takiej zabójczej broni, te zabawki były dla korpusów i armii.

Powołano wtedy naraz tysiące takich samych studentów jak O'Hare i ja (i Norman Mailer); intelektualnie odpowiadaliśmy wymaganiam podchorążówek (mogliśmy też zostać bombardierami). Ale nie potrzebowano już kandydatów na oficerów, chyba że tych, których rodzice mieli mocne powiązania polityczne.

Po zakończeniu obozu szkoleniowego nikt właściwie nie wiedział, co z nami zrobić. Posłali nas zatem z powrotem na studia, ale już w mundurach, w ramach tak zwanego programu specjalistycznego kształcenia wojskowego (ASTP). O'Hare przyszedł do 106. z Politechniki w Alabamie, ja z Carnegie Tech, a potem z uniwersytetu Tennessee. (Na nowe uczelnie wypychano nas pośpiesznie. Słyszałem o pewnej jednostce ASTP, w której wszyscy nosili nazwiska zaczynające się na H).

Kiedy armia dała rozkaz, ponownie opuściliśmy uczelnie, bo zbliżało się lądowanie w Europie i potrzeba było coraz więcej strzelców. Oto, jak doszło do tego, że niedaleko na południe od Indianapolis

zacząłem rozmawiać z O'Hare'em. W armii wprowadzono wtedy tak zwany „system kumpłowski”. Każdy szeregowiec i starszy szeregowiec miał wybrać sobie kogoś z tej samej drużyny, wiedzieć o nim wszystko i troszczyć się o niego, bo nikt inny nie będzie się tym odtąd zajmował. Oczywiście troska musiała być odwzajemniona i nikt nie mógł zostać bez pary. (Przypominało to masowe śluby, odprawiane znacznie później w Madison Square Garden przez pastora Sun Myung Moona). Tak właśnie zeswatano mnie, jeśli tak można powiedzieć,

z O'Hare'em. Możecie mi wierzyć, było wiele par, które wyglądały jeszcze śmieszniej.

Dywizję 106., wywodzącą się z Południowej Karoliny, pozbawiono przedtem wszystkich szeregowców i starszych szeregowców wysłanych w ramach uzupełnień za granicę; miała natomiast pełny skład oficerski i podoficerski, co do jednego. Potrzebowała tylko kolejnych ciał najniższego sortu, więc dalejże zwozić tam nas, studenciaków, autobusami. Podobnie jak w ASTP, żadnych widoków na awans. (Poza nalotem na Drezno było to najlepsze, co przytrafiło mi się podczas drugiej wojny światowej).

O'Hare i ja zostaliśmy zwiadowcami batalionu (w każdym było nas po sześciu). Mieliśmy przemykać się przez linię frontu i podglądać wroga tak, żeby nas nie zobaczył. O'Hare dostał tę fuchę, bo tego uczyli go na szkoleniu, a ja chyba dlatego, że dalej wlokło się za mną dossier z kursu oficerskiego w Cornell, dlatego, że nie miałem zielonego pojęcia o uzbrojeniu i taktyce piechoty, i dlatego, że z moim wzrostem (metr osiemdziesiąt osiem) byłem przeciwieście niedostrzegalny. O brakach w wyszkoleniu nie powiedziałem nikomu poza O'Hare'em; w przeciwnym razie ktoś mógłby uznać, iż trzeba je uzupełnić, a to wydawało mi się mało przyjemne. Poza tym nie chciałem opuścić O'Hare'a.

Jeden plus: Camp Atterbury znajdował się tak blisko Indianapolis, że w weekendy mogłem spać we własnym pokoju i jeździć rodzinnym samochodem. Ale podczas jednego z tych weekendów umarła mama. Jakies sześć miesięcy potem moja siostra Alice urodziła pierwszego wnuka mamy (którego adoptowałem wraz z jego dwoma pozostałymi braćmi, gdy miał czternaście lat), mniej więcej wtedy, gdy zaczynało się lądowanie w Normandii.

W końcu do Europy popłynęła też nasza popieprzona dywizja, po to tylko, by znaleźć się na studwudziestokilometrowym odcinku frontu, którego miała bronić w burzy śnieżnej przed ostatnim większym atakiem niemieckim tej wojny. Niemcy szli do niego ubrani na biało, a my byliśmy widoczni jak na dłoni, bo mieliśmy na sobie mundury w kolorze psiego gówna. Nie dano nam zbyt wielu przedmiotów, którymi moglibyśmy zrobić im krzywdę. Mieliśmy dostać porządne buty, ale nie zdążyli nam dać. Zdołałem jedynie granaty zapalające, przez co razem z O'Hare'em stanowiliśmy parę potencjalnych robaczek świętojańskich. Nie widziałem też ani jednego naszego samolotu czy czołgu. Byliśmy jak polska kawaleria w kampanii 1939 roku. No i przegraliśmy. (Mieliśmy jakieś inne wyjście?)

Wiele lat później Irwin Shaw, który napisał wspaniałą powieść o wojnie w Europie pod tytułem *Młode lwy* (ale nigdy nie dostał się do Amerykańskiej Akademii i Instytutu Sztuki i Literatury), powiedział mi z rozbrajającą szczerością, że nigdy nawet nie s ł y s z a ł o mojej dywizji. Na pewno słyszał o wszystkich innych, tylko nie o mojej. Za to w Indianapolis wszyscy o nas słyszeli, bo uważali, że jeśli szkolono nas tak blisko, to jesteśmy jakby i c h dywizją. Tak, że tam byliśmy

bohaterami.

(Nie tylko my: na przykład dzielni marynarze z krążownika Indianapolis, który przewiózł na Guam pierwszą bombę atomową, zrzuconą potem na Hiroszimę. Indianapolis został potem zatopiony przez japońskich kamikaze, a wielu rozbitków zjadły żywcem rekiny. O, i to jest wojna z prawdziwego zdarzenia, a nie te rozrywkowe ataki na małe państewka, instygowane przez Reagana i Busha, żeby odwrócić uwagę od przestępstw ich najbliższych przyjaciół i sponsorów).

I tak O'Hare i ja stanowiliśmy szczęśliwe małżeństwo przez całą naszą karierę jeńców wojennych. (W Dodatku można obejrzyć zdjęcia, na których widać, jak wyglądaliśmy pod sam koniec. Wszyscy jesteśmy byłymi studentami, którzy skończyli jako mocno pobici, całkowicie nie uzbrojeni i pozbawieni dowództwa byli strzelcy). Również po wojnie i po naszych ślubach (tym razem z kobietami), dowiadywaliśmy się zawsze, co dzieje się z tym drugim, gdzie jest, jak się czuje, co porabia i tak dalej, i robiliśmy sobie kawały aż do owej chwili tuż po północy 9. czerwca 1990. Ta data będzie dla mnie zawsze wyklęta, bo wtedy umarł mój kumpel.

Może jeszcze trochę o Indianapolis, nie krążowniku, tylko mieście.

Miałem szczęście, że się tam urodziłem. (Charles Manson miał pecha, że się tam urodził; jak wielu ludzi, miał pecha, że w ogóle się urodził). Miasto to dało mi bezpłatne wykształcenie podstawowe i średnie, pełniejsze i bardziej ludzkie od wszystkiego, co miało mi dać pięć uniwersytetów, na których później studiowałem (Cornell, Butler, Carnegie Tech, Tennessee, Chicago). Miało też szeroką sieć bezpłatnych bibliotek, których pracownicy okazali się dla mego młodego umysłu aniołami zabawy z wiedzą. Wszędzie można było znaleźć tanie kina i kluby jazzowe. Mieli tam i niezłą orkiestrę symfoniczną; do Ernsta Michaelisa, jej pierwszego klarnetu, chodziłem na lekcje, (Kilka lat temu, po jakimś przyjęciu, znalazłem się w samochodzie, którym jechał też Benny Goodman, i mogłem powiedzieć mu z czystym sumieniem: „A wie pan, ja też kiedyś grałem trochę na patyku”).

I dlatego dawno temu w Indianapolis do szkół przygotowawczych \* szli tylko ludzie naprawdę t e p i a l e bogaci. (Znałem paru z nich; po ukończeniu Andover, Exeter czy St. PauPs, czy Bóg wie czego, nadal są tępi i bogaci). Dlatego też byłem tak zdumiony i zirytowany, gdy przeniósłszy się na stałe na wschód poznałem mnóstwo ludzi, którzy uważali za całkiem naturalne, że ponieważ uczęszczali kiedyś do szkoły przygotowawczej, mają prawo nadawać ton moralnemu oraz intelektualnemu życiu kraju. (Na moje osobiste nieszczęście wielu z nich zostało krytykami literackimi. Mnie ma oceniać akademia Deerfield\*\*? Akademia Deerfield? Oj, bo skonam!)

A wracając po raz kolejny do Bernarda O'Hare'a:

W jednym z kilku pochwalnych nekrologów, jakie mu poświęcono w gazetach okręgu Northampton w stanie Pensylwania, można było przeczytać (gdzieś daleko pod koniec tekstu): „Wraz z pisarzem Kurtem

\* W Ameryce są to ekskluzywne i bardzo drogie szkoły, najczęściej z internatem, przygotowujące absolwentów szkół średnich do studiów wyższych.

\*\* Jedna z w/w szkół przygotowawczych.

Vonnegutem, z którym wcześniej odbywał szkolenie, przebywał w niewoli w Dreźnie podczas nalotu na to miasto”. (W innym nekrologu nazwano go „jedną z najbardziej podziwianych i barwnych postaci palestry naszego okręgu”, a w innym „człowiekiem walecznym”). Na około miesiąc przed jego śmiercią opowiadałem o zbombardowaniu Drezna w Narodowym Muzeum Lotnictwa i Astronautyki w Waszyngtonie. Mój odczyt był częścią całej serii, zatytułowanej „Spuścizna bombardowań strategicznych”, a brzmiał następująco:

„Zwykle przemówienia nie zaczynają się od wyjaśnień. Pierwszą zasadą publicznych wystąpień jest:

»Nie przepraszać\*.

Jednak w moim przypadku, ponieważ mam mówić o zbombardowaniu miasta niemieckiego, a niemieckie jest również moje nazwisko, bezpieczniej byłoby wyjaśnić, że byłem i jestem daleki od entuzjazmu dla hitlerowskiej maszyny wojennej, dokładnie tak, jak mój wódz naczelny, inny Amerykanin niemieckiego pochodzenia, generał Dwight David Eisenhower. I jego i moi przodkowie stali się Amerykanami na wiele dziesięcioleci przed wzniesieniem w porcie nowojorskim Statuy Wolności.

Byłem zwiadowcą batalionu, starszym szeregowcem, wziętym do niewoli na granicy Niemiec w grudniu 1944 roku podczas ich kontrofensywy w Ardenach. Stąd znalazłem się w Dreźnie, gdzie wysłano mnie na roboty, gdy miasto zostało zbombardowane

13. lutego 1945. Niemcy cofali się wtedy na wszystkich frontach i masowo oddawali się do niewoli, mieli już mało samolotów, a każde miasto oprócz Drezna było bombardowane bez przerwy. Wojna dobiegała kresu. Skończyła się już 7. maja.

Wyzwolenie zastało mnie w strefie rosyjskiej. Spędziłem jakiś czas wśród ludzi, którzy przeszli przez obozy koncentracyjne, więc nasłuchiłem się ich opowieści, nim dostałem się z powrotem do naszych. Wiele lat później zwiedziłem Oświęcim i Brzezinkę, i widziałem sterty ludzkich włosów, dziecięcych buczków i zabawek, i tak dalej. Wiem, co to był Holocaust. Przyjaźnię się z Elie Wiesel. Głównym powodem tego wyjaśnienia jest stwierdzenie tego prymusa, tego mózgowca, George'a Willa, że w mojej książce Rzeźnia numer pięć trywializuję Holocaust. Uważam, że to niesprawiedliwe; mam nadzieję, że wy również.

Nie brakuje ludzi, którzy mogą wam opowiedzieć, co znaczy być bezbronnym wśród cywilnej ludności podczas bombardowania lotniczego, raketowego, czy jakiegokolwiek innego. Są nas teraz na pewno całe miliony. Najmłodszy członek tego ogromnego klubu to mieszkańcy co biedniejszych dzielnic Panama City. Mieszkańcy Kambodży i Wietnamu mają już całkiem imponujący staż.

Ile z tu obecnych osób przeżyło kiedyś atak z powietrza, nie biorąc udziału w walce? (Okolo dziesięciu).

Zbombardowanie Drezna było akcją głównie brytyjską. Amerykanie, z których kilku poznałem, zrzucali w ciągu dnia zwykle materiały wybuchowe, żeby tysiące bomb zapalających miały się od czego zapalić. W nocy zaś przylecieli Brytyjczycy z bombami zapalającymi. Cel? Całe miasto. Trudno było nie trafić. I miasto rozgorzało jednym płomieniem, a po jego przedmieściach szalały jak derwisze trąby powietrzne. Jeden z tych Amerykanów, którzy przylecieli przedtem, w dzień, po wojnie przeprowadzał ze mną rozmowę kwalifikacyjną na uniwersytet Chicago. Powiedział: »Było nam łyso«.

Sądzę, że Brytyjczycy oceniali to zupełnie inaczej. Oni chcieli pomścić Londyn, zrównanie z ziemią Coventry i hańbę Dunkierki. Amerykanie nie mieli takich porachunków. Mogliby pragnąć zemsty, gdyby znali niesłychane potworności niemieckich obozów śmierci, ale świat jeszcze o tym nie wiedział. Amerykanie też mieli za co się mścić: Pearl Harbor. I pomścili, gdy nadszedł słodki czas odwetu. Wcale nie potrzebowali do tego pomocy Brytyjczyków. Natomiast podobnie jak oni zrobili to wtedy, gdy wojna i tak była już wygrana.

Całkowite zniszczenie Hiroszimy, to rasistowskie bestialstwo nad bestialstwami, miało



przynajmniej znaczenie wojskowe. Kiedy kilka lat temu byłem w Tokio z Williamem Styronem, powiedział: »Chwała Bogu za bombę atomową. Gdyby nie ona, dawno bym nie żył«. Kiedy zrzucono bombę, służył w piechocie morskiej i stacjonował na Okinawie, skąd szykowali się do lądowania na wyspach Japonii. Ja też jestem pewny, że w czasie takiej inwazji amerykańskich i japońskich trupów byłoby znacznie więcej niż tych, które spaliły się na skwarki w Hiroszynie. Zbombardowanie Drezna to posunięcie czysto emocjonalne, bez śladu znaczenia militarnego. Niemcy nie mieli w tym mieście większych zakładów zbrojeniowych, składów broni czy oddziałów wojska - właśnie po to, żeby mogli bezpiecznie chronić się w nim ranni i uchodźcy. Nie było tam prawdziwych schronów i bardzo niewiele dział przeciwlotniczych. Drezno, jako słynny na cały świat zabytek sztuki, tej klasy co Paryż, Wiedeń czy Praga, mogło zaszkodzić komuś akurat tyle, co tort weselny. Jeszcze raz powtórzę to, co ciągle piszę i mówię: ani jeden żołnierz aliancki nie przesunął się naprzód choćby o centymetr dzięki nalotowi na Drezno, ani jeden więzień hitlerowców nie został przez to choćby o milisekundę wcześniej wyzwolony. Na całym świecie tylko jeden człowiek coś na tym zyskał, a tym człowiekiem jestem ja. Za każde zwłoki dostałem około pięciu dolarów, wliczając w to moje dzisiejsze honorarium.

Kiedy to mówię, nikt nie potrafi przytoczyć zbyt wielu i zbyt konkretnych kontrargumentów, a mówiłem to nie tylko tutaj, lecz również w Anglii, we Francji, w Skandynawii, w Polsce, w Czechosłowacji i w Niemczech. Może mówiłem też o tym w Meksyku. Nie mogę sobie przypomnieć, jak to było w Meksyku. Paradoksalnie jestem nie tylko jedynym korzystnym efektem nalotu, ale również jednym z tysięcy jego niepowodzeń. Zrobiono wszystko, co możliwe, abym nie żył, a żyję. Nie chodzi o to, że nasi bombardierzy wiedzieli, gdzie jestem i starali się, żeby przypadkiem nie zrobić mi krzywdy. Ani nie wiedzieli, ani ich nie obchodziło, gdzie kto jest. Przywódcy ich państw mieli nadzieję, że spalą miasto i pozabijają ludzi, ile tylko się da, wszystko jedno kogo, za pomocą ognia, dymu i braku tlenu, czy jakiejś kombinacji wszystkich trzech elementów. Schemat taki jak w Hiroszynie, tylko bardziej prymitywna technologia; no i na dole byli biali, nie żółci.

Doskonale rozumiem bombardierów, że nie obchodziło ich, kto znajduje się pod nimi, tam, na dole. Ich rozumowanie było proste: ktokolwiek tam jest, albo aktywnie popiera Hitlera, albo tylko mu się nie przeciwstawia, a przez to staje się bezpośrednio lub pośrednio odpowiedzialny, choćby w niewielkiej części, za hitlerowskie zbrodnie przeciw ludzkości. Ja sam, wraz z dziewięćdziesięcioma dziewięcioma innymi amerykańskimi szeregowcami z mojego drezdeńskiego kommando, pomagaliśmy Hitlerowi produkując witaminizowany syrop słodowy dla kobiet w ciąży, a te przecież rodziły mu nowych, bezdusznych wojowników. My przynajmniej nie robiliśmy tego na ochotnika. Do pracy tej zmuszano nas, trzymając pod strażą, bo tak stanowiła Konwencja Genewska w sprawie traktowania jeńców wojennych. Gdybyśmy byli podoficerami lub oficerami, w ogóle nie musielibyśmy pracować i nie bylibyśmy w Dreźnie, tylko w jakimś dużym więzieniu poza miastem. Powiedziałem, że jak dotąd zarobiłem po pięć dolarów za każdego trupa wytworzonego przez nalot, ale trudno naprawdę ocenić tak „na oko”, ile tam było trupów, ani jakie dusze przedtem je zamieszkiwały. Słyszałem już wszystkie liczby od 35000 do 200000. Skrajne wartości pojawiły się ze względów politycznych, gdy ktoś chciał albo zminimalizować, albo wyolbrzymić brutalność nalotu. Liczba, którą ja sam, i wielu innych ludzi, nie zamierzających zbić na tym politycznego kapitału, uważa za najbardziej prawdopodobną, to 135000, czyli więcej, niż zginęło w Hiroszynie. Tajemnicą jednak pozostanie, ilu mieszkańców liczyło sobie Drezno w czasie bombardowania, bo codziennie przybywali tam nowi uchodźcy spod załamującego się już wówczas frontu

wschodniego oraz z innych zbombardowanych miast.

Po nalocie trupów było tak dużo - większość z nich leżała w zwykłych piwnicach - i stanowiły tak wielkie zagrożenie epidemiologiczne, że kremowano je na olbrzymich stosach pogrzebowych, albo palono miotaczami ognia wprost w piwnicach, nie licząc ich ani nie identyfikując. Krewni i znajomi ludzi, którzy na krótko przed nalotem schronili się w Dreźnie, wiedzą o nich tylko tyle, że zaginęli gdzieś pod koniec wojny. W mieście było też mnóstwo Polaków, wywiezionych na roboty do Niemiec. Ich krewni i znajomi mówią sobie teraz, że wywieziono ich w głąb Niemiec i wszelki śluch o nich zaginął.

O ówczesnej ludności Drezna tylko jedno można stwierdzić z całą pewnością: znajdowało się tam bardzo mało jako tako sprawnych fizycznie mężczyzn w wieku od szesnastu do pięćdziesięciu lat. Takie osobniki przebywały wtedy gdzie indziej: gdzie indziej walczyły, poddawały się, ginęły, dezercerowały. Wielki pisarz niemiecki, Günter Grass, którego dzieciństwo przypadło na czas wojny, zapytał mnie kiedyś o rok urodzenia. Gdy powiedziałem, że 1922, rzucił, że w Niemczech, Austrii i Związku Radzieckim nie ma już moich rówieśników. Przesada, ale tylko niewielka.

Wśród nie zidentyfikowanych i nawet nie policzonych ofiar w piwnicach Drezna znajdowali się też na pewno zbrodniarze wojenni i odrażająco dumni krewni zbrodniarzy wojennych; esesmani, gestapowcy, i tak dalej. To, co ich wtedy spotkało, i tak nie było wystarczającą karą za ich uczynki. Być może większość Niemców, którzy zginęli wtedy w Dreźnie, oczywiście poza niemowlętami i dziećmi, zasłużyła sobie na ten los. Zapytałem innego wielkiego pisarza niemieckiego, Heinricha Bölla, jaka jest najniebezpieczniejsza wada narodowa Niemców, a on odpowiedział: »Posłuszeństwo«.

Ale mimo to muszę przyznać, że gdy nosiłem

trupę z piwnic na stosy, a krewni i znajomi tych ludzi stali i patrzyli na to, nie czułem ani dumy, ani satysfakcji. Może myśleli, że dobrze mi tak, że karabinami zagoniono mnie do tej makabrycznej pracy, skoro załatwili mi ją sojusznicy. Kto wie zresztą, co wtedy myśleli? Może nie myśleli po prostu nic, tak jak ja.

Ale to działo się tak cholernie dawno, czterdzieści pięć lat temu.

Zbombardowanie Drezna, całkowicie pozbawione znaczenia militarnego, było dziełem sztuki. Wieżą dymu i ognia, wzniesioną dla upamiętnienia tych wszystkich, których życie złamały lub wypaczyły niewysłowiona chciwość, próżność i okrucieństwo Niemiec. Brytyjczyków i Amerykanów (tych, co wzniesli ową wieżę), pod wpływem wspomnień z pierwszej wojny światowej, podobnie jak mnie, wychowywano na pacyfistów.

Amerykanie mieli potem zbudować jeszcze dwie takie wieże, tym razem samodzielnie. Kiedy powstały, a potem rozwiały się, zostawiając po sobie tylko popioły i zwęglone szczątki, byłem już na przepustce w moim rodzinnym Indianapolis. I chociaż widziałem na własne oczy i z bliska skutki podobnego całopalenia, sam uważałem te inne, bliźniacze wieże za dzieła sztuki. Piękne!

Do tego stopnia zwariowałem. Do tego stopnia zwariowaliśmy wszyscy.

Do tego stopnia nadal jesteście wariatami. Napad z powietrza na ludność cywilną, z ostrzeżeniem,

bez ostrzeżenia, czy z wypowiedzeniem wojny, czy bez, stał się dla nas po prostu symbolem narodowej dumy, takim jak Statua Wolności.

Czy znajdzie się choć jeden mięczak, który powie, że zabicie z powietrza adoptowanej córeczki Muammara Khadafiego (ja też mam adoptowaną córeczkę) to coś poważnego, a choćby tylko - interesującego? Na pewno nie powie o tym The New York Times, ani Washington Post, ani MacNeil, ani Lehrer, ani Brokaw, ani Rather, ani Jennings \*.

Ani ja.

Przy okazji dostało się też ambasadzie Francji. Henry Kissinger, laureat pokojowej nagrody Nobla, który domagał się przeprowadzenia dywanowego nalotu na Hanoi w Boże Narodzenie, jest uważany za poważnego, ludzkiego, mądrego dyplomatę. Sam tak uważam.

Albert Schweitzer, lekarz, muzyk i filozof, próbował nauczyć nas szacunku dla życia. Wierzył, że jeśli się tylko da, trzeba zachować przy życiu nawet najmniejsze, najpodlejsze organizmy. Oczywiście to bzdurny idealizm, bo tak wiele chorób wywołują właśnie drobnoustroje. Sam doktor Schweitzer mu-

\* Znani spikerzy i komentatorzy telewizyjni.

siał mordować je całymi miliardami, bo gdyby tego nie zrobił, wymarliby mu pacjenci.

Gdybym rzeczywiście chciał mówić dziś o cierpieniach poszczególnych bakterii, zabijanych w ciałach pacjentów przez doktora Schweitzera, ludzie w białych kitlach mieliby pełne prawo odwieźć mnie do szpitala St Elizabeths \*.

A tak właśnie myśli się obecnie nie tylko u nas, lecz i w wielu, wielu innych krajach, oczywiście nie wyłączając Libii: że cywile, atakowani z powietrza, są tyle warci co pojedyncze bakterie.

Wielu ludzi uważa, że moje przemówienia, a więc pewnie i moje książki, są beznadziejnie dwuznaczne. Nie chciałbym jednak, byście wyszli stąd nie otrzymawszy odpowiedniej stawy duchowej. Pozwolę więc sobie wrzucić wam do zupy porządną wkładkę mięsna, przemawiając teraz z zimną krwią niby jakiś Naczelnny Wódz:

Czy trzeba było spalić Drezno? Nie.

Czy trzeba było bez przerwy bombardować Hamburg? Tak.

Czy trzeba było zbombardować Hiroszimę? Zapytajcie tych wszystkich, którzy zginęliby, gdyby nie to. Czy trzeba było zbombardować Nagasaki? Nie.

Czy trzeba było bez przerwy bombardować cywilną ludność Hanoi? Nie.

Czy trzeba było bombardować jakąkolwiek część terytorium Kambodży? Nie.

Czy trzeba było zaatakować z powietrza Libię?

Nie. To był showbusiness.

Czy trzeba było zbombardować Panama City?

Nie. To też był showbusiness.

Dziękuję za uwagę”.

Środki masowego przekazu nie zwróciły uwagi na te wspaniałe wywnętrzania, a przecież były po temu

\* Po polsku: do Tworek, do Kobierzyna.

wszelkie powody. (Nie skarżę się, tylko zauważam fakt). Ja jestem znany. Narodowe Muzeum Lotnictwa i Astronautyki jest znane. Nalot na Drezno jest znany. Można by spodziewać się, że powinno to zainteresować jakiegoś reportera. Na sali pojawił się niespodziewanie jeszcze jeden

dawny jeniec wojenny, który był wtedy w Dreźnie ze mną i z O'Hare'em, i zaświadczył, że wszystko, co mówiłem, to prawda. Obok niego siedziała moja siedmioletnia przybrana córka Lily z moją żoną, Jill. Kazałem Lily wstać, żeby pokazać, jak mogła wyglądać zlikwidowana bakteria typu adoptowanej córeczki Muammara Khadafiego, gdybyśmy jej nie dali najnowszą generacją rakiet powietrzeziemia. Można by przyczepić się do tego porównania, bo dziecko Khadafiego było dopiero niemowlęciem, a moje miało wkrótce skończyć osiem lat.

Środki masowego przekazu dlatego nie zwróciły na to uwagi (choć wielu ludzi nie dostało się na mój wykład i musiało oglądać go na monitorach telewizyjnych), bo obywatele, którzy mówią o tym, że nasze lotnictwo mogło lub może zostać niewłaściwie wykorzystane, uważani są przez waszyngtońskich magnatów prasowych za politycznie niedojrzałych, za smarkaterię, i w niczym nie przypominają doktora Henry'ego Kissingera, laureata pokojowej nagrody Nobla. Cokolwiek by mówić, jesteśmy stworzeniami prostodusznymi, które chętnie wierzą, kierując się li tylko symboliką (to, co na górze, jest lepsze od tego, co na dole), że przewaga lotnicza jest równoznaczna z przewagą moralną. (Wystarczy przecież popatrzeć, gdzie mieszka Bóg: na pewno nie w jakimś dole pod pomnikiem poległych w Wietnamie). I cóż ja mogę osiągnąć, jeśli nie umniejszenie szczęśliwości moich rodaków, gdy mówię przed tłumem ludzi, że atak na ludność cywilną, przeprowadzony przez domytych, porządnych młodzieńców w piekielnie kosztownych i skomplikowanych machinach latających, z punktu widzenia tych na dole niczym nie różni się od praktyk najgorszych policji świata, polegających na pokazywaniu aresztantom, jak torturuje się ich niewinnych krewnych i znajomych, starych i młodych, żeby aresztanci zmienili swe poglądy polityczne?

Jakaś pani powiedziała po moim przemówieniu: - Nikogo w ogóle nie powinno się bombardować. Odpowiedziałem: - Nic bardziej oczywistego.

## XI

Kolegą z niewoli w Dreźnie, który pojawił się na moim odczycie w Narodowym Muzeum Lotnictwa i Astronautyki, był Tom Jones; w swym plutonie 106. dywizji tworzył parę z Joe Gronem, pierwowzorem Billy'ego Pilgrima, głównego bohatera Rzeźni numer pięć. W liście, który otrzymałem dopiero wczoraj, Jones napisał mi: „Pamiętam Crone'a jeszcze z Camp Atterbury. Jeśli kazali nam gonić z pełnym ekwipunkiem, musiałem iść za nim i zbierać wszystko, co cały czas leciało mu z plecaka. Nigdy nie potrafił porządnie się spakować.

Kiedy umarł, spałem z nim na jednej pryczy.

Któregoś dnia obudził się i miał głowę spuchniętą jak arbuz. Namówiłem go, żeby po apelu zgłosił się do izby chorych. Gdzieś koło południa rozeszła się plotka, że umarł. Pamiętasz, spaliśmy po dwóch na jednej pryczy, więc kilka razy na noc musiałem budzić Crone'a i powiedzieć: »No, to odwracamy się na drugi bok«. Pamiętam, jak wcześnie rano puszki na gówno przelewały się, takie były pełne. Wszyscy mieliśmy sraczkę i to płynęło strugami po baraku pod pryczami. Nie było mowy, żeby Niemcy dali nam ich więcej”.

Joe Crone'a pochowano gdzieś w Dreźnie w ubranku z białego papieru. Jeszcze przed nalotem z własnej woli zagłodził się na śmierć. W Rzeźni numer pięć sprawiam, że wraca do domu i zostaje bajecznie bogatym optykiem. (Jamesa i Crone'a, podobnie jak O'Hare'a i mnie, wzięto do wojska ze studiów. W Camp Atterbury wiele czytaliśmy).

Jones okazał się prawdziwą kopalnią wojennych pamiątek. Przywiózł ze sobą do Waszyngtonu jedną z ulotek, rozdawanych nam przez Niemców, namawiającą do wstąpienia do ich wojska (dostalibyśmy kupę żarcia) i obrony cywilizacji na froncie wschodnim. (Chodziły plotki, że znaleźli gdzieś pięciu Amerykanów, którzy na to poszli. Nawet jeśli to nieprawda, i tak byśmy sobie kogoś takiego wymyślili). Tom Jones przywiózł też zdjęcia przedstawiające kilku z nas, w tym również O'Hare'a (ale nie Joe Crone'a, nie Billy'ego Pilgrima), zrobione tuż po zakończeniu wojny. Nasi strażnicy zniknęli, armia radziecka jeszcze się nie pojawiła, a my znaleźliśmy się w dolinie, którą opisuję pod koniec mojej powieści Sinobrody (przechrzczonej na Siwobrody przez pedantycznych korektorów wspaniałej gazety The New York Times}. Trafił się nam wóz, i to z zaprzężonym do niego koniem, własność armii niemieckiej, którą zaraz sobie przywłaszczylimy. Na bokach wymalowaliśmy białe amerykańskie gwiazdy, z tyłu wielki napis „USA”, żeby przelatujące nad nami myśliwce rosyjskie przypadkiem nas nie ostrzelały. W ten sposób wędrowaliśmy przez kilka dni, póki nie zjawily się lądowe wojska rosyjskie, a wtedy znowu znaleźliśmy się pod kluczem. W Dodatku zamieściłem też jeszcze jeden prezent od jakiegoś nieznanego z widowni. To fragment z „Przewodnika bombardiera” z drugiej wojny światowej. Dzieło to tłumaczy między innymi, na co (dokładny wybór należy do czytelnika) można by rzucić bomby, jeśli akurat zostało ich trochę po właściwej akcji. (Lepiej zjeść i odchorować, niżby miało się zmarnować). Przekaziciel tego dokumentu (no tak, następny mięczak) chciał, bym potwierdził to, co do tej pory tylko przypuszczałem: że Dreźnie pod względem znaczenia militarnego porównać można, powiedzmy, z Kalamazoo w stanie Michigan. W Kalamazoo jest mnóstwo rzeczy. W Dreźnie też było mnóstwo rzeczy: rozmaite przedsiębiorstwa, komunikacja, komisariaty, stacje energetyczne, rodzenie potencjalnych żołnierzy, pielęgniarek i tak dalej. (Bomby rzucić!) W Dreźnie było ponadto ZOO, przeznaczone dla rozrywki żołnierzy i pielęgniarek. ZOO przeoczył „Przewodnik bombardiera”, ale nie bomby. Trafiły i tam. Trzeba było widzieć, jak wyglądała żyrafa po zrzuconiu na nią bomb zapalających. (Ja widziałem). Gdy po odczycie przyszedł czas na dyskusję, miałem okazję zacytować O'Hare'a. Kiedy jeden ze Statków Wolności (ten nazywał się Lucretia C. Mott, na cześć bojowniczkii o prawa kobiet) przebijał się przez zawzięte sztormy na Północnym Pacyfiku, wioząc nas do Stanów

Zjednoczonych, i mieliśmy się z moim kumplem pożegnać, przynajmniej na jakiś czas (obecnie pożegnaliśmy się na zawsze), zapytałem go: „I czego się nauczyłeś?” Przyszły prokurator okręgowy O’Hare odpowiedział: „Żeby już nigdy nie wierzyć rządowi”. Chodziło mu o rozpowszechniane przez Administrację Łgarstwa o delikatnej chirurgii, dokonywanej przez nasze bombowce, wyposażone w celowniki firmy Sperry and Norden. Wmawiano nam, że przyrządy te są tak precyzyjne, iż pozwalają bombardierom na zrzuć swych wonnych bilecików w komin fabryczny, gdyby zaszła taka potrzeba. Dla kronik filmowych odgrywano dostojne błazenady, w których żandarmi z bronią samopowtarzalną w dłoniach eskortowali bombardierów, niosących swe celowniki do samolotów. Bo aż do tego stopnia (wmawiano nam dalej) Niemcy i Japończycy pragnęli osiąść tajemnicę diabolicznej precyzji naszych nalotów.

To nachalne schlebienie sumieniu cywili jest dziś równie śmieszne - niezamierzenie - jak scena miłosna między Glorią Swanson a Rudolfem Valentino. Przypomnijcie sobie maszyny latające, wystawione w Narodowym Muzeum Lotnictwa i Astronautyki. Wszyscy wiedzą, że głównym celem wszystkich producentów było stworzenie załogowych i bezzałogowych urządzeń zabijających wszystko, co się da, i zwierzęta, i rośliny, w jak największym promieniu. (Jestem świadomy, że Związek Radziecki robi dokładnie identyczne, apokaliptyczne rzutki). Jedna z pańmuzeologów (ale miała nogi!) powiedziała mi wtedy do ucha, że najhojniejsi sponsorzy muzeum (producenci broni) nie wydawali się zbyt szczęśliwi, że w tym lokalu odbędzie się dyskusja nad bombardowaniem strategicznym (zabici i ranni cywile), choć ponury nastrój, wywołany przez Toma Jonesa i mnie, miał wkrótce ustąpić miejsca rozpromienionemu optymizmowi generała Curtisa Le-May’a, emerytowanego dowódcy Strategicznych Sił Powietrznych (tego, który chciał bombardować Wietnam Północny tak, żeby powrócił do epoki kamiennej). Po co w ogóle poruszać ten temat? Według sponsorów należałoby raczej mówić o superszybkich środkach transportu („o przeznaczeniu wciąż tym samym”, jak mówi Henry David Thoreau) i odkryciach kosmicznych. Zresztą przed odczytem moja córka Lily (która potem musiała wstać, żeby przypomnieć o znacznie młodszym od niej, a już nieżywym, arabskim dziecku Muammara Khadafiego) obejrzała sobie kawałek filmu o możliwościach zagospodarowania kosmosu, do którego tekst czytał Walter Cronkite\*.

\* Jeden z najstarszych, najbardziej szanowanych, amerykańskich komentatorów telewizyjnych.

(Znam go. Ja w ogóle wszystkich znam). Właśnie; wiem już, dlaczego prezydent George Bush nie powiedział publicznie o opuszczeniu na zawsze przez Voyagera 2 macierzystego Układu Słonecznego („Moja praca skończona”). Po prostu: cały tłum dumnych i nieźle usytuowanych (kosztem skarbu państwa) wyborców uczestniczących w całym tym kosmicznym oszustwie mógłby stracić pracę, gdyby wyszło na jaw, że gołębicą (Voyager 2) wypuszczoną z tej Arki, płynącej po potopie nicości, przyniosła wieść, że wokół panuje tylko śmierć.

I jeszcze: dzieci i sąsiedzi niszczycieli planety (tych, co zanieczyszczają powietrze, karczują lasy, niszczą słone bagna, kopią uran i tak dalej) mogliby zacząć patrzeć na nich podejrzliwie, gdyby prezydent wspomniał fakt, że w ciągu najbliższych trzech czy iluś tam tysięcy lat nie dostaniemy nowej, nadającej się do zamieszkania planety. (Wiem dobrze, że wszyscy śmiali się z Krzysztofa Kolumba, gdy ten otworzył nową, słabo bronioną półkulę na piractwo i wyzysk, który trwa po dziś dzień. Rozmawialiście kiedyś z członkiem plemienia Hopi, sprzedającym biżuterię

w hallu hotelowym w Santa Fe?) Jeżeli jeszcze tego nigdzie nie napisałem (a nie cierpię czytać tego, co sam napisałem), powiem teraz, że większość ludzi na świecie uważa życie za tak ciężkie i pełne rozczarowań (bo nie potrafią zarobić pieniędzy, albo nie cierpią swej pracy, albo nie umieją tańczyć, albo nie jest im w łóżku tak dobrze, jak powinno, albo nie idzie im w sporcie, albo po prostu są chorzy, albo ich dzieci są do niczego, albo ich żony/mężowie ich nie cierpią, tak jak Ksantypa nie cierpiała Sokratesa, czy moja mama mojego ojca), że jest im wszystko jedno, czy żyją, czy nie. Dlatego właśnie remont tej tonącej Arki (połowa zwierząt i tak już zdechła) jest szeroko dyskutowany w pewnych kręgach, ale nigdy nie zostanie przeprowadzony. (Christopher Lehmann-

Haupt, recenzent literacki dziennika The New York Times, wyznał mi na jakimś przyjęciu z pięć lat temu, że nie znosi już czytać tego, co piszę - więc jest nas dwóch).

Kiedy więc amerykańska agencja reklamowa odpowiedzialna za promocję Volkswagena poprosiła mnie (i kilku innych błędzących we mgle futurologów) o ułożenie listu do Ziemi, którzy będą zamieszkiwać tę planetę za sto lat (list miał być wykorzystany w serii reklamowej instytucji państwowych w Time, czasopiśmie, z którym nie jestem w szczególnie zażyłych stosunkach), napisałem co następuje:

„Panie i panowie z 2088 roku n.e.!

Zasugerowano mi, że chętnie wysłuchacie paru mądrych słów z przeszłości, więc pisze do was teraz kilkoro z nas, ludzi dwudziestego wieku. Czy znacie radę Poloniusza z Hamleta?

A najważniejsze, byś zawsze był wierny

Samemu sobie \*.

Albo instrukcje Św. Jana Bożego?

Bój się Boga i oddawaj Mu chwałę, bo nadeszła godzina Jego sądu.

Najlepszą radą, jaką dać może moja era nie tylko wam, lecz wszystkim ludziom ze wszystkich epok, jest, jak sądzę, modlitwa odmawiana przez alkoholików, którzy mieli nadzieję, że już nigdy nie będą pić:

»Boże, daj mi pogodę ducha, bym potrafił godzić się z tym, czego zmienić nie mogę, odwagę, by zmienić to, co się da, i mądrość, bym potrafił zawsze odróżnić jedno od drugiego«.

\* przekład S. Barańczaka.

Wydaje mi się, że nasz wiek dlatego mniej chętnie niż inne szafuje słowami mądrości, że to my po raz pierwszy otrzymaliśmy wiarygodne dane na temat sytuacji rodzaju ludzkiego: ile nas jest, ile pożywienia potrafimy wyhodować albo zebrać, jak szybko się rozmnażamy, na co chorujemy, na co umieramy, jakie wyrządzamy szkody w powietrzu, wodzie i glebie, od których zależy przetrwanie większości form życia, jaka brutalna i bezduszna może być Natura, i tak dalej, i tak dalej. Komu by się chciało mądrzeć, kiedy zewsząd dochodzą same złe wieści?

Dla mnie najbardziej mrozącą krew w żyłach była wieść, że Natura jest nieekologiczna. Nawet bez naszej pomocy rozłożyła planetę na czynniki pierwsze a potem złożyła ją na nowo, ale niekoniecznie z korzyścią dla wszystkich stworzeń żywych. Natura podpala lasy uderzeniami piorunów, asfaltuje lawą wielkie połacie ziemi uprawnej, które po tym zabiegu nadają się do zamieszkania przez

organizmy żywe mniej więcej tak, jak wielkowiejskie parkingi. W przeszłości wysyłała z Bieguna Północnego lodowce, żeby zgniotły na miazgę większą część Azji, Europy i Ameryki Północnej. Nie ma też powodów przypuszczać, że nie zamierza kiedyś tego powtórzyć. W tej właśnie chwili zmienia afrykańskie pola uprawne w pustynię; można też spodziewać się każdej chwili, że chluśnie w nas kilkupiętrowymi falami przyływu albo obsypie rozpalonymi do białości głazami z kosmosu. Nie tylko w mgnieniu oka mordowała wspaniale rozwinięte gatunki, ale również wypijała oceany i zatapiała kontynenty. Jeżeli ludziom wydaje się, że mają w Naturze przyjaciela, to już na pewno nie potrzeba im wrogów.

No właśnie; wy, ludzie żyjący w sto lat po nas, musicie już dobrze wiedzieć - a jeszcze bardziej przekonają się o tym wasze wnuki - że Natura jest bezwzględna, gdy chodzi o dostosowanie ilości życia w danym miejscu i danym czasie do ilości dostępnego pożywienia. A więc co wy i Natura zrobiliście w sprawie przeludnienia? Bo my teraz, w 1988 roku, uważamy się za taki nowy lodowiec, ciepłokrwisty, inteligentny, niepowstrzymany, który za chwilę pochłonie wszystko, potem będzie kopolował, a potem znów podwoi swą wielkość.

Zastanowiłem się przez chwilę i już wcale nie jestem pewny, czy wytrzymałbym, gdybyście mi powiedzieli, co takiego zrobiliście z nadmiarem ludzkości i niedoborem żywności.

Wpadłem na pewien wariacki pomysł, który chciałbym teraz na was wypróbować: może to dlatego celujemy w siebie raketami z odbezpieczonymi głowicami termojądrowymi, by nie myśleć o poważniejszym problemie - jak bardzo okrutnie potraktuje nas Natura, Natura taka, jaka jest?

Teraz, kiedy możemy trochę dokładniej podyskutować o tarapatach, w jakieśmy wpadli, mam nadzieję, że przestaliście przynajmniej wybierać do władz krańcowo ignoranckich optymistów. Był z nich jakiś pożytek tylko w czasach, gdy nikt nie miał pojęcia, co tak naprawdę się dzieje, czyli przez ostatnie siedem czy ileś milionów lat. Ale już za moich czasów, jako kierujący wyspecjalizowanymi instytucjami o konkretnych celach kompletnie się nie sprawdzili.

Teraz potrzebujemy przywódców, którzy zamiast obiecywać ostateczne zwycięstwo nad Naturą pod warunkiem, że dalej będziemy żyć tak, jak dotychczas, będą mieli dość odwagi i inteligencji, by ogłosić światu przedstawione przez Naturę twarde, ale rozsądne warunki kapitulacji:

1. Zredukujcie i ustabilizujcie liczbę ludności.
2. Przestańcie zatruwać powietrze, wodę i glebę.
3. Przestańcie się zbroić; zajmijcie się waszymi prawdziwymi problemami.
4. Uczcie swoje dzieci, a przy okazji i siebie, jak mieszkać na małej planecie nie przyczyniając się do jej unicestwienia.
5. Przestańcie wierzyć, że nauka wszystko za was załatwi, jeśli tylko da się jej bilion dolarów.
6. Przestańcie wierzyć, że wasze wnuki dadzą sobie jakoś radę, niezależnie od tego, jak bardzo będziecie rozrzutni i wandalscy, bo zawsze mogą przenieść się raketą gdzie indziej. To naprawdę nie tylko głupie, ale i podłe.
7. I tak dalej. Bo jak nie...

Czy jestem zbyt optymistą, jeśli chodzi o życie za sto lat? Może za dużo przebywałem wśród naukowców, a za mało wśród autorów przemówień dla polityków. Z tego, co wiem, w roku 2088 n.e. nawet komiwojażerowie zaopatrzą się we własne helikoptery czy pasy z silniczkami raketowymi. Nikt nie będzie musiał przerywać oglądania telewizji ani wychodzić z domu, żeby iść do pracy lub do szkoły. Wszyscy będą siedzieć i tłuc cały dzień w klawisze podłączone do niezliczonych końcówek komputerowych, i popijać napoje pomarańczowe przez słomkę jak astronauty”.

Tak kończy się mój list do ludzi roku 2088. Lily Vonnegut może nawet dożyje do jego otwarcia,



ale będzie miała wtedy 105 lat!

Jakbym i tak już nie dał światu dość powodów do snucia posępnych myśli, sprzedałem kiedyś do czasopisma Lear's następujący bukiet samych promyczków i wesołego śmiechu:

„W bajce dla dzieci pod tytułem Biały jeleń autorstwa nieżyjącego już humorysty amerykańskiego, Jamesa Thurbera, astronom królewski na średniowiecznym dworze donosi, że gwiazdy gasną. Tymczasem naprawdę to nie gwiazdy gasną, tylko astronom postarzał się i traci wzrok. W podobnej sytuacji był Thurber, gdy pisał tę baśń. Wyśmiewał więc w niej takiego starego pryka, któremu się wydaje, że wszystko się kończy nie tylko dla niego, ale i dla całego świata. Inspirując się Thurberem postanowiłem nazwać »astronomek królewskim\* każdego starego pryka, który pisze popularną książkę głoszącą, że cały świat, a przynajmniej jego kraj, dąży ku zagładzie, jego dyscyplinę nauki zaś określam terminem »astronomia królewska\*.

Ponieważ wreszcie i ja zostałem starym prykiem, więc może wypada, abym również napisał taką książkę. Trudno mi jednak będzie postępować zgodnie ze standardową zasadą astronomii królewskiej, sięgającą kto wie jak daleko w przeszłość, może aż do wynalezienia przez Chińczyków druku kilka tysięcy lat temu. Zasada ta brzmi oczywiście: »Teraz to już nie to, co dawniej. Młodzi nie mają o niczym pojęcia i niczego nie chcą się uczyć. Staczamy się!« Czyżby? Za czasów mojego dzieciństwa niemal co tydzień słyszało się o zlinchowaniu jakiegoś Murzyna, co prawie zawsze uchodziło płazem. W moim rodzinnym mieście, Indianapolis, przestrzegano wtedy apartheidu równie surowo, jak dziś w Afryce Południowej. Mnóstwo wielkich uniwersytetów, w tym również te należące do Ivy League, odrzucało podania o przyjęcie na uczelnię niemal wszystkich Żydów wyłącznie z powodu ich żydostwa, w skład grona pedagogicznego zaś nie wchodziłi praktycznie ani Żydzi, ani Murzyny.

Zapytam więc - a ty, Reagan, siedź cicho - czy to są stare, dobre czasy?

Kiedy byłem małym dzieckiem i Wielki Kryzys udowadniał wszystkim w sposób bardzo bolesny, że prosperity wcale nie jest naturalnym produktem ubocznym wolności, książki astronomów królewskich cieszyły się takim samym wzięciem jak dzisiaj. Przekonywały one, podobnie jak większość ich dzisiejszych odpowiedników, że kraj nasz schodzi na psy, bo młodzi ludzie nie mają już obowiązku czytania Platona, Arystotelesa, Marka Aureliusza, Św. Augustyna, Montaigne'a i tym podobnych, których wspólna mądrość jest fundamentem każdego uczciwego, sprawiedliwego i produktywnego społeczeństwa.

Wtedy, w czasach Wielkiego Kryzysu, astronomowie królewscy mówili, że Stany Zjednoczone pozbawione tej mądrości to Stany Zjednoczone

radioturniejów i muzyki pochodzącej wprost z dżungli Najczarniejszego Łądu. Teraz mówią, że to samo odejmowanie daje wynik następujący: Stany Zjednoczone teleturniejów i rock and rolla, co według nich prowadzi wprost do demencji. Ja jednak brzydzę się obdarzaniem bezkrytycznym szacunkiem dzieł wielkich, dawnych myślicieli, bo niemal wszyscy oni uważali za naturalne i oczywiste, iż kobiety, mniejszości rasowe i biedni mają być na ziemi pokornymi, pracowitymi, unizonymi i lojalnymi sługami białych mężczyzn, do których należy myślenie o ważnych problemach i sprawowanie władzy.

Na takiej mądrości mogą budować tylko biali mężczyźni; z przykrością stwierdzam, że tego rodzaju myślenie można znaleźć w wielu fragmentach Pisma Świętego.

W zeszłym tygodniu byłem na wielkim obiedzie wydanym na cześć wiceprezesa związku zawodowego filmowców ZSRR - jeśli dobrze go oceniłem, miłego i pełnego nadziei człowieka. Wszyscy bez przerwy pytali go o głośność, i te rzeczy. Czy naprawdę w jego kraju będzie teraz

więcej swobody? A co z więźniami politycznymi, którzy dalej gniją w gułagach i szpitalach psychiatrycznych? Albo z Żydami, którym nie pozwala się wyemigrować? I tak dalej.

Odpowiadał, że eksperyment z poszerzeniem swobód i sprawiedliwości dopiero się rozpoczyna, ale w sztuce już pojawiają się pierwsze korzystne oznaki. Ukazują się najprzeróżniejsze, dotychczas zabronione książki i filmy. Mówił, że zapotrzebowanie na dawniej zakazany owoc jest tak wielkie, iż papiernie nie nastarczają z produkcją. Artyści i intelektualiści są uszczęśliwieni, ale większość prostych robotników, dla których wolność słowa nie ma takiego znaczenia, czeka, czy dzięki głośności będą mieli więcej jedzenia, mieszkań, ubrań, samochodów, artykułów gospodarstwa domowego i tym podobnych rzeczy - a to niestety nie jest już tak bezpośrednim efektem wolności. Wciąż wielkim problemem jest tam alkoholizm, podobnie jak w Stanach, ale u nas dochodzi do tego jeszcze narkomania. To poważne dylematy opieki zdrowotnej, na które nie ma większego wpływu, czy nałogowiec cieszy się, czy nie, swobodami politycznymi.

A więc temu, co teraz tam się dzieje, możemy przyglądać się ze wzruszeniem i ciekawością, gdyż jest to szczerą próbą nadania obywatelom potężnego państwa więcej wolności, niż kiedykolwiek mieli oni sami, oraz ich przodkowie razem wzięci. Jeżeli eksperyment ten nie zakończy się za mojego życia - a przecież wystarczy tylko parę osób, żeby go przerwać - być może zobaczymy obywatele radzieckich zaczynających rozumieć, że wolność, podobnie jak cnota, jest wartością samą w sobie - a to może ich rozczarować. I tam, i u nas, i prawie wszędzie na świecie wielkie masy istnień ludzkich pragną bardziej namacalnych wartości.

Po tym obiedzie zastanawiałem się nad eksperymentem z wolnością prowadzonym nieprzerwanie w moim własnym kraju od ponad dwu wieków.

Związek Radziecki jest robotniczym rajem dopiero od roku 1922 - tak się składa, że tego samego roku urodziłem się w tym tak zwanym Wzorze Wolności dla Reszty Świata.

I powiedziałem naszemu gościowi honorowemu za pośrednictwem tłumacza, że może Związkowi Radzieckiemu wcale tak źle nie idzie, bo jeszcze w prawie sto lat po podpisaniu Deklaracji Niepodległości w moim kraju istniało całkowicie legalne niewolnictwo. Powiedziałem, że niewolników miał nawet świątobliwy Thomas Jefferson.

Nie wspominałem już o ludobójstwie Indian z czasów mojego pradziadka. Tego byłoby już za wiele. o tym staram się i mówić, i myśleć jak najmniej. i o tym, dzięki Bogu, nie uczą wiele w szkole. Rzecz jasna i w Ameryce trwa nasz własny eksperyment z głośnością. U nas polega on na uznaniu kobiet i mniejszości rasowych za istoty równe białym mężczyznom, tak pod względem należnego ich traktowania i szanowania, jak równości względem prawa. Dla starożytnych mędrców - których dzieła nasza młodzież zaniedbuje, jakoby na własną zgubę, na korzyść rock and rolla - byłby to skandal.

Właściwa odpowiedź, jaką lud amerykański powinien dać astronomom królewskim, piętnującym to zaniedbanie, powinna brzmieć mniej więcej tak: »Prawie żaden z tych starożytnych mędrców nie wierzył w prawdziwą równość, i wy też nie - ale my owszem«.

Czy w Stanach Zjednoczonych mojej młodości nie ma nic, za czym bym tęsknił, poza samą młodością oczywiście? Owszem, jest jedno, za czym tęsknię tak, że aż nie mogę wytrzymać. Otóż chciałbym nigdy nie osiąść pewnej wiedzy: wiedzy, że już wkrótce istoty ludzkie doprowadzą tę wilgotną, niebiesko-

-zieloną planetę do stanu, w którym nie będzie nadawała się do zamieszkania przez inne istoty ludzkie. Nic nas nie powstrzyma. Dalej będziemy mnożyć się jak króliki, bawić w techniczne głupstwa o nie dających się przewidzieć skutkach ubocznych, a nasze rozpadające się miasta dalej

będziemy naprawiać tylko po wierzchu. Nie posprzątamy też trującego brudu, owocu pracy rąk ludzkich.

Gdyby za, powiedzmy, sto lat miały odwiedzić Ziemię zielone ludziki, aniołowie, czy co tam jeszcze, a my wymarlibyśmy do tego czasu jak kiedyś dinozaury, jakie przesłanie, na przykład wyryte na zboczach Wielkiego Kanionu, powinna im zostawić ludzkość?

Oto propozycja godna starego pryka:

ZAPEWNE MIELIŚMY SZANSĘ SIĘ URATOWAĆ,  
ALE BYLIŚMY ZA LENIWI, ŻEBY SIĘ O TO  
POSTARAĆ.

Można jeszcze dodać:

I ZA SKĄPI.

A więc nie tylko ja wyjadę stąd nogami do przodu, ale wszyscy. Ze mnie też niezły astronom królewski, co?”

## XII

„MIT odegrał ważną rolę w historii mojej gałęzi rodziny Vonnegutów. Tu ukończyli architekturę ojciec i dziadek. Stąd wyleciał wujek Pete. Mój jedyny brat Bernard, starszy ode mnie o dziewięć lat, zrobił tu doktorat z chemii. Ojciec i dziadek pracowali potem w swoim zawodzie na własną rękę, wujek Pete też pracował na własną rękę jako przedsiębiorca budowlany, a brat bardzo szybko zdecydował, że zostanie naukowcem, i że nie będzie mógł pracować na własną rękę. Jeżeli chce mieć dość miejsca i sprzętu, by robić to, co umie najlepiej, będzie musiał pracować u kogoś innego. U kogo?” Taki właśnie wstęp do przemówienia, jakie dawno temu, w 1985 roku, wygłosiłem na MIT, wydał mi się fascynujący. (Od czasu do czasu nachodzi mnie fioł, który wmawia mi, że choć odrobinę uda mi się odmienić losy historii, i to przemówienie jest tego pięknym przykładem). Wtedy, w Auli im. Kresgego, miałem przed sobą salę pełną młodych ludzi, z których każdy potrafił robić to, co Merlin mógł tylko udawać na dworze króla Artura, w Kamelot. Każdy z nich potrafił uwalniać lub ujarzmić olbrzymie siły (zwykle niewidoczne) na korzyść lub niekorzyść takiego czy innego przedsięwzięcia (na przykład Wojen Gwiezdnych).

„Większość z was - mówiłem dalej - wkrótce stanie przed tym samym dylematem, przed którym stanął mój brat, gdy skończył tu studia. By zapewnić sobie utrzymanie, a może i dobrobyt, większość z was zacznie realizować nie tylko własne, co oczywiste, techniczne marzenia, ale także marzenia innych. Będziecie musieli doprowadzić do połączenia marzeń, co bywa nazywane współpracą, a bardziej romantycznie - małżeństwem.

Mój brat zrobił ten swój doktorat w roku 1938, jeśli się nie mylę. Gdyby pojechał potem pracować do Niemiec, realizowałby marzenia Hitlera. Gdyby pojechał pracować do Włoch, realizowałby marzenia Mussoliniego. Gdyby pojechał pracować do Japonii, realizowałby marzenia Tojo. Gdyby pojechał pracować do Związku Radzieckiego, realizowałby marzenia Stalina. Zamiast tego zaczął pracować w fabryce butelek w Butler w stanie Pensylwania. Wybór pracodawcy, którego marzenia będziecie realizować, może mieć spore znaczenie nie tylko dla was samych, ale i dla całej ludzkości.

Hitler marzył o tym, by zabijać Żydów, Cyganów, Słowian, homoseksualistów, komunistów, świadków Jehowy, upośledzonych umysłowo, zwolenników demokracji i tym podobnych, na skalę przemysłową. I zamiary te pozostałyby tylko w sferze marzeń, gdyby nie chemicy, tak wykształceni jak mój brat, którzy wyprodukowali na użytek katów Hitlera gaz cyjankowy zwany Cyklonem B. Pozostałyby w sferze marzeń, gdyby architekci oraz inżynierowie, tak zdolni jak mój ojciec i dziadek, nie zaprojektowali mu obozów zagłady - siatek z drutu kolczastego, wieżyczek strażniczych, baraków, ramp kolejowych, komór gazowych i krematoriów - zapewniających maksymalną łatwość obsługi i wydajność. Ostatnio odwiedziłem w Polsce dwa takie obozy, Oświęcim i Brzezinkę. To istne cuda techniki. Ich projektantom można wystawić tylko jedną ocenę - celującą. Jestem przekonany, że rozwiązali wszystkie przedstawione im problemy.

Tak jest; a tę samą ocenę musiałbym wystawić technikom, którzy przyczynili się do wynalezienia samochodówpułapek, które w naszych czasach wybuchają regularnie przed ambasadami, domami towarowymi, kinami i świątyniami wszelkich wyznań. I oni rozwiązali wszystkie przedstawione im problemy. Dup! Celująco! Celująco!

Co powoduje różnice między mężczyzną i kobietą? W ciągu ostatnich dwóch dziesięcioleci feministki mogą poszczycić się paroma skromnymi osiągnięciami, tak, że należy dziś niemal do obowiązku przyznawać, iż dyferencje między płciami były dotąd przesadzone. Ja jednak wiem swoje: mówiąc ogólnie, kobiety znacznie bardziej niż mężczyźni nie cierpią niemoralnych zastosowań techniki. Może wynika to z jakichś zaburzeń hormonalnych. Tak czy inaczej w

demonstracjach przeciwko planom i urządzeniom, które służą do zabijania ludzi, kobiety, często zabierające ze sobą dzieci, zwykle znacznie przewyższają liczbowo mężczyzn. Zresztą najskuteczniejszym sceptykiem co do korzyści niepowstrzymanego postępu technologicznego była właśnie kobieta, Mary Wol-Istonecraft Shelley, zmarła 134 lata temu. To ona, jak wiadomo, stworzyła opowieść o potworze z Frankenstein.

A teraz pokażę wam, jak dziarski i kobiecy stałem się, kiedy wychodzę już z wieku średniego: gdybym to ja był rektorem MIT, na całej uczelni porozwieszałbym zdjęcia Borisa Karloffa w roli potwora z Frankenstein. Po co? Aby przypominać studentom i uczącym, że ludzkość już obecnie kuli się ze strachu, oczekując, że wcześniej czy później zostanie zglądzona przez potwory z Frankenstein. Zresztą zagłada ta trwa w wielu innych częściach świata, często za naszym poduszczeniem - dzień w dzień, godzina po godzinie.

Co robić? Wy z MIT powinniście dać przykład swym kolegom na całym świecie; spiszcie, a następnie złożcie własne ślubowanie, oparte na przysiędze Hipokratesa, wiążącej lekarzy medycyny od dwudziestu czterech wieków. Czy chcę przez to powiedzieć, że przez ten cały czas nie złamał jej żaden lekarz? Skądże znowu. Ale każdy lekarz, który ją pogwałcił, został - słusznie - uznany za szuję. Dlaczego świętej pamięci Josef Mengele jest w opinii większości jednym z największych potworów wśród kolegówhitlerowców? Bo był lekarzem, a bez zmrżenia oka gwałcił przysięgę Hipokratesa.

Jeżeli niektórzy z was pójdą za moją radą, by napisać nową przysięgę, czeka ich uważne czytanie oryginału, który, jak się powszechnie uznaje, pochodzi z około 460 roku przed narodzeniem Jezusa Chrystusa. A więc musi to być spleśniały dokument po starogrecku; większość z tego, co tam napisano, nie ma żadnego związku z moralnymi problemami współczesnych lekarzy. Ale jest to również dokument bardzo ludzki. Nikt nigdy nie twierdził, że pochodzi od jakiegoś boga, że został przez niego wyjawiony w czymś widzeniu czy na glinianych tablicach znalezionych na jakiejś tam górze. Napisał go jeden człowiek lub kilku ludzi, natchnionych wyłącznie własną chęcią niesienia pomocy, a nie szkody, rodzajowi ludzkiemu. Zakładam, że również większość z was woli pomóc niż szkodzić rodzajowi ludzkiemu i z zadowoleniem przyjąłibyście formalne ograniczenia zakusów złego pracodawcy.

Najmniej przeróbek trzeba by dokonać w tej części przysięgi Hipokratesa, która brzmi: »Odpowiednio do sił moich i zdolności rzetelnie stosować będę niezbędne środki z korzyścią dla zdrowia pacjenta. Nie wyrządę zła. Nie dam nikomu trucizny, nawet na jego prośbę«. Te zdania moglibyście łatwo sparafrazować, by mówiły nie tylko o lekarzach, lecz o wszystkich naukowcach, pamiętając, że wszystkie nauki wywodzą się ze wspólnego źródła - z pragnienia, by ludziom żyło się dobrze i bezpiecznie. Wasza parafraza mogłaby brzmieć na przykład tak: »Odpowiednio do sił moich i zdolności rzetelnie stosować będę niezbędne środki z korzyścią dla całej przyrody tej planety. Nie wyrządę zła. Nie stworzę zabójczej substancji lub urządzenia, nawet na czyjąś prośbę«.

Tak właśnie mogłaby zaczynać się przysięga, którą wszyscy chętnie złożą przy otrzymaniu dyplomu MIT. A jest wiele innych rzeczy, które równie chętnie przyrzeklibyście. Macie już początek. Dziękuję za uwagę”.

Ale kłapa! Oklaski, owszem, grzeczne. (Na sali było sporo twarzy azjatyckich; kto wie, co o n i sobie myśleli?) Ale nikt jakoś nie podszedł potem do mnie, żeby powiedzieć, że zaraz spróbuje ułożyć tekst takiej przysięgi dla naukowców. W gazetce studenckiej z tego tygodnia nie było o tym ani słowa. Koniec, kropka. (Gdyby ktoś wygłosił takie przemówienie w Cornell w czasach, gdy ja tam studiowałem, jeszcze tego samego wieczora napisałbym tekst przysięgi; przynajmniej raz nie traciłbym czasu mówiąc głośno do siebie. Tylko że ja miałem na studiach mnóstwo czasu, bo oblewałem równo prawie wszystkie egzaminy).

Co sprawia, że tak trudno porwać czymś dzisiejszych studentów? (Właśnie dziś rano ja, stary przyk, dostałem list, w którym pytają mnie, czy mam jakieś propozycje do zmiany Ślubowania Wierności, i zaraz odpowiedziałem: „Ślubuję wierność Konstytucji Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i fladze, która jest jej symbolem, symbolem wolności i sprawiedliwości dla wszystkich”\*)

Powiem wam, dlaczego. Oni wiedzą coś, czego ja nigdy nie zrozumiałem: że życie jest niepoważne. (Więc niby dlaczego koń Kaliguli nie miałby zostać konsulem?)

Przed moim wspaniałym wystąpieniem rozmawiałem z paroma studentami o Wojnach Gwiezdnych - pomyśle Ronalda Reagana, że promienie laserowe, satelity, lep na muchy i kto wie, co jeszcze, można połączyć w jeden system tak, że nie prześlizgnie się przezeń ani jedna wroga rakietka. Moi rozmówcy nie wierzyli co prawda, żeby to kiedykolwiek mogło działać, ale i tak chcieli przy tym pracować. (Więc niby dlaczego koń Kaliguli n i e miałby zostać konsulem?)

\* Amerykańskie Ślubowanie Wierności, tekst recytowany chórem każdego dnia na początku zajęć w wielu szkołach w USA, brzmi następująco: „Ślubuję wierność fladze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i Republice, którą reprezentuje, jednemu, z woli Boga niepodzielnemu państwu wolności i sprawiedliwości dla wszystkich”.

### XIII

Kiedy dawno temu studiowałem antropologię na uniwersytecie w Chicago, moim naj słynniejszym wykładowcą był doktor Robert Redfield. Pogląd, że wszystkie społeczeństwa przechodzą kolejno przez podobne, przewidywalne stadia rozwoju aż do osiągnięcia wyższej (wiktoriańskiej) cywilizacji, na przykład od politeizmu do monoteizmu, albo od tam-

-tam do orkiestry symfonicznej, został już przedtem tak wyśmiany, że nie pozostało po nim ani śladu. Powszechnie zgadzano się, że drabina zwana ewolucją kulturową nie istnieje. Doktor Redfield ośmielił się jednak powiedzieć: „Zaraz, zaraz”. Oznajmił, że potrafi opisać i udowodnić obiektywnemu słuchaczowi, iż istnieje jedno (i tylko jedno) stadium, przez które każde społeczeństwo albo już przeszło, albo dopiero przejdzie. To nieuchronne stadium (i własną pracę na ten temat) nazwał „Społeczność ludowa”. Po pierwsze, społeczność ludowa jest odizolowana od innych, a zamieszkuje teren, który uznaje za swój własny. Uprawia tę ziemię, i żadną inną. Granica między żywymi a zmarłymi jest zamazana, związki pokrewieństwa - skomplikowane. Istnieje tak powszechny konsensus co do sensu życia i kodeksu zachowań ludzkich w każdej sytuacji, że niemal brak punktów spornych.

Co roku, na wiosnę, doktor Redfield dawał publiczny wykład o społeczności ludowej. Wykład cieszył się chyba sporym powodzeniem, bo wielu z nas potraktowało go jako naukową receptę, jak odnaleźć głębokie, trwałe zadowolenie: wstąpić do społeczności ludowej lub ją założyć. (Pamiętajcie, że było to w latach czterdziestych, na długo przed komunami, dziećmi kwiatami, wspólną muzyką oraz ideałami pokolenia moich dzieci). Doktor Redfield wyśmiewał sentymentalne bzdury o życiu w społecznościach ludowych, z góry przyznając, że są one piekłem dla ludzi o bujnej wyobraźni, nie zaspokojonej ciekawości, potrzebie eksperymentowania i wynalazczości - lub niepohamowanym poczuciu humoru. Mimo to sam przyłapuję się na tym, że wciąż jeszcze marzę o wyizolowanej od reszty społeczeństwa grupce podobnie jak ja myślących ludzi, mieszkających sobie w jakimś łagodnym klimacie, na polance w lesie, nad jeziorem (nawiasem mówiąc idealne miejsce, w którym rozmarzona dziewica może stać się panią jednorożca). Mój syn Mark założył i częściowo sfinansował taką komunę w Kolumbii Brytyjskiej, co opisał potem w *The Eden Express*. (W Niedzieli palmowej napisałem, że synowie próbują urzeczywistnić nierealne marzenia swych matek na ich temat; tutaj zaś mieliśmy przypadek syna, który wprowadził w życie niepraktyczne rojenia ojca. Przez jakiś czas było nawet całkiem niezłe).

Pośrednicy handlu nieruchomościami dają do zrozumienia, że kupienie lub wynajęcie przez kogoś domu w takiej a takiej miejscowości czyni z nieszczęsnego frajera gotowego kandydata na członka społeczności ludowej. Podobna myśl kołatała mi się po głowie, gdy rzuciłem pracę w General Electric, przeniósłem się na przylądek Cod i mieszkałem tam przez dwadzieścia lat (najpierw w Provincetown, potem w Osterville, potem w Barnstable). Nie miałem tam jednak żadnych krewnych, nie byłem pochodzenia anglosaskiego ani potomkiem pierwszych przybyszów z Europy. W dodatku moje poglądy, często wystawiane na widok publiczny w książkach i czasopiśmie, raczej nie zgadzały się z poglądami sąsiadów; wyjeżdżając stamtąd czułem się równie wyizolowany, jak zaraz po przyjeździe. (Zaraz po przyjeździe zaofiarowałem swe usługi jako członek ochotniczej straży pożarnej, bo byłem przedtem strażakiem w Alplaus w stanie Nowy Jork, zaraz za Schenectady. Równie dobrze mogłem próbować dostać się do *Skull and Bones* \* na pierwszym roku Yale).

Nie luję się też, że stałem się, tak na poważnie, częścią tej wioski jak z obrazka, w której piszę

teraz te słowa, czyli Sagaponack na Long Island. Tutejsza straż pożarna wysyła każdemu powielony tekst z prośbą o dotacje, więc zawsze wysyłam im trochę forsy. Moim najbliższym sąsiadem jest malarz Robert Dash, który chwali się, iż jego żywopłot jest tak gęsty, że niczego przezeń nie widać. (Ale za to słyhać. Kiedyś przez całe popołudnie siedział w moim ogródku za domem Truman Capote i opowiadał o sobie, a Dash powiedział mi później, iż był pewny, że odwiedziła mnie jakaś gadatliwa ciotka - stara panna).

(Miałem nadzieję, że ten rozdział pójdzie mi łatwo, bo zamierzałem rozpulchnić go kolejnym artykułem z Architectural Digest, zatytułowanym „Drapaczochmurski Park Narodowy”. Stwierdziłem jednak, że tekst ten jest napisany wprost fatalnie; w ogóle dziwię się, że go wydrukowali. Sknociłem go chyba przez to moje odwieczne urojenie, że gdy tylko zostanę członkiem jakiejś społeczności ludowej, zaraz

\* „Trupia czaszka”: piekielnie ekskluzywny klub studencki w Yale, niedostępny dla „nowych”. Będę zadowolony z życia. To naprawdę mój Święty Graal; całkowicie wbrew zdrowemu rozsądkowi wierzę, że gdzieś czeka na mnie, bym go odnalazł. Tak więc rozdział ten będzie składał się z filetów, wyciętych z tamtego artykułu, ale nie oddzielonych cudzysłowami, co stanie się dla mnie dość kłopotliwym ćwiczeniem w pracy naukowej. A zresztą, kogo to obchodzi?)

Większość czasu spędzam na Manhattanie, naprzeciw żółtego domu, w którym przez wiele lat mieszkał E.B.White. On i jego żona Katherine, zdawałoby się uosobienie tego, co na Manhattanie najbardziej kulturalne, wdzięczne i inteligentne, wynieśli się stąd do Maine na kilka lat przedtem, zanim się tu sprowadziłem. (Do Maine! Do Maine? Do Maine, niech mnie szlag trafi!)

Szczególną atmosferę Manhattanu streścił mi dopiero pewien cudzoziemiec, z którym na dodatek nie miałem wspólnego języka. Był nim wielki powieściopisarz turecki, Yacar Kamal (wygląda jak rozradowany Ernest Hemingway, choć kilkakrotnie był już więźniem sumienia w swoim kraju). Wtedy odwiedził Nowy Jork po raz pierwszy w życiu.

Szliśmy razem wzdłuż Broadwayu, mniej więcej od ulicy Sześćdziesiątej do Soho, co chwila zbaczając to na wschód, to na zachód. Pokazałem mu śliczny dom Edny St Vincent Millay. Pokazałem mu Washington Square i powiedziałem: „Henry James! Henry James!” (Podobnie jak przedtem wołałem: „Edna St Vincent Millay! Edna St Vincent Millay!”) Do imion własnych tłumacza nie trzeba, ale mało prawdopodobne, żeby Yacar Kamal słyszał przedtem którekolwiek z nich).

Nie mam pojęcia, co on w ogóle z tego wszystkiego zrozumiał. Ale gdy wrócił do domu (i po nie wiadomo już który raz trafił do kicia) napisał do mnie list, który przełożyła na angielski jego żonatłumaczka. Był tam taki fragment: „Nagle zrozumiałem! Nowy Jork jest tak samo mój, jak czyjkolwiek inny, kiedy tam jestem! „A to przecież dokładnie esencja tej części Manhattanu, po której go oprowadzałem, a którą nazwałem w artykule do Architectural Digest „Drapaczochmurskim Parkiem Narodowym”.

Są ludzie, którzy robią wszystko, żeby dowieść, że jakaś część „Drapaczochmurskiego Parku Narodowego” do nich należy; umieszczają swe nazwiska i Bóg wie co jeszcze na budynkach, ale równie dobrze mogliby wypisywać je na zboczach Wielkiego Kanionu czy na Old Faithful \* (który chlusta gorącą wodą, jeżeli do jego dziury wsypie się pudełko proszku do prania z detergentami). Manhattan to też zjawisko geologiczne. Na małej wyspie z litego granitu skupiła się ogromna część bogactw całej planety. To spowodowało, że na powierzchni wysepki pojawiły się wszędzie kryształki, i to tak gęsto, że wyspa widziana z lotu ptaka przypomina teraz jeżozwierz z kwarcu.



Jeżeli kiedykolwiek założę własną społeczność ludową (a czasu coraz mniej!), nie będzie to na Manhattanie. Jak uczył doktor Redfield, członkowie takiej społeczności muszą mieć poczucie, że zrodził ich konkretny skrawek ziemi, który zawsze był, jest i będzie ich własnością - a jak już wspomniałem, nikt tak naprawdę nie może posiadać niczego w „Drapaczochmurskim Parku Narodowym”.

Wielokrotnie powtarzałem w moich przemówieniach, że za swój opis społeczności ludowej doktor Redfield zasługuje na poczesne miejsce u boku odkrywców witamin i substancji mineralnych odpowiedzialnych za nasze zdrowie i dobre samopoczucie. Marynarze floty brytyjskiej dawniej źle się czuli podczas długich podróży morskich z powodu

\* „Stary, wierny druh”, słynny gejzer w słynnym parku narodowym Yellowstone. braku witaminy C. Potem zaczęli ssać limony i znów czuli się lepiej. (To dlatego przezywamy Brytyjczyków „limey”. Wyśmiewano się z ich marynarzy, że ssą limony). Zawsze twierdziłem, że wielu z nas źle jest w życiu z braku takiej społeczności ludowej. Tylko że witaminy i substancje mineralne to fakt, a społeczności ludowe, jeżeli jeszcze gdzieś przetrwały, to najprawdopodobniej znachorskie guśla dla takich jak ja, w rodzaju Warzywnego Środka na Przypadłości Kobiece Lydii E. Pinkham\*.

Kilka miesięcy temu zwiedzałem wydział antropologii na uniwersytecie Chicago. Z moich dawnych profesorów ostał się tam tylko doktor Soi Tax. Zapytałem go, czy nie wie, co porabiają moi koledzy i koleżanki z roku (między innymi Lisa Redfield, córka doktora Redfielda). Powiedział, że wiele z nich, Lisa też, praktykuje coś, co nazwał „antropologią miejską”, a co z daleka pachniało mi socjologią. (Socjologów mieliśmy w pogardzie. Nie wiedziałem i nadal nie wiem, dlaczego). Gdybym w mej karierze życiowej pozostał przy antropologii, robiłbym teraz zapewne to, co robię w tej właśnie chwili\*\*, czyli pisałbym o bezkulturowych ludach pierwotnych (sam do nich należę) „Drapaczochmurskiego Parku Narodowego”.

Niedobór witamin czy substancji mineralnych zawsze ma złe skutki; niedobór społeczności ludowej (zwany odtąd NSL) - też całkiem często. Cały kłopot zaczyna się w chwili, gdy osoba cierpiąca na NSL przestaje myśleć i wstępuje do takiej sztucznej, szerokiej rodziny, która, tak się akurat składa, jest bandą szaleńców. Natychmiast przychodzi na myśl

\* „Cudowne” lekarstwo na choroby kobiece, które, mając właściwości silnie uzależniające, wpędziło w nałóg tłumy kobiet amerykańskich w XIX w.

\*\* W oryginale: „What I a m doing”. Piękna ilustracja różnicy między angielskimi czasami teraźniejszym, prostym i ciągłym. zbrodnicza „rodzina” Charlesa Mansona. A kult pastora Jima Jonesa w Gujanie, którego wyznawcy, idąc za jego radą („Dziś ze mną będziesz w raju”) napoili swe dzieci oranżadą z proszku zmieszaną z cyjankiem, a potem sami to wypili? (Pastor Jones, podobnie jak Manson, pochodził z Indianapolis. Nie powiedziałem tego Johnowi Updike’owi, gdy wybierał się tam na odczyt. I tak za dużo mu naopowiadałem o mieście, do którego na pewno już więcej nie pojedzie. Po co ma jechać tam z nadbagażem?)

A Ku-Klux-Klan (za czasu mojego dzieciństwa miał główną siedzibę w Indianie)? A Krajowy Związek Strzelecki? A ci wszyscy ludzie, którzy, jeśli popracują jakiś czas w Białym Domu, zaczynają wykazywać oznaki dziwactwa?

Każda, nawet najgłupsza, sztuczna, wielka rodzina chorych na NSL przypomina społeczność ludową Redfielda o tyle, że opiera się na jakimś micie. Rodzina Mansona udawała, iż wierzy (czyli wierzyła), że o popełnione przez nią zbrodnie oskarży się Murzynów. W ten sposób Los Angeles dozna oczyszczenia przez to, że rozszaleje się tam wojna rasowa. Mit, na którym opiera się rodzina nazywająca się „neokonserwatystami”, nie jest aż tak oczywisty, ale ja wiem, na czym polega, nawet jeśli większość zainteresowanych nie potrafi ująć go w słowa. Oto on: neokonserwatyści są arystokratami brytyjskimi, absolwentami Oxfordu lub Cambridge, żyjącymi w świecie takim, jaki był sto lat temu.

Czy w tamtych czasach ktokolwiek bardziej ugiął się pod Brzemieniem Białego Człowieka \* niż obecnie

William F. Buckley junior albo nasza była przed-

\* „White Man’s Burden” - ideologia, powszechna w Imperium Brytyjskim, głosząca, że szlachetnym zadaniem i obowiązkiem białych jest nieść kaganek oświaty, cywilizacji, chrześcijaństwa itd nieoświeconej, niecywilizowanej, niechrześcijańskiej itd reszcie ludzkości. stawicielka w ONZ, Jeane Kirkpatrick? Co by tu zrobić z tymi Hotentotami?

Ta iluzja jest w większości przypadków wręcz komiczna, ale często zmienia się w tragedię dla ludzi biednych i ciemnoskórych, i to nie tylko u nas, ale w wielu, wielu częściach świata, gdyż neokonserwatyści wywarli wielki wpływ na naszą politykę zagraniczną ostatnich dziesięciu lat. Zostawmy politykę wewnętrzną. Cała forsa poszła na zagraniczną. Rany boskie, przecież w którymś momencie kazali naszym okrętom strzelać w Liban, i to bez określenia żadnego konkretnego celu. Scena wprost z Jądra ciemności Conrada. Książka ta ukazała się dawno temu, w roku 1902, na wiele lat przedtem, zanim obalono pogląd, że biali ludzie z wyższych sfer są najwyższymi rozwiniętymi zwierzętami na Ziemi, a ludzie biedni i ludzie ciemnoskórzy to małpy bez ogona.

Neokonserwatyści kazali naszym pilotom wypuścić rakiety na takie małpy bez ogona z Trypolisu (trafili między innymi córkę Khadafiego i ambasadę Francji). Kazali nam zabić z tysiąc innych małp bez ogona w trakcie aresztowania jednej małpy bez ogona, głowy państwa Panama. A te wszystkie inne, makabryczne rzeczy, które robiliśmy albo wciąż robimy małpom bez ogona w Gwatemali, Salwadorze, Nikaragui, Południowym Bronxie, Mozambiku i kto wie, gdzie jeszcze? („Wie to tylko Cień \*”)

A komu jest żal jakiejś tam małpy? Najwyżej kataryniarzowi, bo nawet nie innej małpie.

(Neokonserwatystą był w swym czasie Don Kiszot, ale on rozwalił tylko czasem płachtę na skrzydle wiatraka albo spłoszył parę owiec).

\* Tajemnicza postać ze słuchowisk radiowych, odpowiednik późniejszych Batmanów, Spidermanów itp.

## XIV

Próbowałem rozprawić się z neokonserwatystami (nie ten wiek, nie ten kraj) w powieści, którą skończyłem cztery miesiące temu, a która nazywa się Hokus pokus. W chwili, gdy piszę te słowa, Franklin Library przygotowuje luksusowe wydanie Hokus pokus (z ilustracją mojej córki Edith, primo voto Rivera; jej drugi mąż to naprawdę fajny facet), do którego dałem osobną przedmowę.

A napisałem w niej, że „od kiedy studiowałem antropologię, traktuję historię kultury i społeczeństwa jak najbardziej żywe postacie literackie, takie jak pani Bovary, Długi John Silver, Leopold Bloom czy kogo tam jeszcze chcecie. Jakiś czas temu pewien krytyk z The Village Voice oznajmił z triumfem, że jestem jedynym znanym pisarzem, który nigdy nie wymyślił własnej postaci literackiej z prawdziwego zdarzenia, i że następnym krokiem będzie zwalenie mnie z piedestału pod tym właśnie pretekstem. Nie miał racji, bo przecież Eliot Rosewater, Billy Pilgrim i jeszcze paru są i stereofoniczni, i trójwymiarowi, a idiosynkrazji w nich ile dusza zapagnie. Ale trochę też i miał, bo w wielu moich książkach głównymi bohaterami nie są pojedyncze osobniki ludzkie.

Główną postacią w Hokus pokus (poza mną, oczywiście) jest imperializm: przywłaszczanie sobie należących do innych społeczeństw ziemi, ludzi i bogactw za pomocą najnowocześniejszych machin do ranienia i zabijania, czyli armii i floty. Można do znudzenia powtarzać, że gdy Krzysztof Kolumb odkrył tę półkulę, żyły już na niej całe miliony istot ludzkich, a ciężkozbrojni Europejczycy po prostu im ją zabrali. Takie postępowanie, jeśli odbywa się na mniejszą skalę, jest przestępstwem, które nazywamy rozbojem. Jak można się spodziewać, podobny gwałt nie obył się bez konsekwencji, z których jedną jest, jak się okazuje, niechęć najbogatszych potomków zdobywców do brania odpowiedzialności za to, co stało się tymczasem straszliwym bałaganem, wymagającym fachowego zarządzania oraz bezmiernie nudnego i przerażająco kosztownego utrzymywania na chodzie, nie mówiąc już o coraz bardziej zrozpaczonej, ulegającej destrukcji i chorej ludności.

Ale w Hokus pokus dzieje się dokładnie tak, jak dzieje się naprawdę: najbogatsi spadkobiercy tego, co stało się Stanami Zjednoczonymi, znaleźli ratunek w cudzoziemcach, szczególnie w Japończykach, słynących z kieszeni pełnych gotówki, z zapalem skupujących nasz kraj za papiery wartościowe. Można je sprzedać praktycznie wszędzie, i to bez najmniejszego śladu powinności społecznych czy kierowniczych. Istny raj! I tak spadkobiercy ci, wielu z nich dopiero niedawno dopchało się do złoba, rozstawionego przez europejskich zdobywców półkuli zachodniej, na przykład dzięki zawierany w złej wierze transakcjom na Wall Street albo złupieniu tej czy innej kasy oszczędności, wykazują akurat tyle patriotyzmu względem kraju, w którym mieszkają, co brytyjscy zdobywcy Rodezji, belgijscy zdobywcy Konga czy portugalscy zdobywcy Mozambiku, albo jak ci wszyscy cudzoziemcy, kawałek po kawałku wykupujący naszą, amerykańską ziemię”.

Przedmowa była znacznie dłuższa, ale do diabła z tym. (Im robię się starszy, tym mniej chętnie przyznaję się do tego, co mówię czy robię. Ale ja przynajmniej paskudzę tylko papier, podczas gdy Ronald Reagan, który też pracował w General Electric, zapaskudził cały kraj. Samo General Electric oczywiście zapaskudziło rzekę Hudson i kilkaset kilometrów kwadratowych po zawietrznej od Hanford w stanie Washington).

Żałuję, że nie napisałem w tej przedmowie (starcze esprit tfescalier), że jesteśmy ostatnią wielką kolonią, którą opuszczają jej zdobywcy. Gdy całkiem wyjadą, zabrawszy ze sobą większość naszych pieniędzy (może do Europy, może do pojedynczych baz, które tu sobie zostawiają, takich jak Hamptons, Palm Beach czy Palm Springs), będziemy jak Nigeria, będziemy krajem dla doktor Seuss, złożonym z kilku w nieprawdopodobny sposób połączonych plemion. W Nigerii (którą odwiedziłem podczas tamtejszej wojny plemiennej) największe plemiona to Hausa, Joruba oraz Ibo. Naszymi odpowiednikami będą Murzyni, Latynosi, Irlandczycy, Włosi, Azjaci i Nijacy (do tych ostatnich

zaliczam też ludzi pochodzenia niemieckiego).

Zaczną się starcia. Staniemy się krajem Trzeciego Świata. Jedyłą pociechą jest to, że wszystkie inne kraje też znajdują się w Trzecim Świecie. (Zobaczycie!) Przez nieuniknione konsekwencje imperializmu, a więc zabieranie innym narodom ziemi i rozwalanie ich kultur, będziemy wszyscy mieszkać na planecie Trzeciego Świata.

Przedstawiłem tę teorię Salmanowi Rushdie, który powiedział kiedyś, że sama Wielka Brytania stanowi Okopy Świętej Trójcy Imperium, bo importuje do siebie byłych, ciemnoskórych poddanych, żeby maltretować ich na wyspie, na której to wszystko się zaczęło. Rushdie, wspominałem już o nim, gdy pisałem o Nelsonie Algrenie, ukrywa się teraz, bo Iran rozesłał za nim listy gończe. Napisałem do niego. Jak dotąd nie otrzymałem odpowiedzi, choć w jakiejś brytyjskiej gazecie ukazała się jego miażdżąca recenzja Hokus pokus, pisze w niej, że jestem skończony jako pisarz i tak dalej. (Byłem taki wściekły, że zastanawiałem się, czy sam nie powinienem rozesłać za Rushdiem listów gończych.)

Ogólnie źle się dzieje. (Moją najlepszą książką jest GalapagoS) piszę tam, że nasze najtęższe mózgi robią wszystko, żeby żyło się nam jak najgorzej). Podobno człowiekiem, którego wszyscy darzą największym zaufaniem w Ameryce, jest Walter Cronkite. (Bo kogóż by innego?) Kiedyś byliśmy przyjaciółmi, ale teraz odnosi się do mnie bardzo chłodno. Wyobraźcie sobie, jak to jest: być Amerykaninem, traktowanym jak śmieć przez człowieka, któremu najbardziej ufają w całej Ameryce! (Wyobraźcie sobie: być Amerykaninem).

Potem, w tej samej przedmowie, dokopałem znowu amerykańskim szkołom przygotowawczym ze wschodniego wybrzeża. (Mam fioła na tym punkcie).

Napisałem, że są to klony brytyjskich szkół przygotowawczych, a ideałem ich jest rozwijanie tak zwanego „muskularnego chrześcijaństwa”, którego przedstawicielami byli arystokratyczni imperialiści z czasów królowej Wiktorii. (Ci starzy wiedzieli, jak sobie radzić z małpami bez ogonów). A potem jeszcze nasza tak zwana „telewizja publiczna” produkuje serię „Arcydzieł teatru”, opowiadającą o pięknie, wdzięku i dowcipie nie tylko brytyjskiego imperializmu, ale też brytyjskiego systemu klasowego. A brytyjski system klasowy względem tego, jakie kiedyś chciały być, mogły być i powinny być Stany Zjednoczone, jest równie wywrotowy jak Das Kapital czy Mein Kampf. (A jak myślicie, dlaczego niższe warstwy naszego społeczeństwa nie oglądają często telewizji publicznej?)

Imperializm brytyjski był rozbojem. Brytyjski system klasowy (który tak strasznie podoba się neokonserwatystom) był i nadal jest rozbojem. (Związek Radziecki, który przechwalał się, że jest wielkim przyjacielem zwykłego człowieka, rozpadł się, ale to jeszcze nie znaczy, że Kazanie na Górze można teraz uważać za zwykłe lanie wody).

Staram się sądzić sprawiedliwie. Myliłem się w przeszłości, więc może znowu się mylę, oskarżając o status quo szkoły przygotowawcze i „Arcydzieła teatru”. (Podczas Wielkiego Kryzysu ulubionym słuchowiskiem mojego ojcajednorozca było Amos i Andy, przy którym biali zapominali na chwilę o swoich kłopotach, bo w lekki sposób opowiadało o kłopotach czarnych. Zapamiętałem jeden z eleganckich żartów z tego słuchowiska - definicję status quo, sformułowaną niby to przez Murzyna, a naprawdę przez białego: „To gówna, co my w nie wpadli”). Być może dlatego my wpadli w to gówno, że nam kompletnie odbiło. Pisałem o tym w artykule do The Nation (czasopismo to czyta jeden na dwadzieścia pięć tysięcy Amerykanów). Brzmi on tak:

„Jaki jest najcenniejszy wkład Ameryki w kulturę tej planety? Wiele osób powiedziałoby, że jazz. Ja uwielbiam jazz, ale powiem: Anonimowi Alkoholicy. Nie jestem alkoholikiem. Gdybym był, poszedłbym na najbliższe spotkanie AA i powiedział: »Nazywam się Kurt Vonnegut. Jestem

alkoholikiem\*. I, jeśli by Bóg dał, mógłby to być pierwszy krok na długiej, ciężkiej drodze ku trzeźwości.

System AA wymaga złożenia takiego wyznania i jest pierwszym ruchem notującym wyraźne efekty w zwalczaniu tendencji pewnych ludzi (około dziesięciu procent dowolnie wybranej próbki społeczeństwa) do nałogowego zażywania substancji, które, dając krótkotrwałą przyjemność, na dłuższą metę zmieniają życie ich i otoczenia w koszmar.

System AA przynosi dobre rezultaty tylko wtedy, gdy nałogowcy regularnie przyznają, że ta czy inna substancja chemiczna jest dla nich trucizną; potwierdza teraz swą skuteczność w rehabilitacji nałogowych hazardzistów, których wcale nie uzależniają produkty chemiczne destylarni czy laboratoriów farmaceutycznych. To nie paradoks. Hazardziści wytwarzają własne substancje trujące. Biedacy produkują substancje chemiczne, wprawiające ich w stan euforii przy każdym, najbliższym nawet zakładzie. Gdybym był nałogowym hazardzistą, a nie jestem, powinienem stanąć na najbliższym spotkaniu Anonimowych Hazardzistów i oświadczyć: »Nazywam się Kurt Vonnegut. Jestem nałogowym hazardzistą«.

I u Anonimowych Alkoholików, i u Anonimowych Hazardzistów poproszono by mnie potem, abym opowiedział, jak substancje chemiczne, które produkowałem wewnątrz siebie lub połykałem z zewnątrz, sprawiły, że straciłem rodzinę i przyjaciół, pracę i dom, a na koniec też resztki własnej godności.

Oczywiście nie każdy członek AA czy AH upadł tak nisko - choć wielu owszem. Wielu z nich zdążyło, jak to mówią, »sięgnąć dna«, nim zrozumieli, co naprawdę zniszczyło im życie.

Chciałbym teraz zwrócić uwagę na inną formę nałogu, ta nie została dotąd zdefiniowana. Przypomina bardziej hazard niż picie, bo dotknięci nią ludzie gorąco pragną sytuacji, w której ich organizmy zaczynają wprowadzać w krwiobieg substancje podniecające. Otóż jestem przeświadczony, że są wśród nas ludzie tragicznie uzależnieni od zbrojeń. Wystarczy powiedzieć takiemu choremu, że będzie wojna i że trzeba się zbroić. Już za kilka chwil będą tak szczęśliwi jak pijak pochłaniający martini na śniadanie czy nałogowy gracz, stawiający całą pensję na totalizator sportowy.

Musimy zrozumieć, że to ludzie ciężko chorzy. Od dziś, gdy któryś z wielkich polityków, a choćby i sąsiad, zacznie mówić o systemie obronnym za jedyne 29 miliardów dolarów, musimy zabrać głos. Musimy powiedzieć mu na przykład tak: »Jak Boga kocham, stary, żal mi cię. Żal mi cię tak, jakbym widział, że popijasz garść czarnulek\* butelką Southern Comfort« \*\*.

Serio. Nie żartuję. Nałogowi amatorzy zbrojeń u nas i za granicą są równie tragicznymi i, tak jest, równie odrażającymi nałogowcami jak pijani w trupa maklerzy, śpiący z głową w muszli klozetowej w toalecie dworca autobusowego.

Alkoholikowi wystarczy do szczęścia niecałe sto gram alkoholu zbożowego. Alkoholik bliski dna nie ma zwykle zbyt mocnej głowy.

Znajomego nałogowego hazardzistę, który splukał się do cna, można pewnie uszczęśliwić zakładając się o dolara, kto dalej pluje.

Nałogowy amator zbrojeń zazna ulotnej chwili szczęścia dopiero gdy dostanie trzy łodzie podwodne z Tridentami i ze sto międzykontynentalnych rakiet balistycznych, zainstalowanych na kolejce parowej.

Gdyby cywilizacja zachodnia była istotą ludzką... Gdyby cywilizacja zachodnia, pokrywająca obecnie, o ile wiem, cały świat, była istotą ludzką... Gdyby cywilizacja zachodnia, do której należą

niewątpliwie Związek Radziecki, Chiny, Indie, Pakistan i tak dalej, i tak dalej, była istotą ludzką...

Gdyby cywilizacja zachodnia była istotą ludzką, skierowalibyśmy ją na najbliższe spotkanie Anoni-

\* „Black beauties” - potoczna nazwa deximalu, amfetaminopochodnego środka pobudzającego. \*\*

Mocna, popularna whisky amerykańska.

mowych Amatorów Zbrojeń. Kazalibyśmy jej wstać i powiedzieć: »Nazywam się Cywilizacja Zachodnia. Jestem nałogową amatorką zbrojeń. Straciłam wszystko, co kochałam. Już dawno powinnam była tu przyjść. Pierwszy raz sięgnęłam dna podczas pierwszej wojny światowej«.

Cywilizacji zachodniej nie da się, oczywiście, wyobrazić sobie jako pojedynczej osoby, ale można w ten sposób jednoznacznie wyjaśnić katastrofalny kurs, jaki obrała w ciągu tego krwawego stulecia. My, lud nieświadomy istnienia tej choroby, raz po raz powierzaliśmy władzę osobnikom, o których nie wiedzieliśmy, że są chorzy.

Nie wyśmiewajmy ich, tak jak nie wyśmiewamy przecież chorych na kiłę, ospę, trąd, frambeżję, tyfus czy inne dolegliwości ciała. Wydaje mi się, że wystarczy tylko odsunąć ich od władzy.

I co wtedy?

Wtedy cywilizacja zachodnia ruszy może długą, ciężką drogą ku trzeźwości.

Jeszcze słowo o polityce uspokojenia, a więc o czymś, co do czego powinna była nas rozczarować już druga wojna światowa. Uspokojenia kogo? Komunistów? Nie! Neonazistów? Nie! O polityce uspokojenia nałogowych amatorów zbrojeń. Trudno mi nawet wymienić kraje - tyle ich jest - które nie wyzbyły się wolności i dobrobytu, próbując uspokoić rodzimych nałogowców.

A takiego nałogowca nie uspokoi się na długo:

»Facet, przysięgam, daj mi tylko na dwadzieścia wahadłowców i flotę bombowców B-1, to już nigdy nie będę cię nudził«.

Większość nałogów rozpoczyna się całkiem niewinnie, jeszcze w dzieciństwie, w miłych, rodzinnych okolicznościach - łyżek szampana na weselu, pokerek na zapalki w deszczowe popołudnie... Nałogowych amatorów zbrojeń zachęcano pewnie jako dzieci, by klaskali w ręce przy ognisku harcerskim albo na defiladzie czwartolipcowej.

Nie każde dziecko wpadnie w nałóg. Nie każde

dziecko, w ten sposób wodzone na pokuszenie,

wyrośnie na pijaka, hazardzistę czy zwolennika strzelania promieniami laserowymi do nadlatujących rakiet Imperium Zła. Identyfikując amatorów zbrojeń jako nałogowców, nie żądam wcale niewpuszczania dzieci na uroczystości wojskowe. Wątpię, żeby z więcej niż jednego dziecka na sto, które zabrano na przykład na pokaz ogni sztucznych, wyrósł dorosły domagający się zaprzestania wyrzucania pieniędzy na oświatę, opiekę zdrowotną i społeczną, naukę i sztukę, na żywność, mieszkania i ubrania dla potrzebujących, i tym podobne głupstwa - a żądający, by przeznaczono to wszystko na amunicję.

Musicie zrozumieć, że odkryty przeze mnie nałóg dotyczy zbrojeń, powtarzam: zbrojeń - to nałóg wyciągania z lamusa okrętów, wymyślania środków rażenia, przed którymi nie ma obrony, nawoływania do nienawiści względem tej czy innej części ludzkości, obalania rządów małych krajów, które kiedyś, w przyszłości, mogłyby zostać współnikami wroga, i tak dalej. Nie chodzi mi o nałogowy pęd do wojny, bo to zupełnie inna para kaloszy. Nałogowego amatora zbrojeń ciągnie na prawdziwą, porządną wojnę akurat tak, jak makleraalkoholika do wkładania głowy w muszlę klozetową w toalecie dworca autobusowego.

Czy nałogowcy jakiegokolwiek maści powinni mieć prawo zajmowania wysokich stanowisk w tym, czy w jakimkolwiek innym kraju? Absolutnie nie, bo zawsze będą dążyć przede wszystkim do

zaspokojenia swego nałogu, nie bacząc na najstraszliwsze jego konsekwencje - nawet dla nich samych.

Przypuśćmy, że naszym prezydentem jest alkoholik, który jeszcze nie sięgnął dna, a jego głównymi doradcami - podobni do niego. Przypuśćmy też, że jeżeli napije się choćby jeden, jedyny raz, cała planeta rozpadnie się na strzępy, i że on o tym wie.

Kazał wyrzucić z Białego Domu alkohol w każdej postaci, nie wyłączając płynu po goleniu Aqua Velva\*.

Późnym wieczorem prezydenta zaczyna nosić, suszy go, ale wytrzymuje i jest z tego dumny. Otwiera więc lodówkę w kuchni Białego Domu, tłumacząc sobie, że szuka dietetycznej pepsi. A tam, zza największego słoika musztardy francuskiej, mruga na niego nietknięta puszka piwa...

Jak myślicie, co zrobi?"

Napisałem ten tekst siedem lat temu i od tego czasu co chwila używam go przy najrozmaitszych okazjach. (Nawet Jezus Chrystus, gdyby Go nie ukrzyżowano, zacząłby kiedyś się powtarzać). Można traktować to jako żart, bo ja tylko udaję, że jestem taki poważny. (Ale w takim razie żartem jest cała poezja, proza, przemówienia i tak dalej, bo każe się ludziom odczuwać strach, miłość, zadowolenie i Bóg wie, co jeszcze, podczas gdy oni siedzą sobie spokojnie i tak naprawdę nic się nie dzieje).

Najlepszy kawał, o jakim słyszałem (może to sprawka Hugh'a Troya) to ten, który zrobiono pewnemu facetowi z jakiejś agencji reklamowej: gdy awansowano go na bardzo wysokie stanowisko, poszedł do sklepu i kupił sobie elegancki kapelusz jako oznakę nowej godności. Paru kolegów w biurze zrzuciło się na kilka identycznych kapeluszy, ale w innych rozmiarach, i od czasu do czasu zamieniali je z właściwym. I kiedy facet wychodził na obiad czy w jakiegokolwiek innej sprawie, wydawało mu się za każdym razem, że głowa kurczy mu się lub puchnie, bo czasem kapelusz sterczał mu na czubku głowy (jak jarmułka) a czasem opadał na uszy i oczy (jak dzwon nurkowy).

Dawniej powtarzałem, że najśmieszniejszym żartem słownym na świecie jest ten, w którym ktoś pyta: „Dlaczego śmietana jest droższa od mleka?” Odpowiedź: „Bo krowy nie cierpią kucać nad półlitrowymi butelkami”. Zmiany technologiczne w przemyśle nabiałowym zmusiły mnie do odebrania temu kawałowi tytułu mistrzowskiego. Śmietany nie sprzedaje się już w szklanych butelkach o otworze dość szerokim, żeby komuś mogło w ogóle przyjść do głowy, że krowa może nad nimi kucać. W tej sytuacji mistrzostwo świata przypada staremu dowcipowi, jeszcze ze złotego wieku wesołych słuchowisk radiowych; z tego, w którym Ed Wynn („Supergłupek”) występował jako dowódca straży pożarnej. Każde słuchowisko zaczynało się od tego, że Wynn prowadził przez telefon jakąś bezsensowną rozmowę na temat związany z pożarami i strażakami. Kiedyś dzwoni do niego jakaś kobieta i mówi, że u niej się pali. Wynn zapytał, czy próbowała lać wodę na ogień. Powiedziała, że tak, a on na to: „Bardzo mi przykro, ale my też nic więcej nie zrobimy”, i odłożył słuchawkę.

(Niech żyje nowy mistrz świata!)

\* Niezbyt to wyszukany kosmetyk.

A teraz udławcie się naiwnym kazaniem, jakie wygłosiłem w katedrze Św. Jana Bożego w Nowym Jorku:

„Dzisiaj będę mówił o najgorszych konsekwencjach obywatela się bez bomby wodorowej. Mam nadzieję, że sprawi wam to ulgę. Jestem pewny, że macie już powyżej uszu opowieści o tym, co będzie, jeśli taka bomba wybuchnie - kiedy wszystko, co żyje, zaskwierczy tylko i zniknie w promieniotwórczej kuli ognia. Wiemy to już przez ponad trzecią część tego wieku - od kiedy zrzuciliśmy bombę atomową na żółtych w Hiroszynie. I oni rzeczywiście zaskwierczeli i znikli.

Teraz, kiedy jest już po wszystkim, warto uświadomić sobie, że to całe skwierczenie i znikanie, mimo błyskotliwej techniki nie było niczym innym, jak naszą starą znajomą - śmiercią. Nie zapominajmy, że Joanna D'Arc też zaskwierczała i znikła, choć było to tak dawno, że musieli posłużyć się drewnem na opał. Joanna D'Arc nie żyje tak samo, jak ludzie z Hiroszyny. Nie żyją, to nie żyją.

Mimo całej swej pomysłowości naukowcy nie wymyślą nic, co by sprawiło, że nieżywi staną się jeszcze bardziej nieżywi. Więc jeśli ktoś z was boi się, że zginie od bomby wodorowej, boi się tylko śmierci. Nic nowego. Śmierć i tak goni za wami z tą swoją kosą, czy istnieje bomba wodorowa, czy nie. A czym jest śmierć, jeśli nie brakiem życia? Nigdy nie będzie niczym więcej.

Śmierć jest niczym. Czy jest się czym przejmować? W takim razie, jak mówią hazardziści, »podnieśmy stawkę«. Pomówmy o losie gorszym od śmierci.

Kiedy pastor Jim Jones zauważył, że jego zwolenników w Gujanie czeka los gorszy od śmierci, zaserwował im oranżadę z proszku zaprawioną cyjankiem. Kiedy nasz rząd uzna, że czeka nas los gorszy od śmierci, sypnie na naszych wrogów bombami wodorowymi, a oni za to sypną takimi samymi na nas. Kiedy nadejdzie na to czas, dla każdego, że tak powiem, starczy oranżadki.

Kiedy nadejdzie?

Nie będę was nudził najbardziej oczywistymi przykładami losu gorszego od śmierci, bo jest on w nich tylko trochę od niej gorszy. Przypuśćmy, że podbił nas wróg, który nie ma pojęcia o naszym wspaniałym systemie ekonomicznym, w wyniku czego plajtują linie lotnicze Braniff, International Harvester\* i tak dalej, a miliony pragnących pracować Amerykanów nie mogą nigdzie znaleźć pracy. Albo przypuśćmy, że podbił nas wróg, który jest zbyt sknerowaty, żeby zapewnić dobrą opiekę naszym dzieciom i ludziom starszym. Albo że podbił nas wróg, który wszystkie pieniądze chce wydawać na broń do użycia w trzeciej wojnie światowej. Z tymi wszystkimi plagami jakoś pewnie i tak dałoby się żyć - choć niech Bóg broni.

\* Chodzi o spektakularne bankructwa ostatnich lat w Ameryce.

Ale przypuśćmy, że beztrąsko pozbyliśmy się naszej broni jądrowej, naszej oranżadki, i zjawił się u nas wróg, żeby nas ukrzyżować. Ukrzyżowanie to najbardziej bolesna rzecz, jaką wynaleźli Rzymianie, żeby komuś zrobić krzywdę, a na robieniu krzywdy znali się tak dobrze, jak my na ludobójstwie. Tak właśnie postąpili z niedobitkami armii Spartakusa, składającej się głównie ze zbiegłych niewolników. Wszystkich ich ukrzyżowali; krzyże ciągnęły się wzdłuż drogi przez dobrych kilka kilometrów.

Przypuśćmy więc, że wisimy na krzyżach, przybici do nich gwoździami przez dłonie i stopy. Czy wtedy nie żałowalibyśmy, że nie mamy pod ręką bomb wodorowych, żeby skończyć z życiem wszędzie i raz na zawsze? Pewnie, że tak.

Wszyscy znamy doskonale jedną osobę, ukrzyżowaną w dawnych czasach, która prawdopodobnie posiadała podobne możliwości zniszczenia życia na całej Ziemi jak my czy Rosjanie. On jednak wolał cierpieć. On powiedział tylko: »Ojcze, przebac im, bo nie wiedzą, co czynią«.



I mimo że tak cierpiał, pozwolił, żeby życie trwało dalej - czego najlepszym dowodem jest, że tu się spotykamy.

Ale On był przypadkiem wyjątkowym. Nie jest fair używać Jezusa Chrystusa jako miary tego, ile wycierpieć powinni zwykli ludzie, nim zdecydują się skończyć z tym wszystkim.

Nie wierzę, żeby ktoś rzeczywiście chciał nas ukrzyżować. Żaden z naszych potencjalnych wrogów nie nastarczyłby tylu cieśli. O krzyżach nie wspominają nawet spece z Pentagonu przy debacie budżetowej. I w ogóle przepraszam, że teraz podsunąłem im ten pomysł. Za rok będę mógł mieć pretensje tylko do siebie, gdy Szefowie Sztabów zaczną zeznawać pod przysięgą, że za chwilę możemy zostać ukrzyżowani. Ale jeśli powiedzą, że jeżeli nie przeznaczymy dość pieniędzy na nasze arsenały, zostaniemy wszyscy niewolnikami? To już bardziej prawdopodobne. Mimo powszechnej opinii o fatalnej jakości naszych wyrobów, taki czy inny wróg mógłby świetnie się bawić tym, że zmusił nas do służenia mu zamiast urządzeń gospodarstwa domowego, maszyn rolniczych czy nadmuchiwanych zabawek erotycznych. A niewolnictwo to rzeczywiście los gorszy od śmierci, co do tego jestem pewny, że się zgadzamy. Powinniśmy zaraz napisać do Pentagonu: »Jeśli Amerykanom grozi niewolnictwo, to czas na oranżadkę«. Już oni będą wiedzieli, o co chodzi.

Oczywiście, gdy przyjdzie czas na oranżadkę, na Ziemi zginą wszystkie wyższe formy życia, nie tylko my i nasi wrogowie. Zginą nawet te piękne, nieustraszone i kompletnie głupie głuptaki błękitnonogie z wysp Galapagos, tylko dlatego, że nam nie podoba się pójść w niewolę.

Nawiasem mówiąc, widziałem te ptaki, i to z bliska. Gdybym tylko chciał, mógłbym każdemu po kolei ukrećić łeb. Dwa miesiące temu pojechałem z wycieczką na Galapagos. Był z nami między innymi Paul Moore junior, wasz biskup.

W takim to towarzystwie ostatnio się obracam: od biskupów po głuptaki. Nigdy nie widziałem prawdziwego niewolnika, za to widzieli ich moi czterej pradziadkowie. Kiedy przyjechali tu, pchani pragnieniem dobrobytu i sprawiedliwości, w Ameryce były miliony niewolników. Równanie, określające związek między zbrojeniem się po zęby a niechęcią do niewolnictwa, pochodzi z tej dziarskiej pieśni wojennej, którą ostatnio tak często słyhać: Panuj, Brytanio. Pozwolę sobie wyśpiewać ten wzór: Panuj, Brytanio, panuj nad falami...

Jest to oczywiście wyrażony w poetyckiej formie postulat budowy floty wojennej, której żadna inna się nie oprze. Teraz odśpiewam drugi wers, wyjaśniający, po co ta flota:

Brytyjczycy nie będą niewolnikami\*.

Może zdziwi niektórych z was, jak stare jest to równanie. Szkocki poeta, który je zapisał, James Thomson, zmarł w roku 1748 - ćwierć wieku przedtem, zanim pojawiło się na ziemi państwo o nazwie Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.

Thomson obiecywał Brytyjczykom, że nigdy nie staną się niewolnikami w czasach, gdy branie w niewolę osób gorzej uzbrojonych było zajęciem całkiem szacownym. Mnóstwo ludów popadnie w niewolę, i dobrze im tak - ale nie Brytyjczycy.

A więc w sumie niezbyt ładna to pieśń. Mówi

o tym, żeby nie dać się upokorzyć - w porządku. Ale mówi też o upokarzaniu innych, a to już niemoralne. Upokorzenie innych nigdy nie powinno być celem danego narodu.

Poeta Thomson powinien się wstydić.

Gdyby Związek Radziecki zjawił się u nas i zrobił z nas niewolników, nie byłby to pierwszy przypadek, że Amerykanie są niewolnikami. Gdybyśmy to my podbili Rosjan i zrobili z nich niewolników, nie byłby to pierwszy przypadek, że Rosjanie są niewolnikami.

Ostatnim razem, gdy Amerykanie byli niewolnikami i ostatnim razem, gdy Rosjanie byli niewolnikami, oba narody wykazywały zadziwiający hart ducha i zaradność. Kochali się, ufali Bogu; sens życia odnajdywali w najprostszycy i najbardziej naturalnych radościach. Umiełi wierzyć, że kiedyś nadejdą lepsze czasy. I jeszcze - czy to nie fascynująca statystyka - samobójstwa popełniali znacznie rzadziej, niż ich panowie.

A więc Amerykanie i Rosjanie potrafią, jeśli trzeba, wytrzymać nawet niewolę - i chcieć, żeby życie toczyło się dalej.

\* To tłumaczenie Rule Britannia pojawiło się u nas w czasie drugiej wojny światowej.

A więc może niewola wcale nie jest losem gorszym od śmierci? W końcu człowiek wiele znieśie. Więc może jednak lepiej nie piszmy do Pentagonu o niewolnictwie i oranzadce.

Ale przypuśćmy, że na nasz brzeg wdarła się chmara wrogów, bo nie mieliśmy czym ich powstrzymać, i wypędzili nas z domów i ojczystej ziemi na bagna i pustynie. Przypuśćmy, że próbują zniszczyć naszą religię, mówiąc nam, że nasz Wielki Bóg Jehowa, czy jak go tam nazywamy, jest tyle wart, co sztuczna biżuteria.

I znowu: miliony Amerykanów już to brały - albo biorą dalej. A więc i tę katastrofę potrafi przeżyć Amerykanin, jeśli trzeba - i to zachowując przy tym zdumiewająco dużo godności.

Bo choć naszym Indianom żyje się źle, wołają takie życie od śmierci.

Coś mi chyba nie idzie wynajdywanie losów gorszych od śmierci. Na razie udało mi się tylko ukrzyżowanie, a to nam nie grozi. Nikt też nie chce zrobić z nas niewolników, czyli traktować nas tak, jak biali Amerykanie czarnych Amerykanów. I nie słyszałem o żadnym potencjalnym wrogu, który chciałby potraktować nas tak, jak my wciąż jeszcze traktujemy Indian amerykańskich.

Jaki jeszcze los może być gorszy od śmierci? Życie bez ropy naftowej?

W melodramatach sprzed wieku losem gorszym od śmierci nazywano utratę przez kobietę dziewictwa, gdy nie nastąpiła ona w ramach świętych węzłów małżeńskich. Mam nadzieję, że nie o to chodzi Pentagonowi i Kremlowi - chociaż z nimi nigdy nic nie wiadomo.

Ja sam wołałbym umierać za dziewictwo niż za ropę, to jakoś tak bardziej po literacku.

Być może zaślepią mnie rasistowski aspekt rzucania bombami wodorowymi, których zadaniem jest wykończyć wszystkich i wszystko. Być może są takie nieszczęścia, których tolerowania nie należy domagać się od b i a ł y c h. Ale niewolnicy Rosjan są biali. Ci podobno niezniewałalni Brytyjczycy sami zostali kiedyś zniewoleni przez Rzymian. Nawet dumni Brytyjczycy, gdyby ich teraz zniewolić, mieliby prawo powiedzieć: »To już braliśmy«. I w czasach starożytnych, i nowożytnych, okropnie traktowano Ormian i Żydów - a mimo to chciało im się żyć. Po naszej wojnie domowej okradziono, zrujnowano i zmieszano z błotem mniej więcej jedną trzecią naszych białych. A im też chciało się dalej żyć. Czy jest na świecie jakaś wielka grupa istnień ludzkich która, mimo wszystko, nie robiła wszystkiego, by życie toczyło się dalej?

Żołnierze.

Dewizą wielu formacji militarnych podczas wojny domowej - i to po obu stronach - było: »Lepsza śmierć niż hańba«. Może nawet tak brzmi dewiza obecnej 82 dywizji desantowej. Taka maksyma miała jeszcze może jakiś sens, gdy śmierć na polu walki była czymś, co przytrafia się sąsiadowi z szeregu - temu z lewej, z prawej, z przodu czy z tyłu. Ale w naszych czasach śmierć na polu walki może łatwo oznaczać śmierć wszystkiego, co żyje, w tym również, jak już powiedziałem, głupeków błękitnonogich z wysp Galapagos.

A swoją drogą błoniaste nogi tych ptaków rzeczywiście są jaskrawobłękitne. Kiedy zaczynają

taniec godowy, pokazują sobie nawzajem, jakie mają śliczne, błękitne nogi.

Gdy człowiek jest na Galapagos i widzi te wszystkie dziwne stwory, myśli o tym samym, o czym myślał tam Darwin: że Natura ma czas, że może tworzyć wszystko, co zechce. Jeżeli spustoszymy tę planetę, Natura zacznie życie od nowa. Wystarczy kilka milionów lat, a to dla niej jak mrugnięcie oka. Czasu może braknąć tylko ludziom.

Przypuszczam, że nie zdecydujemy się na rozbrojenie, choć to nasza jedyna szansa, i że w końcu rzeczywiście wszystko rozwalimy. Historia uczy, że ludzie są źli i zdolni do najgorszych zbrodni, nawet do budowania fabryk, których jedynym celem jest zabijanie ludzi, a potem palenie ich zwłok.

Być może po to znaleźliśmy się na Ziemi, żeby rozwalić ją na najdrobniejsze kawałki. Może właśnie w ten sposób Natura tworzy nowe galaktyki. Tak już nas zaprogramowano, że musimy bez przerwy ulepszać naszą broń i wierzyć, że śmierć jest lepsza niż hańba.

Aż wreszcie, pewnego pięknego dnia, kiedy na całej Ziemi trwać będą manifestacje przeciwko zbrojeniom, dup! I narodzi się nowa Droga Mleczna. Może powinniśmy czcić nasze bomby wodorowe.

To przecież jaja, z których wyklują się nowe galaktyki.

Co nas może uratować? Na pewno cud boski - więc proście, bo może będzie wam dany. Moglibyśmy modlić się o uchronienie nas przed własną pomysłowością, podobnie jak dinozaury powinny były modlić się o uchronienie przed własną masywnością.

Ale ta sama pomysłowość, której tak się obawiamy, może dać nam, oprócz rakiet i głowic, możliwość osiągnięcia czegoś, co dawniej było nieosiągalne: jedności wszystkich ludzi. Chodzi mi głównie o telewizory.

Jeszcze za moich czasów młody żołnierz musiał najpierw zaznać wojny, by się do niej rozczarować. Równie niedoinformowani byli jego rodzice w kraju; ci myśleli najczęściej, że synek pojechał zabijać potwory. Dziś jednak, dzięki nowoczesnym systemom łączności, mieszkańcom każdego uprzemysłowionego kraju, którzy skończyli dziesięć lat, robi się niedobrze na samą myśl o wojnie. Pierwsze pokolenie telewidzów poszło na wojnę, wróciło - i takich weteranów wojennych jeszcześmy nie oglądali. Co sprawia, że weterani z Wietnamu są jacyś tacy dziwni, jakby »niezdrowo dojrzałi«? Otóż oni nigdy nie mieli żadnych złudzeń co do wojny. Byli pierwszymi żołnierzami w historii, którzy, obejrzawszy filmy o prawdziwych i zainscenizowanych bitwach, wiedzieli już w dzieciństwie, że wojna jest bezsensowną rzezią zwykłych ludzi, takich jak oni.

Dawniej było tak, że weterani wracali do domu i szokowali rodziców stwierdzeniem, że wojna i wszystko co się z nią wiąże jest odrażające, głupie i nieludzkie - tak było na przykład z Ernestem Hemingwayem. Ale rodzice naszych weteranów z Wietnamu też nie mieli już żadnych złudzeń co do wojny, bo wielu doświadczyło jej na własnej skórze, zanim musieli oddać temu samemu losowi własne dzieci. Dzięki nowoczesnym systemom łączności wszyscy Amerykanie, i młodzi, i starzy, mieli serdecznie dość wojny jeszcze zanim znaleźli się w Wietnamie. Dzięki nowoczesnym systemom łączności biedni, nieszczęśliwi młodzi ludzie ze Związku Radzieckiego, którzy właśnie teraz zabijają i są zabijani w Afganistanie, mieli serdecznie dość wojny jeszcze zanim się tam znaleźli.

Dzięki nowoczesnym systemom łączności to samo można powiedzieć o biednych, nieszczęśliwych młodych ludziach z Argentyny i Wielkiej Brytanii, właśnie teraz zabijających i zabijanych na Falklandach. New York Post nazywa ich »Argentydami« i »Angolami«. My wiemy, dzięki nowoczesnym systemom łączności, że te przezwiska nie oddają w pełni, jacy wspaniali są ci, co je noszą, że nie jest to takie proste - i że to, co dzieje się tam, przy samej Antarktydzie, to coś znacznie straszniejszego i bardziej haniebnego niż byle mecz piłki nożnej.

W czasach mojego dzieciństwa Amerykanin, i zresztą przedstawiciel każdego innego państwa też,

zwykle bardzo mało wiedział o cudzoziemcach. Wiedziało się zazwyczaj sporo o kilku tylko kategoriach cudzoziemców, na przykład o Eskimosach, Arabach, i tak dalej. Dla nas, uczniów szkoły podstawowej z Indianapolis, wielkie połacie globu były po prostu białymi plamami. A teraz? Dzięki nowoczesnym systemom łączności znamy już obrazy i dźwięki z każdego prawie kilometra kwadratowego naszej planety. Miliony z nas odwiedziły więcej egzotycznych miejsc, niż najśłynniejsi podróżnicy z czasów mojego dzieciństwa. Wielu z was było w Timbuktu. Wielu z was w Katmandu. Mój dentysta dopiero co wrócił z wysp Fidzi. Wiele opowiadał o Fidzi. Gdyby tylko wyjął te swoje paluchy z moich ust, opowiedziałbym mu o Galapagos.

Wiemy już więc na p e w n o, że na całym świecie nie ma żadnych wrogów człowieka, którzy nie byłiby ludźmi, takimi samymi jak my. Oni też muszą jeść. Zadziwiające. Oni też kochają swoje dzieci. Zadziwiające. Oni też słuchają swych przywódców. Zadziwiające. Oni też myślą o tym, co sobie pomyślą sąsiedzi. Zadziwiające.

Dzięki nowoczesnym systemom łączności mamy teraz coś, czego nie mieliśmy nigdy przedtem: powód, by opłakiwać śmierć lub rany wszystkich ludzi, niezależnie od tego, po której stronie walczą. To przez fatalną łączność i złośliwą, rasistowską głupotę mogliśmy trzydzieści siedem lat temu cieszyć się, że zginęli prawie wszyscy mieszkańcy Hiroszimy. Myśleliśmy wtedy, że to plugawe robactwo. Oni myśleli wtedy, że my jesteśmy plugawym robactwem. Klaskaliby z radością w te swoje małe, żółte rączki i uśmiechaliby się tymi krzywymi, wystającymi ząbkami, gdyby to im udało się spopielić kogoś, dajmy na to, w Kansas City.

Dzięki temu, ile ludzie na świecie wiedzą dziś o innych ludziach na świecie, radość z zabijania wrogów straciła cały swój czar. Straciła swój czar tak bardzo, że każdy o zdrowych zmysłach obywatel Związku Radzieckiego, gdyby to z tym społeczeństwem przyszło nam toczyć wojnę, czułby tylko przerażenie, gdyby jego kraj pozabijał prawie wszystkich mieszkańców Nowego Jorku, Chicago czy San Francisco. Zabijanie wrogów straciło swój czar tak bardzo, że każdy o zdrowych zmysłach obywatel Stanów Zjednoczonych czułby tylko przerażenie, gdyby jego kraj pozabijał prawie wszystkich mieszkańców Moskwy, Leningradu czy Kijowa.

Czy Nagasaki, jeśli już o to chodzi.

Często słyszymy, że ludzie muszą się zmienić, bo inaczej dalej będziemy mieli wojny światowe. Dzisiaj zwiastuję wam dobrą nowinę: ludzie już się zmienili. Nie jesteśmy ani tak głupi, ani tak krwiożerczy, jak dawniej.

Wczoraj śniłem o naszych potomkach za tysiąc lat, czyli o całej ludzkości. Jeżeli ktoś traktuje rozmnażanie naprawdę serio, tak jak to czynił Karol Wielki, to przez tysiąc lat może zgromadzić niezły tłum krewnych. Wszyscy z obecnych w tej katedrze, którzy mają w żyłach choćby kroplę białej krwi, pochodzą od Karola Wielkiego.

Za tysiąc lat, jeżeli będą jeszcze wtedy na Ziemi istoty ludzkie, każda z nich będzie pochodzić od każdego z nas tu obecnych - i w ogóle każdego, kto zdecyduje się rozmnażać.

W moim śnie naszych potomków jest wielu: jedni bogaci, drudzy biedni, jedni sympatyczni, drudzy nieznośni.

Pytam ich, jak to się stało, że ludzkość mimo wszystko przeżyła to następne tysiąclecie. Oni na to, że wraz ze swymi przodkami dokonali tego, przy każdej sposobności obierając życie, a nie śmierć, dla siebie i dla innych, nawet za cenę hańby. Znosili najróżniejsze obelgi, upokorzenia i rozczarowania, nie plamiąc się ani samobójstwem, ani morderstwem. Chcąc im się przypodobać, proponuję im sentencję, którą mogliby umieścić na klamrach pasków, na koszulkach i na czym tam jeszcze. Aha, i wcale nie wszyscy z nich to hippisi. Ani nawet nie Amerykanie. Ani nawet nie biali.

Proponuję im cytat z wielkiego, dziewiętnastowiecznego moralisty i aferzysty, Jima Fiska, który

pewnie złożył niejeden datek na tę katedrę.

Jim Fisk wygłosił te słynne słowa po szczególnie niechlubnym incydencie związanym z budową kolei Erie Railroad. Sam Fisk musiał uważać się za niezłego szuję. Pomyślał, wzruszył ramionami i powiedział to, co musi nauczyć się mówić każdy, jeśli chce trochę pożyć: »Nic nie straciłem. Tylko honor«. Dziękuję za uwagę”.

W taki to sposób skorzystałem z ambony i aparatury nagłaśniającej katedry Św. Jana Bożego (największego kościoła w stylu gotyckim na świecie). Zaproszono tam kilka osób słynących z zaangażowania przeciwko zbrojeniom jądrowym, by nauczały przez kilka kolejnych niedziel wiosną 1983 roku. Byłem jedną z nich, i chyba kompletnie mi odbiło, gdy z powagą wchodziłem po schodkach ambony.

Czemu ja to powiedziałem? Jak mogłem być takim cholernym optymistą? Zachowałem się jak byle polityk, który mówi to, co, jak mu się wydaje, spodoba się konkretnej grupie słuchaczy, czy będą to Amerykanie pochodzenia litewskiego, robotnicy zakładów skórzanych, Córy Rewolucji Amerykańskiej\*, czy kto tam jeszcze. Moją wybitnie wyspecjalizowaną publicznością było zgromadzenie wściekłych pacyfis-

\* Ultraprawicowa organizacja kobieca; kandydatka na członkinię musi udowodnić, że pochodzi od bojowników o niepodległość USA. tów, egzystujących na marginesie bajecznie bogatego społeczeństwa, którego najbardziej fascynujące plany i zabawy związane są z wojną, wojną, i jeszcze raz wojną.

Trzy czwarte mojego przemówienia było zresztą całkiem prawdziwe. Bomba padła dopiero pod koniec: że telewizja łagodzi obyczaje. Gdybym to ja był wśród wiernych, po usłyszeniu czegoś takiego z ambony wyszedłbym z katedry trzaskając drzwiami. Telewizja amerykańska, operująca na Wolnym Rynku Idei (który, jak stwierdzam gdzie indziej, jest rzeczą pożyteczną) utrzymuje stałe notowania odbioru dzięki symulacjom jednej z dwóch rzeczy, od której oglądania nie potrafi powstrzymać się większość istot ludzkich, szczególnie tych młodych: mordowania. Telewizja, no i kino też, oczywiście, sprawiły i nadal sprawiają, że stajemy się zatwardziali na śmierć i cierpienie ludzkie, zupełnie jak Niemcy, gdy propaganda hitlerowska odegrała swe preludium do obozów śmierci i drugiej wojny światowej.

Nam nie trzeba już wcale Josepha Goebbelsa, by myśleć, że zabić kogoś to tak jak zawiązać sznurowadło. Wystarczy nie dotowany przemysł rozrywkowo-

-telewizyjny, który nie zarobi na sobie, jeżeli nie przyciągnie wielkiej, bardzo wielkiej publiczności. Powinienem był wtedy powiedzieć z ambony, że to nieprawda, że pójdziemy do piekła, bo już jesteśmy w piekle, a to dzięki technice, która rządzi nami, zamiast na odwrót. Nie chodzi tu zresztą tylko o telewizję, ale o broń, która może zabić prawie każdego na drugim końcu świata. I o pojazdy, napędzane obrzydliwą, podziemną mazią, dzięki którym tłusta, stara baba może robić dwa kilometry na minutę, równocześnie dłubiąc w nosie i słuchając radia. I tak dalej. (Powinienem był zapytać, jakimż to uduchowionym szczegółem napędzany tą mazią samochód czy harleydavidson różni się od podgrzewanej na brudnej łyżeczce kokainy? I czy jest coś takiego, czego nie zrobilibyśmy, żeby tylko dobrać się do naszej ukochanej mazi? I czy wszyscy dostaniemy fioła, kiedy maź się skończy?)

Mówiąc o tym, jak technika znieczuliła nas na wojnę, powinienem był zwrócić uwagę na

przemianowanie dnia moich urodzin, 11. listopada, z dnia zakończenia wojny w Dzień Weterana. Kiedy byłem małym chłopcem, w jedenastej minucie jedenastej godziny jedenastego dnia jedenastego miesiąca w Indianapolis zamierała wszelka działalność (no, może poza kopulacją), bo w tej właśnie minucie w roku 1918 skończyła się pierwsza wojna światowa. (Zegar ruszył znowu w 1939, gdy Niemcy napadli na Polskę, a może już w 1931, gdy Japończycy zajęli Mandżurię. Co za bajzel!) W rocznicę zakończenia wojny opowiadano dzieciom, jaka okazała się straszna, haniebna i smutna, bo tak było naprawdę. Tak powinniśmy obchodzić rocznicę każdej wojny: przemalować się na czarno, tarzać się w błocie i chrząkać jak świny. Ale w roku 1945 zrobiono z tego święta Dzień Weterana, i gdy doszliśmy do chwili, w której przemawiałem u Św. Jana, postanie 11. listopada było już następujące: że zdarzy się jeszcze mnóstwo wojen, że tym razem (jak zawsze!) jesteśmy silni, zvarci, gotowi, i że nie tylko chłopcy, ale i dziewczynki chcą, jak dorosną, zostać weteranami (nie daj się ubiec!).

Wtedy jeszcze nie mieliśmy na koncie ponad tysiąca Panamczyków, zabitych podczas porwania ich głowy państwa (agenta na żołdzie CIA), podejrzanego o przemyt narkotyków, bo na pewno bym o tym powiedział. I przypomniałbym moim rówieśnikom, co w roku 1898, podczas wojny hiszpańsko-amerykańskiej, powiedział swym marynarzom kapitan J.W. Philip na pokładzie okrętu Texas w zatoce Santiago. (Kiedyś uczniowie amerykańskich szkół państwowych znali te słowa na pamięć. Założę się, że już ich tego nikt nie uczy). Ogień z Texas zapalił hiszpański krążownik Vizcaya od dziobu po rufę. A kapitan Philips powiedział: „Nie cieszcie się, chłopcy, ci biedacy tam giną”. Wojna w tamtych czasach, choć może konieczna i na pewno ekscytująca, była również tragedią. Nadal jest tragedią, i będzie nią zawsze. Ale gdy tłukliśmy Panamczyków, aż miło, wszystkie odgłosy, dochodzące z górnych poziomów naszej władzy, były wariacjami na temat „Hip, hip” i „Hura!”

(Właśnie; a gdy robiłem ostatnią korektę tej książki, napisanej latem 1990 roku, a opowiadającej w zasadzie o latach osiemdziesiątych, odnieśliśmy to wspaniałe zwycięstwo nad Irakiem. Powtórzę tylko, co oznajmiła jedna pani podczas kolacji w jakiś tydzień po tym, gdy już przestaliśmy strzelać, bombardować i raketować: „Mamy teraz w Stanach taką atmosferę, jak na wielkim przyjęciu w bardzo eleganckim domu. Wszyscy są ugrzecznieni i radośni, ale skądś dochodzi jakiś straszny smród; śmierdzi coraz bardziej, a nikt nie chce być pierwszym, który o tym powie”).

Oczywiście Ronald Reagan zna wojnę tylko z filmu. Tam wszyscy walczą zawsze bardzo chętnie. Rany nie są paskudne, ranni - nie skamlą, nikt nie umiera bezcelowo. Z kolei George Bush to bohater wojenny pierwszej wody, co do tego nie ma dwóch zdań. Ale Bush był podczas wojny lotnikiem, więc traktował ją pewnie jak sport, cholernie przerażający, ale jednak sport. Lotnicy prawie nigdy nie musieli patrzeć w twarze (jeśli jeszcze jakieś istniały) ludzi, których zabili czy zranili. Weterani wojsk lądowych mają często koszmarne sny o ludziach, których zabili. Ja, na moje szczęście, nie zabiłem nikogo. Wyobraźcie sobie, jak wstydziłby się bombardier czy pilot myśliwca, gdyby musiał wyznać to samo: że nie zabił nikogo.

No i jeszcze to, że George Bush był pierwszym prezydentem za mojego życia, który został wybrany po otwarciu rasistowskiej kampanii wyborczej, przy użyciu straszaka w postaci czarnego psychopaty. Gdyby użył do tego Ormianina, Polaka czy Żyda, byłby równie odrażający jak hitlerowiec, Heinrich Himmler, najpierw hodowca kur, potem szef wszystkich obozów śmierci. Ale Bush poznał Stany Zjednoczone lepiej, niż ja kiedykolwiek ośmieliłem się je poznać, nastraszył nas Murzynem i wygrał,

i wygrał. Ale do diabła z tym. Bla bla bla. W roku 1935 Sinclair Lewis wydał całkowicie fikcyjne dziełko o tym, jak w Ameryce zwycięża faszyzm, pod tytułem Tu to się zdarzyć nie może. Ja też tak uważam. Tu to się nie zdarzy - jeśli oczywiście nie trafi się nam drugi Wielki Kryzys.

Jeszcze przed moim kazaniem zaprzyjaźniłem się z biskupem katedry Św. Jana, Paulem Moorem juniorem. Jill zna go z dzieciństwa z Morristown w stanie New Jersey. To z nim, jego żoną i z Jill pojechaliśmy razem na Galapagos. Jednej nocy, gdy byliśmy na samym równiku, poprosiłem go, żeby pokazał mi konstelację, której nigdy jeszcze nie widziałem: Krzyż Południa. Wiedziałem, że on ją widział, bo walczył w piechocie morskiej na południe od równika, na Guadalcanal. (Tam zyskał wiarę. Ja, gdybym miał wiarę, to bym ją tam stracił). Krzyż Południa okazał się małą plamką, z naszego punktu widzenia nie większą od główki pinezki.

— Bardzo mi przykro - powiedział biskup.

— To nie twoja wina - odpowiedziałem.

Przez długi czas mieszkał i nauczał w Indianapolis, więc zna kilku z moich krewnych, którzy osunęli się z powrotem w chrześcijaństwo. To bardzo dobry człowiek, zawsze stojący po stronie ludzi bezsilnych, gdy ponizają ich, dręczą lub oszukują moiżni tego świata (większość z nich to prenumeratorzy The Wall Street Journal}. Jedna kobieta w ciąży zapytała mnie kiedyś, czy uważam, że to źle wydawać dziecko na tak okropny świat. Odpowiedziałem, że prawie chce mi się żyć, gdy widzę wokół siebie tylu świętych, a jako przykład podałem biskupa Moore'a.

## XVI

Moja pierwsza żona, Jane Marie, de domo Cox, którą poznałem w przedszkolu, przyszła na świat w rodzinie kwakerskiej, a zmarła (jako Mrs Adam Yarmolinski) jako członkini Kościoła episkopalnego. Jej ojciec i brat, również kwakrzy, służyli w piechocie morskiej. Podobno ta wojskowa odmiana kwaków (której słynnym przykładem jest Richard M. Nixon) pojawiła się, gdy rodziny kwakerskie wędrowały na zachód w towarzystwie ludzi innych wyznań. Ich dzieci były zachwycone barwnymi niczym karnawał nabożeństwami, tak bardzo różniącymi się od tego, do czego były przyzwyczajone, z muzyką, pasjonującymi kazaniami i opowiadaniem o fantastycznych bitwach między Bogiem a Szatanem. Starsi zborów kwakerskich, chcąc zatrzymać dzieci przy wierze ojców, też musieli zająć się podobnym showbusinessem, i zaczęli mówić i myśleć tak, jak bardziej od nich barwna większość. (Efekt: Richard M. Nixon; mój pierwszy teść; mój pierwszy szwagier).

Mój pierwszy szwagier przeżył załamanie nerwowe podczas szkolenia w piechocie morskiej, ale nie wierzę, żeby miało to jakiś związek z tym, że był kwakrem, a już na pewno nie takim kwakrem, jak on. Doskonale jeździł na łyżwach; po studiach na uniwersytecie Indiana zaproponowano mu występy w rewii na lodzie. Ale jego ojciec - kwakier sprzeciwił się temu stanowczo, więc ten zaciągnął się do Marines, gdzie, jak już powiedziałem, odbiła mu szajba. Tak czy inaczej teraz jest zdrowy. (Wszystko dobre, co się dobrze kończy).

Moja kochana Jane poszła do Swarthmore, kwakerskiego college'u pod Filadelfią, i umiłowała wciąż tam praktykowany, surowy kwakieryzm, pozbawiony muzyki, wykalkulowanej pasji i kazań. Uczestnicy Spotkań, odbywających się w salach o całkowicie nagich ścianach, mówili o tym i owym, jak im się podobało, bez żadnych ustaleń, kto będzie mówił i o czym. Czasem, opowiadała, nie odzywał się nikt (tak było na przykład po Pearl Harbor). Ale i wtedy było pięknie, może nawet najbardziej wzruszająco. Tak przynajmniej twierdziła Jane.

Ale po naszym ślubie Jane nigdy już nie poszła na Spotkanie kwakerskie, choć zawsze po przeniesieniu się w nowe otoczenie sprawdzała najpierw, gdzie w okolicy się odbywają. Nie chodziła na Spotkania, bo, jak sądzę, kongregacje kwakerskie na Wschodzie (a my przenieśliśmy się na Wschód) za bardzo przypominały społeczności ludowe, opisane przez Roberta Redfielda - połączone więzami krwi i zamieszkujące tereny znajdujące się w ich posiadaniu od wielu pokoleń. Ale najtrudniejsze dla Jane oraz innych potencjalnych członków było to, że tamtejsi kwakrzy nie lubili obcych, których tolerowali tylko wtedy, gdy ci umieli się zachować odpowiednio do ich oczekiwań i co najważniejsze, wkrótce grzecznie się pożegnać. (Zupełnie jak izraelska młodzież wychowywana w kibucu, co opisuje Bruno Bettelheim w *Children of the Dream*\*).

\* „Dzieci marzenia”.

(Ja sam spotkałem się z tak mroźnym przyjęciem, gdy zaproszono mnie do wygłoszenia mowy w kościele unitariańskim na Harvard Square w Cambridge w stanie Massachusetts. Od razu było wiadomo, że nie należę do klanu, i że nie umiem powiedzieć tej profesorskiej bandzie niczego, czego nie przyjęli lub nie odrzucili już wiele lat temu. Zupełnie jak w kibucu).

Wczesnym objawem silnej tęsknoty Jane za wielką, jednomyślną rodziną stała się przepowiednia, którą uporczywie powtarzała chyba odkąd skończyła dziesięć lat, że będzie miała siedmioro dzieci. I tak się też stało. Najpierw mieliśmy troje własnych; wydawało nam się, że na tym koniec, ale potem umarła moja siostra i szwagier, więc adoptowaliśmy też ich troje dzieci.

(Jak to nigdy nie wiemy, kiedy sprawdzi się jakaś skomplikowana i szczegółowa przepowiednia. Przecież przewidziano nawet zatonięcie Titanica, wszystko opisał jakiś autor, i to jeszcze zanim statek zwodowano).

Jane nie przepadała za rodziną, z której się wywodziła (głównie dlatego, że jej matka od czasu do



czasu dostawała obłądu), ale naprawdę uwielbiała swoje dzieci - a one ją. (Już po rozpadzie naszego małżeństwa, kiedy, że się tak wyrażę, przez moje ubranie przeżerało się mnóstwo kwasu fluorowodorowego, na jakimś przyjęciu zwierzyłem się znajomemu psychiatrze, że na następną towarzyszkę życia, jeśli w ogóle będzie ktoś taki, wybiorę kobietę, która bardzo kocha swoją matkę. Psychiatra orzekł, że w życiu jeszcze nie słyszał z ust ani mężczyzny, ani kobiety, równie głupiej i samobójczej uwagi. „A nie lepiej próbować przepłynąć Niagarę w beczce?” - zapytał jeszcze).

Kiedy te ukochane przez Jane dzieci dorosły i po kolei wyfrunęły z gniazda, ogarnęła ją znów straszliwa tęsknota, której ja (tylko jedna osoba, i do tego paląca papierosa za papierosem) w żaden sposób nie potrafiłem zaspokoić.

No i w kompletnym, jak mi się zdawało, amoku rzuciła się w Medytacje Transcendentalne (MT). Jeden z rówieśników naszych dorosłych dzieci, Jody Clarke, pracował dla Mahariszi Mahesz Jogiego jako instruktor zajęć MT. Miał za sobą tysiące godzin medytacji (potem zginął w katastrofie samolotowej, gdy latał nad Północną Karoliną poszukując odpowiedniego miejsca na aszram MT). Jody nie posiadał się ze zdziwienia, gdy Jane opowiedziała mu o tych wszystkich cudach, które widziała podczas swych medytacji. Zdumiał się: „Rany boskie, ja nigdy czegoś takiego nie widziałem!”

Niemal dla wszystkich ludzi poza Jane MT to bezbarwny, jasno oświetlony, klimatyzowany, niezwykle czujny spokój. Dla niej było to jak kino. Podobnie działała na nią Komunia Święta, kiedy zaczęła chodzić do kościoła episkopalnego. (Wątpię, czy papieżowi, biskupowi Paulowi Moore'owi juniorowi albo tej herodbabie, która nie zgodziła się, żeby mój ślub z Jill odbył się w Kościółku Za Rogiem, udawało się zbliżyć do Chrystusa bardziej niż Jane po opłatku z winem). Podobnie jak jej matka i jej syn Mark, zanim całkiem się nie wyleczył, miewała halucynacje. (Ale w przeciwieństwie do Marka i mnie nigdy nie trzeba jej było nigdzie zamknąć). Dzięki MT i episkopalizmowi jej wizje stały się nie tylko piękne i niestraszne, lecz również święte i sympatyczne. (Takich jak ona muszą istnieć wśród nas nieprzeliczone miliony - siedzą wniebowzięci w kościołach i salach koncertowych, albo i na ławkach w parku w słoneczne dni - gdzieś niedaleko gra karuzela...) Mój świętej pamięci kumpel z wojska, O'Hare, urodził się w rzymskokatolickiej rodzinie w Pensylwanii, ale wrócił z wojny jako sceptyk. Biskup Moore poszedł na wojnę jako sceptyk, a wrócił z niej jako głęboko wierzący trynitarianin. Opowiedział mi, że miał widzenie podczas walk o Guadalcanal. Widzenie zaprowadziło go do posługi ubogim (choć sam pochodzi z bogatej rodziny, otrzymał staranne, anglosaskie wykształcenie, miał kosztowne gusta i bogatych przyjaciół) w parafiach, skąd bogatsi uciekli na przedmieścia, i do niepochlebnych sądów o darwinistach społecznych (neokonserwatystach, FBI, CIA, republikanach z zaleganiem afektu i bez poczucia humoru, i tak dalej).

Mnie samego wojna nie zmieniła ani trochę - poza tym, że pozwoliła mi rozmawiać jak równy z równym z weteranami każdej armii i każdej wojny. (Co daje mi zresztą przelotne uczucie, że należę do redfieldowskiej społeczności ludowej). Podczas dyskusji po moim odczycie w Narodowym Muzeum Lotnictwa i Astronautyki zapytano mnie, jaki wpływ na moją osobowość miał fakt, że zostałem kiedyś zbombardowany strategicznie. Odpowiedziałem, że wojna była dla mnie wspaniałą przygodą, której za nic nie chciałbym stracić, a największy wpływ na moją osobowość wywarły prawdopodobnie psy z sąsiedztwa w czasach mojego , dzieciństwa. (Niektóre były miłe, niektóre wredne. Niektóre wyglądały miło, a były wredne. Niektóre wyglądały wrednie, a były miłe). Szczera prawda. W moim drugim małżeństwie również trafiłem na wyznawczynię episkopalizmu; i ona, podobnie jak pierwsza, uważa, że jestem bezbożnikiem, a co za tym idzie również kaleką duchowym. Kiedy biskup Nowego Jorku chrzczył Lily, naszą córeczkę, w największym kościele gotyckim na

świecie (w tak biednej parafii, że biskupa nie stać nawet na telewizję kablową), zostałem w domu. (Doskonały powód, by z miejsca mnie znienawidzić, ale wydaje mi się, że głównie chodziło o papierosy. O'Hare'a pochowano z paczką papierosów i pudełkiem zapalek w kieszeni. Nie sądzę, by Jill zrobiła to samo dla mnie, ale nigdy nic nie wiadomo. Nikogo nie należy sądzić przedwcześnie). Więc żeby nie wydać się duchowym paralitykiem nieznanym, którzy chcą mnie jakoś zaszufladkować, mówię czasem, że jestem unitariańskim uniwersalistą (przynajmniej oddycham), i teraz ta właśnie grupa uznaje mnie za swego. Uhonorowała mnie kiedyś prośbą o wygłoszenie wykładu w czerwcu 1986 roku na konferencji w Rochester w stanie Nowy Jork. Zacząłem tak (niemal identycznie jak podczas rozdania dyplomów w Rhode Island):

„W moim rodzinnym Indianapolis, gdzie osiedli moi przodkowie, wpięrow wolnomyśliciele, potem unitarianie - albo dość nieokreśleni z punktu widzenia etykietek wyznaniowych - żył kiedyś satyryk Kin Hubbard. Pisał głównie do gazet. Pewnego dnia poszedł na rozdanie dyplomów na uniwersytet Indiana, i po uroczystości skomentował mowę, której wysłuchał wspólnie z opuszczającymi studia absolwentami. Powiedział, że może byłoby lepiej, gdyby to, co najważniejsze, rozkładano równo na wszystkie cztery lata studiów, a nie zostawiano wszystkiego na sam koniec. Nie łudzę się nawet, że oszołomię was dzisiaj tym, co najważniejsze. Zdaję sobie sprawę, że i tak jesteście dobrze wykształceni, przepełnieni wiedzą i książkową, i pochodzącą z naszej słynnej, Amerykańskiej Szkoły, Gdzie Dają Po Łbie.

Ja sam dochodzę do tego, co najważniejsze, pod koniec życia. Mam lat sześćdziesiąt trzy, a dopiero dwa miesiące temu znalazłem cytaty z dzieł Friedricha Wilhelma Nietzschego, rówieśnika Marka Twaina, wyjaśniający stan ducha mój własny, moich przodków z Indiany, moich dzieci i chyba nawet Marka Twaina też. Nietzsche powiedział po prostu, i oczywiście po niemiecku, że tylko osoba głęboko wierząca może pozwolić sobie na luksus sceptycyzmu.

A więc mamy tu dziś w Rochester zebranie ludzi wierzących; wierzących w epoce, w której tak wielu Amerykanów nie widzi sensu ludzkiego losu, więc podporządkowują swą wolę i zdrowy rozsądek znachorom, oszustom i charyzmatycznym obłąkańcom. Żli kaznodzieje dają im wiarę za pieniądze albo za tę odrobinę wpływów politycznych, jaką mogą mieć w naszym pluralistycznym ustroju demokratycznym wystraszone dusze bez wiary.

Słucham etycznych sądów czołowych postaci tak zwanego renesansu religijnego, który ma miejsce w naszym kraju - w tym. również naszego prezydenta - i potrafię wyodrębnić z nich tylko dwa kategoryczne przykazania. Pierwsze to: »Przestań myśleć«, drugie: »Bądź posłuszny«. Ale takie dwa przykazania, »Przestań myśleć« i »Bądź posłuszny«, zaakceptuje tylko albo ktoś, kto przestał wierzyć, że siłą rozumu można życie na Ziemi uczynić lepszym, albo świeży rekrut zapędzany do musztry.

Podczas drugiej wojny światowej byłem szeregowcem w piechocie. Walczyłem w Europie przeciwko Niemcom. Na mojej blaszce zapisano nie tylko grupę krwi, ale i wyznanie. Armia określiła je jako »P«, czyli »protestanckie«. Na blaszce nie ma miejsca na przypisy czy bibliografię. Teraz, z perspektywy lat, widzę, że powinni napisać nie »P«, tylko »S«, czyli »saraceńskie«, skoro walczyliśmy z chrześcijanami, odbywającymi szczególną, opętańczą krucjatę. Mieli krzyże wszędzie; na flagach, na mundurach i na każdej części swoich maszyn do zabijania, zupełnie jak pierwszy cesarz chrześcijański, Konstantyn. Jak wiadomo, przegrali, co trzeba uznać za poważne niepowodzenie chrześcijaństwa.

Jak wam się wydaje, co sprawia, że chrześcijanie potrafią być tacy krwiożerczy?

Mam na ten temat własną teorię i zaraz ją wam przedstawię, a potem, gdy już nie będę musiał stać tu przed wami i mleć ozorem, chętnie wysłucham, co wy macie na ten temat do powiedzenia. Cały

problem ma charakter czysto językowy i może zostać rozwiązany w zadziwiająco prosty sposób, jeśli tylko zgodzą się na to kaznodzieje chrześcijańscy. Każą oni słuchaczom kochać się nawzajem, bliźniego swego i tak dalej. Ale miłość to naprawdę za silne słowo na określenie zwykłych, codziennych stosunków międzyludzkich; miłość to dobre dla Romea i Julii. Ja mam kochać bliźniego swego? Niby jak, skoro teraz nie odzywam się nawet do żony i dzieci? Żona powiedziała mi niedawno, po zażartej awanturze o wystrój domu: »Już cię nie kocham«. A ja na to:

»Masz jeszcze jakieś inne rewelacje?« Naprawdę mnie wtedy nie kochała, co całkowicie normalne. Myślę, mam nadzieję, że kiedyś znowu będzie mnie kochała. W każdym razie jest to możliwe.

Bo gdyby chciała zerwać nasze małżeństwo, doprowadzić je do punktu, z którego nie ma powrotu, musiałaby powiedzieć: »Już cię nie szanuję«. O, to byłby koniec.

Jedną z licznych a niepotrzebnych katastrof amerykańskich, która spada na nas obecnie wraz z renesansem religijnym i plutonem, jest to, że tyle ludzi rozwodzi się dlatego, że już się nie kochają. To zupełnie tak, jakby zmieniać samochód na nowy, bo ma już pełne popielniczki. Ale gdy partnera już się nie szanuje - o, tak, poszedł wał korbowy i pękł korpus silnika.

Chętnie powtarzam sobie, że Jezus tak naprawdę powiedział po aramejsku: »S z a n u j c i e się wzajemnie\*. Wtedy jest to dla mnie znak, że On naprawdę chciał nam pomóc nie tylko w życiu wiecznym, ale i doczesnym. Z drugiej strony skąd mógł wiedzieć, jak idiotycznie wysoko Hollywood podniesie poprzeczkę dla słowa »miłość«. W końcu jak wiele osób przypomina Paula Newmana i Meryl Streep?

I pomyślmy, jak szerokie spektrum uczuć wiąże się nam automatycznie z tym słowem. Jeśli nie da się kochać bliźniego swego, można go chociaż lubić. Jeśli nie da się go lubić, można się nim nie przejmować. Jeśli nie da się nim nie przejmować, to trzeba go nienawidzić, prawda? Wyczerpaliśmy wszystkie inne możliwości. Całkiem szybko dotarliśmy w tym łańcuszku do nienawiści, co? A wszystko zaczęło się od miłości, wszystko bardzo logicznie, podobnie jak logiczny jest łańcuch od »rozpalone do białości« do »zimne jak lód«; po drodze jest rozpalone do czerwoności, gorące, ciepłe, letnie, w temperaturze pokojowej, chłodne, zimne, mróz. Powtórzę jeszcze spektrum uczuć, wiążących się ze słowem kochać: kochać, lubić, nie przejmować się, nienawidzić. W ten właśnie sposób tłumaczę sobie, skąd tyle nienawiści w części świata zdominowanej przez chrześcijaństwo. Zaludniają ją istoty ludzkie, którym każe się kochać, kochać i jeszcze raz kochać. Większości z nich nie udaje się to. Nic dziwnego, bo kochać jest bardzo trudno. Równie przeważającej większości ludzi nie udałyby się skoki o tyczce czy akrobacje na trapezie. A kiedy dzień w dzień, rok w rok, nie udaje się im kochać, logika języka skłania ich do nieuniknionego wniosku, że w takim razie muszą nienawidzić. A stąd, oczywiście, już tylko krok do zabijania w źle pojętej obronie własnej. »Szanujcie się wzajemnie«. To natomiast jest jak najbardziej wykonalne dla każdego człowieka w miarę zdrowego na umyśle - i to dzień w dzień, rok w rok, ku zadowoleniu wszystkich zainteresowanych. Szanować nie sugeruje całego łańcucha możliwości, z których część może być bardzo niebezpieczna. Szanować to jak wyłącznik światła; jest albo włączony, albo wyłączony. Jeżeli przestajemy kogoś szanować, wcale nie mamy ochoty go zabić. Nasza reakcja jest bardziej powściągliwa. Po prostu chcemy, żeby się czuł jak śmieć. Porównajcie sobie życzenie, żeby ktoś czuł się jak śmieć, z Apokalipsą czy trzecią wojną światową. I na tym polega mój plan przemiany chrześcijaństwa, które na tyłu ludzi sprowadziło tak straszną śmierć. Mogłoby stać się czymś trochę mniej zabójczym, gdyby zamienić słowo kochać na słowo szanować. Jak już powiedziałem, brałem udział w bitwie przeciwko ludziom, którzy byli cali obwieszani krzyżami, i to wcale nie wydawało mi się zabawne. Nie żywię zbyt wielkiej nadziei, że ta prosta reforma zyska sobie jakiegokolwiek

poparcie za życia mojego czy nawet moich dzieci. Króciutka droga, jaką w chrześcijaństwie przebywa się od kochać do nienawidzić, jest naszym głównym źródłem rozrywki. Możemy ją nazwać: I Znowu Chrześcijaństwo Nie Działa; wielu z nas wychowano tak, byśmy widząc, że nie działa, czuli głęboką satysfakcję.

W Ameryce zjawisko to przybiera formę westernu. Do miasteczka przyjeżdża dobry, niewinny młodzieniec, pełen przyjacielskich uczuć dla otoczenia. To nic, że z każdego biodra zwisa mu załadowany colt kaliber 44. Nasz młodzieniec jest najdalszy od jakichkolwiek myśli o rozróbie. Ale oto przemiły człowiek staje twarzą w twarz z innym człowiekiem, a ten jest tak niemiły, że młodzieniec nie ma wyboru - musi go zabić. I Znowu Chrześcijaństwo Nie Działa. Mamy też odpowiednik z początków historii Anglii. Chodzi oczywiście o przygody chrześcijańskich rycerzy z arturiańskiego Kamelot. Wyjeżdżają na wieś pomagać słabym, co jest pięknym, chrześcijańskim uczynkiem. Na pewno najdalsi są od jakichkolwiek myśli o rozróbach. To nic, że wyglądają jak żelazne choinki bożonarodzeniowe, obwieszane najnowszymi zdobyczami techniki wojennej. Ale oto ci przemili panowie stają twarzą w twarz z innymi panami, tak niemiłymi, że nie mają wyboru; muszą pokrajać ich na kawałeczki, jak rzeźnik tusze wołowe. I Znowu Chrześcijaństwo Nie Działa. Jak fajnie! Chciałbym zwrócić uwagę, że gdy John F. Kennedy pozwalał, by jego krótką prezydenturę nazwano Kamelot, obiecywał nam w ten sposób, że dalej będzie nas raczył wesołymi przykładami na to, że chrześcijaństwo nie działa.

A jak o swoją popularność zabiega nasza obecna administracja, która stała się po prostu jeszcze jedną, wielką firmą, walczącą o klienta w telewizji i w gazetach? Stosuje tę samą, wypróbowaną, prawdziwą historię, która zaczyna się tak, że przyjacielscy, otwarci ludzie mówią: »Nikommu bardziej niż nam nie zależy na pokoju« albo: »Nikt nie jest cierpliwszy od nas«, i tak dalej. A potem, ni stąd, ni zowąd, Dup! D u p ! I Znowu Chrześcijaństwo Nie Działa.

Nawiasem mówiąc, ostatnio nie zadziałało ono w Libii, kraju o liczbie ludności mniejszej niż cała aglomeracja Chicago. Czy jest jakiś powód, dla którego chrześcijanin miałby się przejmować, że zabiliśmy maleńką córeczkę Khadafiego? No cóż - na ten temat powinien wypowiedzieć się Jerry Falwell \*, bo on zna na pamięć wszystkie wersety Biblii sankcjonujące morderstwo. Moim zdaniem ta mała, pozwolewszy adoptować się ciemnoskóremu mahometaninowi, którego nigdy nie pokocha żaden amerykański widz, w rzeczywistości popełniła samobójstwo. Może CIA wykryje, że już od jakiegoś czasu była czymś mocno przygnębiona, zanim skończyła ze sobą. Ale chyba zbaczam z tematu.

Przejechałem straszny szmat drogi do Rochester, żeby wystąpić przed ludźmi tak głębokiej wiary, że śmiać się sceptycznie względem powszechnie uznanych opinii, o co w życiu chodzi, a zwać się oni unitariańskimi uniwersalistami. Wypada więc podzielić się z nimi moją własną opinią co do obecnego stanu tej stosunkowo niewielkiej grupy wyznaniowej.

\* Jeden z amerykańskich kaznodziejów telewizyjnych.

Powiem więc, że pod względem liczby, posiadanych wpływów i z powodu różnic światopoglądowych z resztą społeczeństwa, jesteście odpowiednikiem pierwszych chrześcijan z katakumb pod cesarskim Rzymem. Dodam zaraz, że nie czyhają na was takie niebezpieczeństwa i trudności, jak na nich. Nasza władza ma dzieci Epoki Rozumu dokładnie gdzieś - i na tym polega wasz kłopot, bo to gorsze, niż zostać ukrzyżowanym do góry nogami albo podanym na obiad mięsożernym lokatorom ZOO w Circus Maximus.

Do pierwszych chrześcijan upodabnia was pragnienie, by nastąpiły czasy pokoju, dobrobytu i sprawiedliwości, a one mogą nigdy nie nadejść. Pierwsi chrześcijanie myśleli, że załatwi im to Jezus. Wy uważacie, że istoty ludzkie powinny potrafić doprowadzić do tego własnymi siłami.

Jesteście też do nich podobni dlatego, że żyjecie w czasach, w których główną formą rozrywki jest zabijanie. Według Amerykańskiej Akademii Pediatrycznej amerykańskie dziecko zdąży przed ukończeniem szkoły średniej obejrzeć w telewizji przeciętnie 18000, morderstw. Dziecko uczy się, że chrześcijaństwo nie działa, widząc efekty działania pistoletów, karabinów, strzelb i broni maszynowej; gilotyn, szubienic, krzesła elektrycznych i komór gazowych; myśliwców, bombowców, okrętów, łodzi podwodnych; siekier, maczug, pił łańcuchowych i rzeźnickich noży. A potem ma jeszcze czuć wdzięczność do wielkich firm, w tym również do naszej administracji federalnej, za te wspaniałe igrzyska. Podobne circenses organizowali Rzymianie równie bogaci i możni, jak współczesne firmy, więc można powiedzieć, że tylko sponsor się zmienił.

Podobnie jak pierwsi chrześcijanie, stanowicie część społeczeństwa żyjącego w zabobonie, w steku bzdur. Tylko że za czasów cesarstwa rzymskiego stekiem bzdur było wszystko, co wiedzano wówczas o rozmiarach naszej planety, jej miejscu we wszechświecie, o tym, jacy są jej inni mieszkańcy, o tym, skąd mogło wziąć się życie, o przyczynach chorób i sposobach ich leczenia, o chemii, fizyce, biologii, i tak dalej. W tamtych czasach wszyscy, w tym również pierwsi chrześcijanie, nie mieli do dyspozycji nic innego poza tym stekiem bzdur. Dzisiaj jest inaczej. Mój Boże, przecież dzisiaj wiemy już tyle i umiemy tyle, że moglibyśmy tworzyć wszystkiego w bród i zapobiegać najróżniejszym katastrofom. Tym bardziej tragiczne jest więc, że główny wysiłek tego i kilku innych współczesnych społeczeństw idzie w kierunku steku bzdur i okrutnych rozrywek sprzed tysięcy lat, co niemal nieuchronnie prowadzi do zaprzeczenia ideałom piękna, sprawiedliwego życia i chrześcijaństwa, głoszonym przez Jezusa Chrystusa, czyli do wojny.

Twierdząc, że uniwersaliści unitariańscy, a więc ludzie, którzy od razu wiedzą, co jest stekiem bzdur, a co nie, przypominają trochę pierwszych chrześcijan z katakumb. Czy chcę przez to powiedzieć, że pogarda dla bzdur będzie kiedyś równie powszechna, jak dziś chrześcijaństwo? No cóż - przykład chrześcijaństwa nie jest tu chyba zbyt zachęcający. Z początku była to przecież religia ubogich, religia służby, religia niewolników, religia kobiet, religia dzieci, i taką by pozostała, gdyby nie przestała poważnie traktować Kazanie Na Górze, gdyby nie sprzymierzyła się z ludźmi próżnymi, bogatymi, okrutnymi. Nie wyobrażam sobie, byście i wy mogli popełnić ten błąd, a więc zaprzecić się wszystkiego, w co wierzycie, w zamian za szansę odegrania większej roli w historii.

Przydałoby się wam jakieś godło - coś, co na początek trzeba by umieścić na koszulkach i flagach, a potem, jak dobrze pójdzie, na czołgach, samolotach i raketach, które to urządzenia służą, jak wiadomo, do walki o pokój. Jeśli naprawdę zależy wam na fajnym godle, to proponuję kółko z przekreślonym stekiem, co w międzynarodowym piśmie obrazkowym oznacza: »Dość bzdur\*.

Ale potem, żeby zdobyć licznych, entuzjastycznych czy nawet fanatycznych wyznawców, musielibyście zaprzeczyć temu symbolowi - oczywiście nie mówiąc tego wprost. Musielibyście wymyślić stek sentymentalnych bzdur - coś, czego wam obecnie brak - na temat tego, czego Bóg chce, a czego nie chce, kogo lubi, kogo nie lubi, co je na śniadanie i tak dalej. Chodzi o to, by sklecić jak najpełniejszy obraz Boga.

Obraz ten powinien być przede wszystkim okrutny. Możecie mi wierzyć, bo kiedyś pracowałem w reklamie i marketingu. Nasz prezydent wyszedł z tego samego działu General Electric, co ja. Tylko że teraz on siedzi sobie w Białym Domu, a ja występuję przed jakąś dziwną sektą w Rochester - ale to już zupełnie inna historia. Chodzi mi o to, że jeżeli macie osiągnąć sukces jako ruch masowy, musicie działać za pomocą telewizji i wideo - inaczej lepiej pożegnajcie się z tą myślą, bo każdy Bóg, którego wymyślicie, będzie musiał współzawodniczyć z Policjantami z Miami, Clintem Eastwoodem i Sylwestrem Stallone. A przy okazji: podczas wojny w Wietnamie Stallone był nauczycielem gimnastyki w szkole dla dziewcząt w Szwajcarii. Wystarczy popatrzeć w te jego psie

oczy i zaraz się wie, jak bardzo pragnął kochać, nim zaczął zabijać te socjalistyczne wszy i świnię.

Tylko trzymajcie się z daleka od Dziesięciorga Przykazań (bierzcie przykład z kaznodziei telewizyjnych). Te cholerne przykazania to istna puszcza Pandory, bo w samym środku listy jest jedno, które, gdyby było traktowane poważnie, kompletnie zniszczyłoby religię jako formę showbusinessu. Brzmi ono: »Nie zabijaj«.

Dziękuję za uwagę”. (Koniec).

Można powiedzieć, że wyważyłem otwarte drzwi. W bardziej konwencjonalnych wspólnotach religijnych moje wolnomyślicielstwo jest już mocno ciężkostrawne. Po moim odczycie na Transylvania University w Lexington w stanie Kentucky w październiku 1990 roku, dziekan tamtejszej kaplicy uniwersyteckiej, pastor Paul H. Jones, napisał do naszego wspólnego znajomego pełen rozterek list; otrzymałem pozwolenie na zacytowanie niektórych fragmentów. „Dlaczego jestem taki przygnębiony czytając Hokus pokus?” - pytał. - «Czy nie podoba mi się los człowieka, który [Vonnegut] przedstawia posługując się swymi postaciami, sytuacjami, systemem oświaty? Świat jest w stanie rozkładu. Czy to właściwe odbicie życia? Jakie jest moje miejsce w świecie? Z kim się identyfikuję? Dlaczego nie chcę, żeby tak było?” I dalej: „Chciałbym zapytać Vonneguta o jego poglądy religijne. Czy to, co pisze, ma naprawić świat? Czy musi go naprawiać? Czy chce? Czy ja domyślam się lub żądam zbyt wiele? Celowo wspomina o Jezusie i nawiązuje do religii. Co z tego?” Moja odpowiedź to przedostatnia rzecz zamieszczona w Dodatku.

(Jeśli chodzi o pacyfizm, tu moja postawa jest bardzo ambiwalentna. Kiedy zastanawiam się, jaką postacią z historii Ameryki najbardziej chciałbym być, nie potrafię zagłuszyć głosu podświadomości, który mówi, że Joshua L. Chamberlainem. Pułkownik Chamberlain, podczas wojny secesyjnej dowódca 20. pułku ochotników z Maine, poprowadził swoich żołnierzy najpierw z górki, a potem pod górę do ataku na bagnety, przeważając tym samym szalę zwycięstwa pod Gettysburgiem na korzyść wojsk Unii).

## XVII

- „To kto jest dobry, a kto zły w Mozambiku? - zapytałem.

Siedziałem przypięty pasami do fotela odrzutowca lecącego z Johannesburga, Afryka Południowa, do Maputo, stolicy dawnej kolonii portugalskiej, Mozambiku, na wschodnim wybrzeżu Afryki, gdzie jeszcze nigdy nie byłem. O kraju tym wiedziałem tyle, że jest tak piękny i tak gościnny jak Kalifornia, że ma kilka dobrych portów na jednej z najdłuższych w Afryce linii brzegowych, że mieszka tam za mało ludzi, że zwykle spada tam dość deszczu - słowem, że mógłby to być istny rajski ogród, a tymczasem jest stworzonym przez człowieka piekłem na Ziemi”. Tak zaczynał się kawałek, jaki napisałem dla Parady na początku 1990 roku, gdy kraje tak zwanego bloku komunistycznego nie nadawały się już na aktorów w tym naiwnym przedstawieniu, według którego na świecie toczy się śmiertelna walka między społeczeństwami dobrymi i złymi. (Kiedy chodziłem do szkoły średniej, my z Shortridge mieliśmy koszulki białoniebieskie, nienawidziliśmy się z Arsenal Tech, ich koszulki były białozielone. Raz dostałem lanie od tych podludzi z Tech, gdy w mundurze orkiestry mojej szkoły wracałem samotnie z meczu między Shortridge a Tech. Jak znacznie później pochwaliłem się Benny’emu Goodmanowi, „ja też kiedyś grałem trochę na patyku”).

„Nieznanym, którego zapytałem o podział na dobrych i złych był biały Amerykanin, John Yale, stary bywalec w Mozambiku - brzmiał dalej mój artykuł w Paradę. - Pracował w World Vision, amerykańskiej organizacji ewangelizacyjnodobroczynej, dostarczającej żywności, ubrań i innych najpotrzebniejszych rzeczy ponad milionowi bezradnych uchodźców w tym kraju (ogólna liczba ludności wynosi piętnaście milionów - czyli mniej, niż tłoczy się dziś w Mexico City). Uchodźców wypędzili z ich małych gospodarstw, spalili im domy, szkoły i szpitale inni Mozambijczycy, nazywający się po portugalsku Narodowym Ruchem Oporu w Mozambiku, w skrócie RENAMO”.

(Nasi neokonserwatyści, w skrócie neokonserwa, uważający RENAMO za aniołki i niewiniątka, mieli do mnie spore pretensje po opublikowaniu tego artykułu. Ich listy przypominały mi, jak kiedyś Dean Martin zaanonsował Franka Sinatrę: że opowie on nam o wszystkich dobrych uczynkach Mafii).

„John Yale odparł, że jego zadaniem nie jest stawanie po którejkolwiek ze stron wojny domowej, ale pomoc potrzebującym, niezależnie od tego, kim są i za kogo się podają. Mimo to, z jego staraniem dobranych, bezstronnych uwag o RENAMO, organizacji, która od 1976 roku, gdy została wyszkolona i wyposażona przez białych z Rodezji i RPA, zajmuje się gwałtem, mordowaniem i rabunkiem, wyczułem, że nie mamy do czynienia z ludźmi. RENAMO stało się nieuleczalną, niepowstrzymaną - przy ubogich i rozproszonych siłach zbrojnych państwa - chorobą, jedną z plag codziennego życia; mówienie o niej w kategoriach dobra i zła ma akurat tyle sensu, co w przypadku cholery czy dżumy.

W każdym bowiem języku istnieje stare, bardzo stare słowo na określenie wędrownych, bezlitosnych rabusiów, stających się nieuleczalną, śmiertelną chorobą, działających bezmyślnie i bez żadnej ideologii: bandyci. Po portugalsku bandyci to bandidos, co, jak miałem przekonać się wkrótce, jest w Maputo i gdzie indziej synonimem RENAMO.

Powiedziałem: »Śmiertelną, nieuleczalną chorobą«? Nasz Departament Stanu ocenia, że nie spotykając się praktycznie z żadnym oporem RENAMO zabiło, tylko od 1987 roku, ponad 100000 Mozambijczyków, w tym co najmniej 8000 dzieci poniżej pięciu lat, z których większość po prostu wypędzono w busz, gdzie pomarły z głodu. W przeszłości RENAMO cieszyło się zapewne cichym poparciem naszej administracji, bo Mozambik głosił się państwem marksistowskim; RPA wspierała je zupełnie otwarcie i bez najmniejszej żenady. Teraz i to się skończyło; bandidos są tak nieliczni, tak znienawidzeni, i słusznie, że nikt już nie wierzy, by mogli kiedykolwiek objąć władzę. Wszyscy inni - w tym Stany Zjednoczone, Związek Radziecki, Międzynarodowy Czerwony Krzyż, CARE \*, i John Yale z World Vision - robią, co się da, żeby ulżyć cierpieniom niemarksistowskich,

niekapitalistycznych, niemal nagich i przerażająco żałosnych uchodźców. Jeśli o to chodzi, gdy przyjechałem do Mozambiku, ci nieliczni Mozambijczycy, którzy wiedzieli cokolwiek o Marksie, mieli dość realnego socjalizmu dokładnie tak, jak ludzie w Moskwie, Warszawie i Berlinie Wschodnim.

Już po chwili przesiadłem się z odrzutowca do ośmioosobowej, dwusilnikowej cessny, pilotowanej

\* Cooperative for American Relief Everywhere (dosłownie „Spółdzielnia pomocy amerykańskiej wszędzie” - dlatego tak dziwnie, żeby stworzyć akronim CARE - troska, opieka)

- stowarzyszenie 26 amerykańskich organizacji dobroczynnych, powstałe 27. listopada 1945 roku. przez chłopaka o kwadratowej szczęce, Jima Friesena- przedtem latał nad puszciami północnozachodniej Kanady. Jim nie mógł zniżyć lotu, żebyśmy z bliska obejrzeliby sobie różne ciekawostki, bo poza miastami wszędzie można było natknąć się na bandidos. Strzelają do łodzi, samolotów, samochodów ciężarowych i osobowych, do wszystkiego, co wygląda, jakby miało coś wspólnego z pomocą dla zwykłych ludzi w ich straszliwym nieszczęściu. Nasza wyczarterowana cessna nie była żadnym zbytkiem, ale koniecznością, bo wszystkie drogi pod nami, na ziemi, zostały zmienione w śmiertelne pułapki przez czających się w buszu bandidos i stawiane przez nich miny”.

(Przed wyjazdem ktoś spytał mnie, czy nie boję się, że mnie zabiją, a ja powiedziałem: „Przecież jadę do Mozambiku, a nie do Południowego Bronxu”). „A teraz wyobraźcie sobie Kalifornię po zablokowaniu wszystkich dróg, spędzeniu większości ludzi mieszkających na wsi do miast i miasteczek; farmy są opuszczone, a całą tę stłoczoną, bezbronną ludność trzeba zaopatrywać we wszystko, i to tylko drogą powietrzną. Witamy w Mozambiku.

Od 9. do 13. października, właśnie wtedy, gdy Wall Street przeżywała mały krach, Jim Friesen woził mnie i jeszcze parę innych osób z kontaktami w amerykańskich środkach masowego przekazu - między innymi reporterów The New York Times,

The Washington Post, Newsweeka i CNN - z jednego odciętego od reszty kraju obozu uchodźców do drugiego. To, co tam zobaczyliśmy, nie różniło się wiele od tego, co każdy dorosły Amerykanin mógł aż za często oglądać na zdjęciach, niezależnie od tego, czy zrobiono je w wyzwolonych obozach hitlerowskich, Biafrze, Sudanie, czy gdzie tam jeszcze chcecie. Ja sam widziałem już podobnie wygłodzonych ludzi na własne oczy - pod koniec drugiej wojny światowej w Niemczech, gdzie byłem w niewoli, a potem po białąfrąskiej stronie frontu wojny domowej w Nigerii”. (W powieści Sinobrody opisuję dolinę pełną uchodźców pod koniec drugiej wojny światowej. Nie zmyśliłem tego. To wszystko działo się naprawdę. Był tam ze mną O’Hare).

„W Mozambiku widzieliśmy więc same znajome obrazki: zdumione, umierające z głodu dzieci

o oczach wielkich jak talerze, dorosłych o klatkach piersiowych jak klatki na ptaki. Widzieliśmy też coś nowego, przynajmniej dla mnie: celowo okaleczonych ludzi, którym ucięto nosy, uszy i co tam jeszcze się da, przy użyciu ręcznych narzędzi”.

(Poznałem to wcale nie ze słyszenia. Widziałem tych ludzi na własne oczy i rozmawiałem z nimi przez tłumacza. Nikt ich do nas nie przyprowadzał. Byli po prostu twarzami, czy też tym, co z nich zostało, w wielkim tłumie ludzi, z których każdy mógł w każdej chwili paść martwy z niedoboru kalorii). „Na tę makabryczną podróż zaprosiło nas CARE, większa i starsza organizacja pomocy humanitarnej niż ta, w której pracował John Yale. Mieli nadzieję, że opowiemy zwykłym Amerykanom wszystko, czego dowiedzieliśmy się o tym, jaki los ludzie zgotowali dalekiemu



Mozambikowi, i o pracy zaangażowanych tu organizacji charytatywnych, na które, być może, dali kiedyś jakiś datek”.

(CARE powstało oczywiście po drugiej wojnie światowej; zajmowało się wtedy dostarczaniem żywności ludziom głodującym wśród ruin Europy. Potem pomagało potrzebującym w Trzecim Świecie; jednak jeden z szefów organizacji powiedział mi w ich nowojorskim centrum, że po upadku imperium rosyjskiego CARE będzie musiało zapewne znów pojawić się w Europie, nie z żywnością tym razem, ale z akumulatorami, oponami do traktorów, sznurem do snopowiązałek i tak dalej. W Mozambiku zamiast maszyn rolniczych używa się technologii, która jest jednym z największych trucicieli środowiska naturalnego na świecie: rolnicy po prostu wypalają las, i już. Może powinniśmy być wdzięczni RENAMO, że ukróciło żywot tego procederu - i wielu rolników, którzy go uprawiali).

„Był z nami szef CARE do spraw Mozambiku, David P. Neff, lat czterdzieści trzy, rodem z New Athens w stanie Illinois, gdzie nie pojawiał się już od dłuższego czasu. Przedtem pracował w Korpusie Pokoju w Kamerunie, wówczas został zaangażowany przez CARE. Uczył się transportu, księgowości i wszystkich bezdusznych chwytów przydatnych w biznesie, by dostarczać pomoc humanitarną tam, gdzie jej najbardziej potrzebowano, czyli do ludzi, dla których była przeznaczona przez ofiarodawców zanim dary zepsują się lub zostaną rozkradzione. Najpierw działał w Liberii, potem w strefie Gazy, na Filipinach, w Somalii i w Sierra Leone. A teraz w Mozambiku. Jego wrogiem jest nie RENAMO, ale nieudolność”. (Czy Dave i jego rodzina zamieszkają teraz w Warszawie albo Leningradzie i zaczną uczyć się tamtejszego języka i zwyczajów?)

„Nie będę powtarzał opowieści o głodzie, zasłyszanych od Dave’a. Jak już mówiłem, wystarczy pomalować stare zdjęcia z Oświęcimia na wszystkie odcienie brązu i czerni, a zobaczycie, z czym on ma do czynienia na co dzień. Przejdę od razu do tego, co mówił mi, gdy przelatywaliśmy nad obozem uchodźców niedaleko ujścia rojącej się od krokodyli rzeki Zambezi, w miasteczku Marrameu. Zanim wylądowaliśmy, zrobiliśmy rundę nad miasteczkiem, żeby upewnić się, że wszędzie widać ludzi, starających się wyhodować w swych małych ogródkach cokolwiek, co by nadawało się do zjedzenia, że kopią ziemię motykami, a nie ukrywają się w buszu przed kolejnym rajdem tych, których wielu Amerykanów do dziś nazywa »Żołnierzami Wolności«. Dave mówił, że pełne wyposażenie RENAMO w miny, amunicję i wyrzutnie rakiet jest tak tanie, że nie trzeba im już nawet sponsorów w postaci RPA, CIA czy kogo tam jeszcze. Mówił, że wystarczy na to rocznie jakieś 4 miliony dolarów - koszt produkcji filmu bez większych gwiazd albo w miarę rozbudowanego musicalu na Broadwayu. Wystarczy, że złoży się na to kilku bogatych typów spoza Mozambiku; zresztą tyle mógłby chyba wyłożyć nawet jeden miliard.

Dave dodał, że gdyby bandidos rzeczywiście zdobyli stolicę kraju, Maputo, co nie byłoby takie trudne, skoro i tak działają na jej przedmieściach, stanęliby w miejscu, kompletnie bezradni i pytaliby się nawzajem: »No i co teraz?« O transporcie wiedzą oni tyle, że trzeba strzelać do wszystkiego, co ośmiela się poruszać. O szpitalach i szkołach wiedzą tyle, że trzeba je albo podpalać, albo wysadzać.

Głodni, sterroryzowani i pozbawieni gospodarstw rolnicy z okolic Marrameu byli widoczni. Na pewno w życiu nie słyszeli o Karolu Marksie; zapewne nie słyszeli też o Johannesburgu, Nowym Jorku i Moskwie. Jim po mistrzowsku posadził samolot na krótkim, wyboistym lądowisku. Nie opodal leżał wrak DC-3, który rozleciał się tu kilka dni wcześniej. Jeszcze piętnaście minut temu

oglądaliśmy z powietrza ze sto dzikich słońi.

Dave i Jim dobrze znali ten samolot. Nazywano go »Anusia«. Przez wiele lat, dzień w dzień, »Anusia« przywoziła pomoc dla uchodźców, ale teraz złamało się pod nią podwozie, a dolna część kadłuba była rozpruta i poskręcana. Musiała być starsza niż Dave Neff. Ostatni DC-3 zbudowano w roku 1946, gdy CARE wysyłała paczki żywnościowe w ruiny Europy, a czarni mieszkańcy Mozambiku mieli przed sobą jeszcze trzydzieści lat niewolnictwa pod rządami Portugalczyków.

Wśród pierwszych Mozambijczyków, których dostrzegliśmy po lądowaniu, zauważyłem dwóch wymizerowanych mężczyzn ubranych w koszulki, które musiała im przywieźć jeszcze »Anusia«. Jedną koszulkę ozdabiał nadruk z flagami amerykańskich jacht-klubów, drugą - wpisana w trójkąt litera S, demaskująca właściciela jako człowieka, który w prywatnym życiu był łagodnym Clarkiem Kentem, ale teraz stał przed nami w swym drugim wcieleniu - Supermana”.

(Tak kończył się mój artykuł do Parady. Napisałem jeszcze jeden do The New York Times, ale nie mogę go teraz znaleźć, a zresztą do diabła z tym. Jeśli dobrze pamiętam, wspomniałem tam, że czarni mieszkańcy Mozambiku wyrzucili swych portugalskich panów, którzy nie pozwalali im nawet prowadzić samochodów, mniej więcej wtedy, gdy nas miano właśnie wyrzucić z Wietnamu. Takie to młode państwo. Jedną z pierwszych rzeczy, których zaraz potem chcieli się nauczyć, było czytanie, pisanie i proste rachunki. RENAMO nadal robi, co może, żeby im w tym przeszkodzić, stosując najnowocześniejszą broń i środki łączności, które dalej napływają Bóg wie skąd. Gdy Portugalczycy opuszczali Mozambik, już tak dawno temu, wlewali cement w kanalizację biurowców, hoteli i szpitali, bo nie oni mieli odtąd z nich korzystać).

W mojej książce Niedziela palmowa przedrukowałem artykuł, który napisałem po powrocie z białrańskiej strony frontu wojny domowej w Nigerii. Mieszkańcy Biafry (zbuntowani Ibo) otoczeni byli tak skuteczną blokadą, że wszystkie ich dzieci miały rude włosy i wypadnięte odbyty, które dyndały im na zewnątrz jak rury od chłodnicy, i tak dalej, wszystko dzięki niedoborowi białka. Kiedy znalazłem się znowu w domu (rodzina pojechała właśnie na narty do Vermont), wynająłem pokój w starym hotelu Royalton na Manhattanie i płakałem w nim tak, że prawie czekałem jak pies. Nie robiłem nic takiego, gdy wróciłem z wojny. Kiedy opuściłem Mozambik nie uroniłem ani jednej łzy. Po raz ostatni płakałem (i to cicho, a nie czekałem jak pies) kiedy umarła moja pierwsza żona, Jane (była na nartach, kiedy przyjechałem z Biafry). (Nasz syn - lekarz, Mark, powiedział mi po jej śmierci, że on sam nigdy nie poddałby się makabrycznej terapii, która pozwoliła Jane przeżyć z rakiem tak długo).

Gdy pisałem - z suchymi oczyma - ten artykuł o Mozambiku, spotkałem w mieście starego znajomego z Shortridge, wielkiego wynalazcę i inżynieramechanika, Herba Harringtona. Wyznałem mu, że po Biafrze coś mi się stało, że Mozambik był dla mnie przeżyciem intelektualnym, ale nie emocjonalnym. Powiedziałem Herbowi, że widziałem, jak dziewczynki mniej więcej w wieku mojej najdroższej Lily powoli zapadają w śmierć, bo zbyt długo przebywały w buszu, nim trafiły do obozu dla uchodźców, a mimo to nic potem nie czułem. On na to, że z nim działo się podobnie, gdy podczas drugiej wojny światowej był w wojsku i z małym oddziałkiem łączności instalował stacje radiowe wzdłuż wybrzeża Chin. Codziennie widywali tam wagony pełne zagłodzonych na śmierć Chińczyków, i bardzo szybko (nie dłużej niż w tydzień) przestał ich zauważać.

(Zdjęcie na początku tego rozdziału przedstawia mnie w akcji w Mozambiku, gdzie demonstruję muskularne chrześcijaństwo w stroju, którego nie powstydziliby się sam Ralph Lauren\*. Przed moim

przyjazdem tubylcy nie umieli się nawet załatwić, dopiero ja ich wszystkiego nauczyłem).

\* Wielki projektant mody.

## XVIII

Dowcip Eda Wynnsa o tej kobiecie, u której był pożar (i która nadaremno polewała go wodą) to najśmieszniejszy przyzwoity dowcip świata. Najśmieszniejszy nieprzyzwoity dowcip świata opowiedziała mi moja tłumaczka z Moskwy, Rita Rait, która zmarła kilka lat temu w wieku prawie dziewięćdziesięciu lat. (Była geniuszem językowym, badaczką Roberta Burnsa, tłumaczyła mnie, J.D. Salinger, Sinclaira Lewisa i Johna Steinbecka z angielskiego, Franza Kafkę z niemieckiego, i tak dalej. Razem z Jill spędziliśmy z nią trochę czasu w Paryżu, gdzie prowadziła badania nad jakimiś dokumentami, spisany w całości po francusku). Podczas drugiej wojny światowej była tłumaczką na amerykańskich i brytyjskich statkach transportowych, wożących żywność i amunicję do Murmańska w północno-zachodniej Rosji (nad lodowatym Morzem Barentsa), narażonych na ciągłe ataki niemieckich samolotów i łodzi podwodnych. Potrafi bezbłędnie naśladować kilka brytyjskich akcentów; dowcip opowiedziała nam w cockney\*.

\* Akcent londyńskiego (lumpen)proletariatu.

Szkielet najśmieszniejszego nieprzyzwoitego kawału świata (bo nie ma już Rity, żeby opowiedziała go w cockney) jest następujący: umarł pewien ekscentryczny milioner angielski, a w swym testamencie przeznaczył ogromną sumę pieniędzy na nagrodę za najdowcipniejszy limeryk. W testamencie zaznaczył, że najdowcipniejsze limeryki bywają równocześnie bardzo sprośne, zatem sprośność (choćby najgrubsza) nie może dyskwalifikować żadnego z kandydatów do nagrody. Ustalono więc skład przeświatnego (ale nie przeświętego) jury, a limeryki napływały całymi tonami. W kraju (nie zapominajmy, że działo się to w Wielkiej Brytanii) nie mówiono o niczym innym. Wreszcie jurorzy orzekli, że konkurs wygrała pewna gospodyni domowa ze wschodniej Anglii. Decyzja jury była nie tylko jednogłówna, ale i bardzo głośna. Nagrodzony wiersz okazał się niewątpliwie najdowcipniejszym limerykiem świata, ale niestety ze względu na swą niezwykłą sprośność nigdy nie zostanie opublikowany w żadnej formie.

Cały kraj oczywiście szalał z ciekawości - podobnie zachowuje się każdy, kto wysłucha początku tego wspaniałego opowiadania. Jury trwało przy swoim werdykcie równie mocno, jak my przy tym, że świat cywilizowany nie zniósłby podobnej nieprzyzwoitości. Oczywiście wszyscy rzucili się na autorkę, gospodynię domową, na pierwszy rzut oka uosobienie przyzwoitości, która nagle stała się sławna i bogata. (Rita, opowiadając ten dowcip - usłyszała go kiedyś od angielskiego marynarza - stawiała się w tym momencie tą gospodynią, pruderyjną a jednocześnie niesłychanie dumną z niezgłębionych zasobów kosmatych myśli, dzięki którym wygrała konkurs). Całkowicie zgadzała się z jurorami, że jej dzieło jest tak nieprzyzwoite, choć błyskotliwie dowcipne, że, trudna rada, ona i członkowie jury zabiorą je ze sobą do grobu. Ale ponieważ trwała wojna, a fabryki przestawały produkować broń, bo mało kto jeszcze pracował w Anglii, właśnie z tej ciekawości sam Winston Churchill namówił ją, żeby wystąpiła w BBC i wygłosiła swój limeryk, zastępując każdą sylabę każdego słowa, które wyda się jej nieodpowiednie dla uszu szerokiej publiczności, pustym dźwiękiem »pa«. Wystąpiła.

Radio nadało ocenzonego limeryk. Brzmiał on tak:

Pa pa pa pa pa pa pa pa,

Pa pa pa pa pa pa pa pa!

Pa pa pa pa pa,

Pa pa pa pa pa!

Pa pa pa pierdolona cipa.

Rita (rodowita Rosjanka, ale miała przodka Szkota, stąd jej nierosyjskie nazwisko) opowiedziała nam cały kawał, a potem zaświergotała z całą niewinnością, na jaką ją było stać: „Angielski nie mój

język, tak ja wszystko powiedzieć mogę, co chcę, choćby nie wiem jak brzydko. Jaka swoboda! Jaka radość!” Tłumacze powinni dostawać takie same honoraria, jak autorzy. Mówiłem to kilku z moich zagranicznych wydawców, proponując nawet, że sam wezmę mniej, żeby tłumacz mógł dostać więcej. Równie dobrze mogłem im mówić, że Ziemia jest płaska, a ja mam na to dowody! W listopadzie 1983 roku powiedziałem co następuje grupie tłumaczy zebranych w Uniwersytecie Columbia:

„Pierwszym krajem, w którym wydano mnie w języku innym niż angielski, były Niemcy Zachodnie, gdzie w roku 1964 pojawiła się moja pierwsza powieść *Pianola* (Scribner's, 1952) jako *Das Hollische System*. Tłumacz, Wulf H. Bergner, znał amerykański angielski tak świetnie, że nawet do głowy mu nie przyszło, żeby mnie spytać, co miałem na myśli pisząc to czy tamto. Wcale z niego nie kpię, naprawdę tak było. Mówiono mi potem, że to świetny przekład. Wierzę, nie sprawdzam, choć znam trochę niemiecki. Z powodów, których nie potrafię w tej chwili wytłumaczyć, nie znoszę czytać siebie, nawet po angielsku. Jeżeli miałbym jakoś nazwać tę prymitywną nerwicę: niech będzie »zażenowanie chroniczne\*. Znacznie więcej zabawy miałem z następną tłumaczką tej książki, Roberta Rambelli z Genui. To ona wysłała mi pierwszy list, jaki kiedykolwiek dostałem od tłumacza. Wciąż pamiętam dwa z jej rozkosznych pytań: »Co to jest rumbie seat\*? Co to jest ferris wheel \*\*?« Z największą radością powiedziałem jej coś, co wie tak niewielu Amerykanów: ferris wheel powstało pierwotnie jako urządzenie umożliwiające podnoszenie obserwatorów artyleryjskich ponad wierzchołki drzew, a zostało zastosowane po raz pierwszy przez Wielką Armię Republikańską podczas wojny secesyjnej. Następną książkę napisałem dopiero po siedmiu latach. Wcale nie z powodu jakichś tam problemów duchowych, ale finansowych. Kupę forsy kosztuje pisarza utrzymanie rodziny podczas pracy nad książką. Przez siedem lat nie było mnie na to stać. Druga książka to *Syreny z Tytana* (Dell, 1959), a pierwszymi cudzoziemcami, którzy się do niej zabrali, okazali się Francuzi. Ich tłumaczka, Monique Theis, nie miała do mnie żadnych pytań. Podobno w wielu miejscach, w których nie zrozumiała amerykańskiego angielskiego, można się nieźle ubawić. Ale potem napisała do mnie moja stara znajoma, Roberta Rambelli, że znowu wynajęto ją, by tłumaczyła mnie Włochom, i miała mnóstwo pytań - zdaje się pięćdziesiąt trzy. Zakochałem się w niej wtedy, a sądzę, że i ona we mnie.

Wkrótce potem mój syn Mark, który sam miał zostać nie tylko pisarzem, ale i pediatrą, wyjechał do Europy wydać to, co zarobił łowiąc skorupiaki na

\* Dodatkowe, rozkładane miejsce siedzące z tyłu (starego) samochodu.

\*\* Słownik angielskopolski Stanisławskiego: „Ferris wheel - koło diabelskie (w wesołym miasteczku)”. przyłasko Cod. Namawiałem go, żeby odwiedził Robertę w Genui. Posłuchał tatusia. (Ja nigdy nie poznałem jej osobiście ani nie pojechałem do Włoch). Pojawił się w jej domu; była wielce podekscytowana wizytą. Ale rozmawiać musieli na papierze, jakby oboje byli głuchoniemi: Roberta nie rozumiała angielskiego mówionego, w tym języku potrafiła tylko czytać i pisać - d propos, dokładnie tak jest z moim francuskim. Czy to nie ironia? Odpowiem: wcale nie. To piękne.

Obie książki zostały porwane przez piratów ze Związku Radzieckiego, który w tamtych czasach nie zamierzał mieć nic wspólnego z kapitalistycznym spiskiem, z »tak zwaną« Międzynarodową Konwencją o Prawach Autorskich. Od tamtejszych tłumaczy nie otrzymałem ani słowa, co nie było dla mnie żadną nowością, bo podobnie potraktowali mnie tłumacze z Niemiec i Francji, a potem jeszcze z Danii i Holandii. Mam teraz sześćdziesiąt jeden lat, więc od tego czasu przewinęło się przez moje życie wiele książek i wielu tłumaczy. Najbardziej wyśmiewałem się z Francuzów, bo ciągle ktoś mi donosił, że dopuścili się strasznego partactwa; nie kontaktowali się ze mną, a gdy

jeździłem do Francji, nikt jakoś specjalnie mnie tam nie lubił. Za to francuski tłumacz moich dwóch ostatnich książek, Robert Pepin, który pisze też własne powieści, mówi po amerykańskuangielsku lepiej niż ja. Zostaliśmy przyjaciółmi. Nie tylko to; mimo całej swej płynności w amerykańskim angielskim, w listach zadaje mi mnóstwo bardzo dobrych pytań, więcej nawet, niż kiedyś kochana Roberta Rambelli, która jest teraz w niebie.

A choć nie przestaję wyrażać oburzenia, że Związek Radziecki nie płaci mi ani kopiejki wydając moje dzieła napisane przed ratyfikowaniem przez ten kraj Międzynarodowej Konwencji o Prawach Autorskich, a prawie nic za to, co stworzyłem potem, jedną z moich rosyjskich tłumaczek, Rite Rait, polubiłem bardziej niż kogokolwiek spoza mojej rodziny. Pierwszy raz umówiliśmy się i spotkali w Paryżu, a potem odwiedzałem ją jeszcze dwa razy w Moskwie i raz w Leningradzie. Sądzę, że nawet gdyby nie była moją tłumaczką, i tak szalelibyśmy za sobą.

W moich książkach jest trochę tak zwanych brzydkich słów, bo moi Amerykanie, a przede wszystkim żołnierze, mówią tak, jak mówią naprawdę. Rosyjskich odpowiedników takich słów nie wolno wydać drukiem w ZSRR. Rita Rait miała już ten problem wcześniej, gdy tłumaczyła Buszującego w zbożu J.D. Salingera. Jak sobie poradziła? Otóż zdaje się, że tematy łóżkowe, czy raczej nasienne (od »siana«), można omawiać tam tylko jakimś archaicznym dialektem wiejskim, uważanym za nieszkodliwy, bo folklorystyczny, nawet gdy chodzi o ekskrementy, stosunki płciowe i tak dalej. Tłumacząc Salingera i mnie, Rita użyła takiego właśnie sielskiego słownictwa. Tak ci to nas urządziła, hej!

W ogóle o przekładach moich książek mogę mówić bez końca. Osobnego studium wart jest ból, jaki sprawiłem tłumaczom nadając jednej z moich książek tytuł Jailbird. Okazało się, że w krajach o dłuższej historii niż USA nie istnieje słowo określające osoby, które trafiają do więzienia regularnie, raz po raz. Dzieje się tak dlatego, że nasz system więzienniczy, wynalazek amerykańskich kwaków, jest tak świeży. Najbliższe, co mogli wymyślić Europejczycy, było odpowiednikiem ich słowa »szubienicznik«, co zupełnie nie oddaje tego, o czym pisałem: przestępca z nawyku, bo przecież nie da się wieszać tego samego człowieka kilka razy pod rząd.

I w końcu wszyscy tłumacze musieli całkowicie zmienić tytuł \*.

\* My, Polacy, możemy stwierdzić z dumą, że choć nasz

Recydywista też nie jest idealnym odpowiednikiem amerykańskiego „więziennego ptaszka”\* (tak brzmiałoby dosłowne tłuma-

czenie tytułu), to i tak jesteśmy o całe kilometry bliżej niż reszta europejskich »szubieniczników«.

\* To żart, oczywiście.

Czyżby i u nas więziennictwo organizowali kwakrzy? Und so weiter. Jeżeli skorzystałem z tej okazji, by wspomnieć szczególnie sympatycznych tłumaczy moich dzieł, nie zrobiłem tego po to, by twierdzić, że przy pracy nad przekładem konieczne są takie kontakty towarzyskie. Od tłumacza wymagam tylko jednego: musi być lepszym pisarzem niż ja, i to przynajmniej w dwóch językach, w tym w moim \*. Ale teraz muszę wracać do domu, bo czeka na mnie mnóstwo zaległej korespondencji, a szczególnie bardzo rozwlekły list od mojego japońskiego tłumacza, pana Shigeo Tobity, który pragnie dowiedzieć się między innymi, co znaczy „Four Roses”. Czy to bardzo drogie wino?

\*\*”

Otóż nie. „Four Roses” nie jest bardzo drogim winem (Koniec wystąpienia).

Pięć miesięcy później (nie, żeby był tu jakiś związek) wieziono mnie na wózku w środku nocy na oddział intensywnej terapii szpitala St Vincentts na płukanie żołądka. Próbowałem się zabić. To nie było wołanie o pomoc. Ani załamanie nerwowe. Ja pragnąłem „Głębokiego snu” (Raymond Chandler), chciałem „Zatrzasnąć wielkie drzwi” (John D. MacDonald). Koniec żartów, koniec z

kawą, koniec z papierosami.

Chciałem się stąd wynieść.

(Pod koniec Dodatku znajdziecie esej o związkach talentu z chorobą umysłową, który napisałem znacznie później).

\*\* „Four Roses” (cztery róże) nie jest bardzo drogim (i dobrym) winem, ale bardzo tanią (i niezbyt dobrą) whisky.

## XIX

Wielki pisarz sciencefiction, Ray Bradbury (który nie umie prowadzić samochodu) wymyślił kiedyś historyjkę, którą zatytułował „Maszyna Kilimandżaro”. Opowiada ona o człowieku, który w ten czy inny sposób potrafił „odczyniać” niepotrzebne samobójstwa (a może inne niepotrzebne postęпки też, nie pamiętam). Miał takiego czarodziejskiego jeepa i pewnego dnia jechał nim sobie drogą prowadzącą przez pustkowia w okolicy Ketchum w stanie Idaho. W pewnej chwili zobaczył śmiertelnie przygnębitego, starego faceta z obwisłym brzuszkiem, z brodą przyprószoną siwizną, który włókł się samotnie przed siebie. Był to Ernest Hemingway, który miał za chwilę rozwalić sobie głowę, naciskając spust strzelby. Bohater Bradbury’ego zaproponował mu, że swym czarodziejskim jeepem podwiezie go do lepszej śmierci. Jeżeli Hemingway wsiądzie, zginie w katastrofie lotniczej na szczycie Kilimandżaro (5802 m n.p.m.) w Tanzanii. Hemingway wsiadł i zginął piękną śmiercią. (Francuski pisarz Louis-Ferdinand Celine pisał o swym znajomym lekarzu, który miał obsesję godnej śmierci. I rzeczywiście: skonał w konwulsjach pod fortepianem).

Możliwe, że w kraju stworzonym przez Bradbury’ego moje samobójstwo byłoby skuteczne, tak jak samobójstwo Hemingwaya. Okazałoby się, że nie żyję, że wszystko, co teraz widzę, jest tym, co być mogło, gdybym z tym wszystkim nie skończył.

Wielce pouczające. Jak wiele lat temu powiedział jeden facet w więzieniu okręgu Cook, gdy przywiązywali go do krzesła elektrycznego: „No, to będę miał nauczkę”.

Jeżeli wszystko, co dzieje się teraz wokół mnie, jest tylko tym, co być mogło (gdy tymczasem spokojnie gniję sobie w grobie jak mój idol z dzieciństwa, John Dillinger, wielki specjalista od napadów na banki), powinienem teraz zawołać: „O, Boże, napisałbym jeszcze co najmniej cztery książki!” i tak dalej. Gdybym przeżył, słyszałbym, jak moja córka Lily śpiewa piosenkę, której nauczyła się na obozie letnim:

Chłopcy lecą na Jowisza bo im zwisa!

Dziewczynki idą do szkółki i pracują jak pszczołki!

Chłopcy lecą na Plutona po drugiego ogona!

Dziewczynki piją pepsi, żeby być bardziej sexy! Gdybym nie był zbyt wkurzony, by żyć choćby minutę dłużej (po prostu dostałem szału), wiosną 1990 roku opublikowałbym ten fantastyczny artykuł w The New York Times:

„Z jakiegoś powodu amerykańscy humorysty, satyrycy czy jak ich tam zwał, słowem ludzie, którzy wolą śmiać się niż płakać, gdy słyszą złe wieści, po osiągnięciu pewnego wieku stają się niezdolnie mało zabawnymi pesymistami. Gdyby londyński Lloyd oferował polisy ubezpieczeniowe, wynagradzające satyrykom utratę poczucia humoru, akcjonariusze spółki mogliby przyjąć, że owa utrata następuje średnio w wieku sześćdziesięciu trzech lat u mężczyzn a, powiedzmy, dwudziestu dziewięciu u kobiet. Moje uogólnienie na szczęście lub na nieszczęście potwierdza książka Punchlines (»Puenty«, Paragon House, 1990) autorstwa Williama Keougha z anglistyki Fitchburg State College w Massachusetts. Jej podtytuł brzmi: »Przemoc w humorze amerykańskim\*. Keough przekonuje, posługując się przykładami z twórczości Marka Twaina, Ringa Lardnera, Ambrose’a Bierce’a, mnie, komików filmowych (kina tak niemego, jak dźwiękowego), radiowych, telewizyjnych i kabaretowych, że najsłynniejsze żarty amerykańskie są odreagowywaniem przemocy fizycznej i ekonomicznej, głęboko zakorzenionej w naszym społeczeństwie. Pisz:

»Jakże często wydaje się, że humorysta amerykański, który zaczynał jako rozbawiony prowokator i obserwator amerykańskiego teatru przemocy i korupcji, kończy na łożu rozpacz, mrużąc sardoniczne alegorie\*. A wiecie co? Moja najnowsza powieść, Hokus pokus,, która ma ukazać się we wrześniu, to sardoniczna alegoria z łoża rozpacz.



Czy mogło być inaczej?

»Przemoc, będąca inspiracją znacznej części humoru amerykańskiego, jest bardziej długowieczna niż humor« - powiada Keough. - »Żarty starzeją się; broń, niestety, jest ciągle unowocześniana\*. Mark Twain w pewnej chwili przestał naśmiewać się z cierpień własnych i tych, których widział wokół siebie. Miał dość życia. Umarł. Nie dożył wynalezienia broni jądrowej. Gdy mógł dowiedzieć się o pierwszej wojnie światowej, był już sztywny.

Dowcip działa w ten sposób: żartowniś na początek lekko przestrasza słuchacza, wspominając o czymś, co stanowi pewne wyzwanie, na przykład o seksie albo o zagrożeniu fizycznym, albo sugerując, że zamierza przetestować inteligencję swego rozmówcy. Etap drugi: żartowniś wyjaśnia, że nie wymaga inteligentnej reakcji, przez co tamten zostaje z niepotrzebnie wyprodukowanymi, chemicznymi substancjami obrony lub ucieczki, nagromadzonymi w krwiobiegu, których musi się jakoś pozbyć, jeżeli nie chce przywalić żartownisiowi lub wykonać serii ćwiczeń gimnastycznych.

Najczęściej słuchacz wydalą te substancje za pośrednictwem płuc, szybkim powiększaniem i zmniejszaniem objętości klatki piersiowej; towarzyszy temu groteskowy wyraz twarzy i odgłosy przypominające szczekanie psa.

Test na inteligencję: »Dlaczego kurczak przeszedł przez drogę? \*«.

Seks: »Samochód komiwojażera zepsuł się w deszczową noc na wiejskiej drodze. Komiwojażer zapukał do drzwi jakiejś chaty, a chłop mówi: »Może pan zostać na noc, ale musi pan spać z moją córką\*. Zagrożenie fizyczne: »Facet spada w przepaść. W połowie drogi udaje mu się chwycić jakąś trawkę. Wisi na rękach sto metrów nad pewną śmiercią\*.

Ale żartownisie przestają żartować, jeśli mówią o zagrożeniach tak rzeczywistych, bliskich i przerażających, że żadna dawka śmiechu nie sprawi, by słuchacze znów poczuli się bezpieczni i zadowoleni. Uświadomiłem sobie, iż jestem w takiej właśnie sytuacji, gdy na wiosnę 1989 roku jeździłem z odczytami po uniwersytetach, i natychmiast odwołałem resztę spotkań. Nie cierpię robić takich rzeczy słuchaczom, a tu - proszę. Bo w trakcie odczytu zastanawiałem się na przykład, co zrobiłbym ja, mój brat, siostra i nasi rodzice, gdybyśmy byli obywatelami Niemiec w czasie, kiedy Hitler doszedł do władzy. Każda odpowiedź prowadziłaby do dyskusji, ale dyskusji na pewno bardzo przygnębiającej. A potem mówiłem, że cały świat stoi przed znacznie trudniejszym problemem, niż dojście do władzy nowego Hitlera, a mianowicie przed dokonywanym przez nas samym niszczeniem planety, naszej delikatnie i pięknie skomplikowanej aparatury respiracyjnej.

\* Najpopularniejszy dowcip w krajach anglojęzycznych.

Odpowiedź: „Bo chciał się znaleźć po drugiej stronie”. Ha, ha! Mówiłem, że któregoś, niezbyt już odległego dnia skończymy wszyscy brzuchem do góry, jak rybki w zapuszczonym akwarium. Zaproponowałem epitafium dla Ziemi: »Zapewne mieliśmy szansę się uratować, ale byliśmy za leniwi i za skąpi«.

Nie mogłem tego dalej ciągnąć.

Mój Boże, chyba mówiłem nawet •- bzdura, wiem, że mówiłem - iż ludzkość stała się niepowstrzymanym lodowcem gorącego mięsa, które zjada wszystko, co widzi, a potem kopuluje i znów podwaja swą wielkość. Do tego dodawałem na stronie coś w tym stylu, byśmy nie liczyli, że papież pomoże nam przyhamować to mięso.

Dość!

Mimo to wydawało mi się, że na papierze ciągle jeszcze potrafię być zabawny, kiedy zahaczam ludzi tymi małymi, tępyimi haczykami i zaraz potem ich uwalniam. Przecież książki pisze się powoli i z rozmysłem; zupełnie tak, jakby chciało się ręcznie pokryć kwiatkami całą tapetę wielkiej sali balowej. Ponieważ znam mechanizmy działania żartów, całe to zahaczanie i wypuszczanie, mogę je

dalej produkować, nawet jeśli nie mam już na to ochoty. Pamiętałem, że ojcu architektura znudziła się, gdy miał dziesięć lat mniej, niż ja teraz, a mimo to zajmował się nią dalej. Jak wytknął mi kiedyś wierny przyjaciel, moje idee mają wszelkie zalety - poza oryginalnością. Taki już mój los. Pewnie dlatego właśnie wpadłem na mało oryginalny pomysł napisania Don Kiszota osadzonego we współczesnej rzeczywistości. Miałem nadzieję, że w moim wykonaniu historii tej nie zabraknie pewnej świeżości, jeżeli pozwolę sobie w niej na dobroduszne kpiny z mojego starego marzenia o idealnym obywatelu. Bo choć Keough nic na ten temat nie mówi, sądzę, że wszyscy humorysty amerykańscy, piszący o wadach obywateli amerykańskich, nie robiliby tego, gdyby nie wiedzieli dokładnie, jacy naprawdę powinni być Amerykanie. Marzenia o idealnych obywatelach są dla naszych satyryków tak ważne, jak dla Karola Marksa i Thomasa Jeffersona.

Ale to, co z tego wyszło, nie było zbyt śmieszne. Nie potrafiłem zdjąć czytelników z haka, z Montauk Umbrella naszych czasów.

Montauk Umbrella jest ulubionym sprzętem wędkarzywyczynowców, którzy wypływają w morze łodziami motorowymi z najbardziej na wschód wysuniętego miasta na południowym ramieniu Long Island. Przynętą ten wygląda jak rozłożony parasol bez materiału i rączki. Na końcu każdego z ramion znajduje się stalowy przypon, a na końcu każdego przyponu - sztuczna kałamarnica z białawego drewna chirurgicznego. Przez dziurkę na końcu każdej z rurek wystaje hak o tak wielkim i ostrym wąsie, że tuńczyk czy okoń morski, który chwycił którąkolwiek z przynęt wirującej galaktyki, nie ma najmniejszej szansy ucieczki.

Brak współczesnych odpowiedników metody zdejmowania z haka, której z takim powodzeniem użył Mark Twain, gdy nie zaznaliśmy jeszcze pierwszej wojny światowej, drugiej wojny światowej i całej reszty, pod koniec najczarniejszej zapewne spośród znanych amerykańskich powieści komicznych, Przygody Hucka. Oczywiście zdjęcie z haka polega na tym, że sprytny, dzielny i sympatyczny Huck, mający całe życie przed sobą, mówi, że zamierza »zwiąć do puszczy« \*.

A dokąd to, Huck? Do Rocky Flats w stanie Kolorado \*\*?

A może do Hanford w stanie Washington, albo na Alaskę, nad Zatokę Księcia Williama \*\*\*?

\* przekład K. Tarnowskiej.

\*\* Składowisko niebezpiecznych odpadów wojskowych.

\*\*\* Miejsce katastrofy tankowca Exxon Valdez.

A może zwiejesz tam, dokąd sam Twain chciał zwiąć z tego swojego Hannibal - w dziewicze ostępy Amazonii?" (The end).

Gdybym nie umarł, nie tylko napisałbym to wszystko, ale również mógłbym cieszyć się z narodzin kolejnych trojga wnucząt. Przedtem też już miałem troje. Moja mama nigdy nie zobaczyła żadnego z tuzina swych wnuków, choć moja siostra, Alice, nosiła w brzuchu pierwszego z nich, Jima, gdy razem z nią znaleźliśmy ciało Mamy. (Oczywiście Mamy nie mogły uratować choćby najlepsze nowiny. Było jej tak źle, jak teraz wszystkim w Mozambiku, gdzie morderstw mają mnóstwo, a samobójstw - mało). Zresztą - do diabła z udawaniem, że wszystko, czego teraz doświadczam, to tylko to, co mogłoby się zdarzyć, gdybym sześć lat temu nie kopnął w kalendarz na oddziale intensywnej terapii szpitala St Vincent's. Żyję, dalej palę i noszę smętny wąs mojego ojca (mój brat też taki nosi). Cogito ergo sum. Wyobraźcie sobie, że raz napisałem też coś optymistycznego. Chwaliłem czytanie książek, a tę pochwałę czytelnictwa zamieszczono w bożonarodzeniowym katalogu z 1990 roku, wysyłanym do najlepszych klientów sieci księgarń firmy Kroch Brentano w Chicago. Leci to tak:

„Dawno temu, w latach sześćdziesiątych, gorąco pragnąłem uwierzyć, że głębokie medytacje, takie, jakie praktykuje się w Indiach, mogą być sposobem osiągnięcia szczęścia i mądrości na skalę nieznaną dotąd ludziom pochodzenia europejskiego czy afrykańskiego. Bitelsi też w to wierzyli przez jakiś czas. Wątpię, żeby tak samo wierzył w to świętej pamięci, wielki (serio) Abbie Hoffman. On nie zamierzał wyrzec się swego obłąkańczego poczucia humoru - najnormalniejszej rzeczy w naszym kraju podczas wojny wietnamskiej - w zamian za osobisty, wewnętrzny spokój.

Ja tam zaraz bym się zamienił. Oddałem się w ręce Mahariszi Mahesz Jogiego, tak jak Bitelsi, żeby nauczył mnie Medytacji Transcendentalnych, czyli MT. Nie znałem Bitelsów i nie wiedziałem, co w końcu sądzili o MT. Jeśli dobrze sobie przypominam, zerwali z Mahariszim z powodów nie mających wiele wspólnego z jego wschodnimi półtransami. W moim własnym odczuciu MT to taka krótkka, przyjemna drzemka, ale nie dająca wiele ani złego, ani dobrego. To trochę jak nurkowanie z akwalungiem w letnim rosole. Czasem powoli przepłynął obok jakiś różowy, jedwabny szal. Świetna sprawa! I człowiek budził się taki sam, jak przedtem, z przyjemnego półsnu, półjawy.

Ale mnie MT dały coś znacznie więcej niż drzemki. Kiedy siedziałem wyciągnięty na prostym krześle, tak jak kazał Mahariszi, walczyłem z rozpraszającymi mnie, dokuczliwymi szczegółami, powtarzałem swoją mantrę (»ajiiim«), zewnątrz a potem wewnątrz, uświadomiłem sobie, że robiłem to już tysiące razy.

Robiłem to przy czytaniu!

Gdzieś od ósmego roku życia, zamiast »ajiiim, ajiiim, ajiiim«, uwewnętrzniałem słowo pisane osób, które dostrzegały lub czuły coś, co wydawało mi się nowe. Kiedy to robiłem, opadał ze mnie świat. Kiedy czytałem wciągającą książkę, serce biło mi wolniej, wolniej oddychałem, zupełnie jakbym praktykował MT.

A więc już wtedy byłem doświadczonego medytatorem. Często budziłem się z tej zachodniej medytacji mądrzejszy. Wspominam o tym teraz, ponieważ w naszych czasach tak wiele ludzi uważa zadrukowane strony za wymierającą technikę, starą, bo wymyśloną przez Chińczyków już dwa tysiące lat temu. Książki powstały na pewno jako praktyczne rozwiązanie problemu przekazywania i przechowywania danych, za czasów Gutenberga równie romantyczne, jak dzisiaj komputery. Tak się jednak dzieje - i jest to przypadek całkowicie nieprzewidywalny - że dotyk i wygląd książki w połączeniu z umiejącym czytać człowiekiem, siedzącym na prostym krześle, potrafi wytworzyć stan ducha pełen bezcennej głębi i znaczeń.

Ta forma medytacji, ten, jak powiedziałem, przypadek, to może największy skarb, leżący u fundamentów naszej cywilizacji. Nie rezygnujmy z książek, a wydrukowi i półprzewodnikom zostawmy tylko tępe, przyziemne sprawy”. (The end).

(Ksantypa, która ma własną karierę zawodową i własne dochody, od czasu do czasu nadal wylewa mi na głowę naczynie nocne. Gdyby nie ona, prawdopodobnie dawno umarłbym z nadmiaru snu. Zadrzemałbym się na śmierć; w najlepszym razie przestałbym chodzić do kina i teatru, czytać książki i czasopisma, wychodzić na dwór i tym podobne.

Moja Ksantypa jest tym, kogo George Bernard Shaw nazywał „kobietą siłą życia”).

W tym kawałku o książkach jako mantrach wspomniałem Abbiego Hoffmana. Zdaję sobie sprawę, że większość ludzi nie wie dziś, kto to był i co robił. Był geniuszem wyglądu, bo taki już się urodził, podobnie jak Lenny Bruce, Jack Benny, Ed Wynn, Stan Laurel, W.C. Fields, bracia Mara, Red Skelton, Fred Allen, Woody Allen i tak dalej. Należał do pokolenia moich dzieci. Zajmuje wysoką pozycję na mojej liście świętych - wyjątkowo odważnych, bezbronnych, podle opłacanych ludzi bez poparcia, którzy próbowali choćby odrobinę powstrzymać zbrodnie, jakich państwo dopuszcza się na

tych, co, jak powiedział Jezus Chrystus, na własność posiadają ziemię.

A robił to prawdą, gniewem i kpina.

Ostatnie lata krótkiego i obłąkańczo nieśmiesznego życia poświęcił ochronie przyrody w dolinie rzeki Delaware. Zostawił rodzinę bez centa przy duszy.

Miał na swym koncie przestępstwa, w tym nie-  
stawienie się przed sądem w sprawie o handel

narkotykami. Jednak jego najbardziej pamiętną zbrodnią było pogwałcenie niepisanego prawa, które brzmi: „Szkody wynikłe z potwornej indolencji władzy, jeśli nie są całkowicie niewybaczalne, niezrozumiałe i nie do naprawienia, mają być traktowane z pełnym szacunkiem”.

I tyle nam zostało z „prawa ludu do pokojowych stowarzyszeń, i do wnoszenia skarg do Rządu”. (Bo, jak powiedziałyby skorumpowana albo głupia głowa państwa: „Jeśli dziennik telewizyjny ze mną, któż przeciwko mnie?”).

Wątpię, czy wojnę w Wietnamie skróciły choćby o jedną mikrosekundę wygłupy Abbiego Hoffmana lub czyjakolwiek działalność (poza działalnością wroga, oczywiście). Na konferencji pisarzy (PEN) w Sztokholmie - wojna miała trwać jeszcze przez rok - powiedziałem, że niemal wszyscy amerykańscy artyści są jej przeciwni, tworząc jakby promień laserowy oburzenia opinii publicznej. Siła tego promienia, dodałem, równa się sile tortu bananowego z bitą śmietaną o średnicy jednego metra, upuszczonego ze stopnia drabinki, znajdującego się metr dwadzieścia nad ziemią.

Moja żona Jill („Ksantypa”) spędziła rok w Wietnamie w samym środku wojny. Robiła tam zdjęcia, częściej Wietnamczykom niż samej wojnie, na długo przed naszym poznaniem. Niektóre z tych ludzkich, pięknych zdjęć połączono z tekstem Deana Brelisha (wówczas korespondenta CBS) w książce Oblicze Wietnamu Południowego. Na pięćdziesiąte urodziny Jill otrzymała od Brelisha następujący list:

„Sto lat, Jill.

W tej milej chwili myśl powraca w czasy odległe o prawie dwadzieścia pięć lat, gdy byłaś w Wietnamie. Nie przewróciło ci się w głowie. Nikt zresztą nie miałby o to pretensji do pięknej kobiety, poruszającej się jak królowa wśród dziesiątek tysięcy mężczyzn. Ale nie ty. Ty kryłaś się za swoimi aparatami i zauważałaś to, czego nie dostrzegli inni. Nie nosiłaś broni, w przeciwieństwie do wielu innych dziennikarzy. Potrafiłaś odnaleźć cierpienia i biedę Wietnamczyków, szczególnie dzieci. Dotarłaś do samego sedna okrutnego nieszczęścia, jakie spadło na ten kraj. Często przyprawiało cię ono o łzy, ale nie cofnęłaś się na drodze poszukiwania prawdy. Za każdym obrazem uchwyconym przez Ciebie w Wietnamie kryje się całe Twoje serce i cały Twój umysł. A Twoje zdjęcia zawsze pytały: »Dlaczego?« Już samo to pytanie w nich zawarte kierowało Cię we właściwą stronę, ku prawdzie.

Kiedy przyjechałaś do Wietnamu, był to smutny, groźny kraj. Płonęły miasta, z wiosek ulotniło się życie, pola ryżowe leżały odłogiem, i pamiętam, jak przeklinałaś marnowanie tyłu istnień ludzkich, tych dzieci leżących w rynsztoku. Zaciskałaś pięść w złości i szłaś wraz z zakonniami pracować wśród nich, brnąc w tych odpadkach człowieczeństwa, by dać im choćby chwilę ciepła i nadziei tam, gdzie jej nie było. A ludzie Vietcongu patrzyli na to z bardzo bliska, i zostawiali was w spokoju. Wiedzieli, że łagodzicie ból. Kiedy pojechałem ostatnio do Ho Szi Min, miasta, które Ty pamiętasz jako Sajgon, jeden z tych z Vietcongu pokazał mi listę naszych, którym nie wolno było uczynić nic złego, i znalazłem tam Twoje nazwisko.

Twoje czyny i zachowanie w Wietnamie, podobnie jak Twoje zdjęcia, były dążeniem ku lepszemu światu. Mam nadzieję, że dziś czujesz, że trochę się ku niemu zbliżyłaś, gdy wyruszasz w kolejną podróż, ku setce lat.

Bo jak mówi stare, wietnamskie przysłowie, zabawa zaczyna się dopiero po pięćdziesiątce”.

Podpisano: „Twój stary kumpel, Dean Brelis”.

A więc święta jest też Ksantypa (M r s. Vonnegut). I świętym jest doktor Robert Maslansky, który leczy wszelkiego rodzaju nałogowców w nowojorskim szpitalu Bellevue i w więzieniach. (Kiedy idziemy razem na spacer, co chwila wita go po imieniu jakiś bezdomny). Świętymi są Tris Coffin i jego żona Margaret, którzy wydają czterostronicowy tygodnik The Washington Spectator. (Miesiąc temu powiedziałem im, że uważam ich za świętych, a oni na to, że są już za starzy, by się ze mną kłócić).

Mogę ogłaszać ludzi świętymi znacznie sprawniej, niż Kościół rzymskokatolicki, bo ja nie wymagam sądowych dowodów, że ten a ten potrafił przynajmniej trzykrotnie czynić czary z pomocą boską. Mnie wystarczy (w końcu jestem antropologiem), że dana osoba traktuje wszystkie rasy i klasy ludzkie z jednakowym szacunkiem i zainteresowaniem, oraz że jej podstawowym kryterium oceny ludzi nie są pieniądze.

Świętym jest Morris Dees, ten prawnik z południa, który z własnej inicjatywy stawia przed sądem pomioty Ku-Klux-Klanu (przez co naraża własne życie). (Klan twierdzi, że Dees jest Żydem, ale to nieprawda. Zresztą, nawet jeśli, to co?) Powiedziałem mu kiedyś, że chyba jest kopnięty. Zgodził się ze mną. Ech... No pewnie, i świętymi są też byli pracownicy Korpusu Pokoju, a obecnie CARE (teraz są już w średnim wieku), których spotkałem w Mozambiku. Nie tylko żyją w przyjacielskiej, mądrej harmonii z ludźmi, których tam spotkali, ale również uczą ich transportu, magazynierstwa i księgowości (brutalnych chwytów świata biznesu), by, gdy CARE pojedzie gdzie indziej (może do Leningradu?) w Mozambiku umierało z głodu jak najmniej ludzi.

A tymczasem w ojczyźnie (z punktu widzenia ludzi z CARE) armie Belzebuba prowadzą rasistowskokastowe kampanie polityczne, przejmują i likwidują firmy i bogactwa naturalne, okradają fundusze emerytalne, towarzystwa ubezpieczeniowe i kasy oszczędności, i wsadzają do więzień więcej osób nawet niż w Związku Radzieckim i RPA. (Takim to wzorem wolności jesteśmy dla reszty świata!)

Kiedyś zapytałem historyka Arthura Schlesingera juniora: „Jak podzieliłbyś ludzkość na dwie i tylko dwie kategorie, ale nie ze względu na płeć?” Namyslał się może przez dziesięć sekund, nim odpowiedział:

„Na Roundheads i Cavaliers” \*.

(„Kraęłe łby” to purytańscy, mieszczańscy zwolennicy Cromwella, „Kawalerowie” to rojalistyczna szlachta. Strasznie mi się to spodobało. Ja jestem Roundhead, a Ksantypa Cavalier). Kiedyś powiedziałem grafikowi Saulowi Steinbergowi: „Jest paru powieściopisarzy, z którymi w ogóle nie potrafię rozmawiać. Zupełnie jakbyśmy pracowali w kompletnie różnych zawodach, jakby jeden z nas był pediatrą, a drugi nurkiem głębinowym. Jak myślisz, czemu tak się dzieje?” Odpowiedział: „To bardzo proste. Istnieją dwa równorzędne rodzaje artystów. Jedni reagują na samo życie, drudzy - na historię swojej dziedziny sztuki”. (Oboje z Jill jesteśmy artystami pierwszego rodzaju; tylko dlatego mogliśmy się pobrać. Zbyt ni z nas barbarzyńcy i ignoranci, byśmy mieli reagować na historię naszych dziedzin sztuki).

\* W czasie angielskiej wojny domowej przezwiska dwóch zwalczających się stronnictw.

Otóż to; a teraz ja, skończywszy właśnie Widzialną ciemność \* Williama Styrona, krótki i eliptyczny opis jego ataku melancholii (być może z próbą samobójstwa), mogę stwierdzić, że również potencjalnych samobójców da się podzielić na dwie grupy. Tacy jak Styron winią za wszystko okablowanie i chemię własnego mózgu, czyli czegoś, co zmieściłoby się w każdej większej salaterce. Tacy jak ja winią Wszechświat. (Po co się tak brudzić?). Ta uwaga wcale nie ma być kolejnym żartem („Dlaczego śmietana jest droższa od mleka?”). Jestem przekonany, że ci z nas, którzy zostają humorystami (ze skłonnościami do samobójstwa i bez) nie krępują się (w odróżnieniu od innych ludzi) traktować życia jako świński żart, choć mają tylko życie i nic więcej. Robimy, równo robimy, równo robimy, równo robimy Co musimy, matnie musimy, mętnie musimy, matnie musimy:

Mętnie robimy, mętnie musimy, mętnie robimy, mętnie musimy, Aż się skończymy, sennie skończymy, sennie skończymy, sennie skończymy.

(Kończy się lato 1990 roku, i kończy się też moja praca nad tą książką. Zanim się obejrzymy, chwyci nas za gardło Boże Narodzenie. Mój starszy brat Bernard twierdzi, że w okolicy Bożego Narodzenia czuje się, jakby ktoś prał go pęcherzem po pysku).

Szekspirowski Hamlet, gdy zestawia ewentualne konsekwencje skończenia ze sobą „nagim sztyltem” \*\* (środki nasenne, spaliny samochodowe i Magnum kaliber .357 były wówczas nieosiągalne), nie bierze pod rozwagę rozpacz i smutku, jakie sprawi tym, którzy będą żyli dalej. A przecież jest nie tylko bliskim przyjacielem Horacja i ukochanym przemilej

\* Nie mylić z książką innego Williama, Goldinga, pod tym samym tytułem. \*\* Przekład S. Baran czaka.

Ofelii, ale również przysłym królem Danii. (Przypomina się znacznie późniejsza abdykacja Edwarda VIII, który nad tron angielski przedłożył miłość rozwódki z Baltimore o świdrujących oczkach. Mój kolega po piórze, Sidney Zion, powiedział niedawno przy kolacji, w mieszanym towarzystwie, a propos Edwarda VIII, że miłość francuska zawsze miała wpływ na losy świata. W naszych czasach niektórzy ludzie są tacy dosłowni!)

Jeżeli Hamlet miał nadzieję, że będą go pamiętać, gdy już zatrzaśnie te wielkie drzwi (albo gdy

ktoś zatrzśnie je za nim), jestem pewien, że by to oświadczył. Mark Twain (którego twórczość sprawia wrażenie, że zależało mu na pamięci potomnych) powiedział, że jego sława ma szansę przeżyć jego ciało, choćby niewiele, bo w swoich dziełach starał się moralizować. (I jego sława rzeczywiście przeżyła jego ciało). Jestem przekonany, że moralizowałyby i tak; zwrócił uwagę, że (mniejsza z tym, z jakiego powodu) moralizują wszystkie dawne dzieła, które mimo upływu lat, czy nawet wieków, nadal są interesujące. Zaraz przychodzi na myśl antologia zwana przez nas Biblią. Należy wymienić tu jeszcze Lizystratę Arystofanesa (ok. 448-380 r. p.n.e.), drugie orędzie Abrahama Lincolna (1809-1865), Kandyda Woltera (1694-1778), Jądro ciemności Josepha Conrada (1857-1924), Teorię klasy niepracującej Thorsteina Veblena (1857-1929), Antologię Spoon River Edgara Lee Mastersa (1869-1950), Podróże Guliwera Jonathana Swifta (1667-1745), Dzisiejsze czasy Charliego Chaplina (1889-1977) i tak dalej. A więc dobra rada dla młodego pisarza, który chce obejść moralność: „Moralizuj”. Ja dodałbym do tego taką poprawkę: „Ale staraj się, żeby brzmieć przy tym prosto i niezbyt poważnie”. Zaraz przychodzi na myśl Don Kiszot Miguela de Cervantesa (1547-1616). Natomiast nie przychodzą na myśl kazania Cottona Mathera\* (1663-1728).

Louis-Ferdinand Celinę, francuski faszysta (i lekarz), o którym pisałem w Niedzieli palmowej> usiłował, być może, zyskać trochę nieśmiertelności dzięki celowej, całkowicie niegodziwej niemoralności. Rozmawiałem o nim kiedyś z Saulem Steinbergiem, głośno dziwiąc się, że tak zabawny, mądry i utalentowany pisarz wplatał w swe utwory - które, gdyby nie to, mogłyby zostać uznane za arcydzieła - obrzydliwe napaści na Żydów w ogólności a - uwierzycie? - kpiny z pamięci Anny Frank w szczególności. „Czemu, czemu, i jeszcze raz czemu musiał brukać cudownie niewinnego ducha Anny Frank?” - pytałem.

Steinberg wycelował palec wskazujący w mój mostek i odpowiedział: „Bo chciał, żebyś ty o nim pamiętał”.

(Steinberg to chyba najinteligentniejszy człowiek w Nowym Jorku. Być może również największy melancholik. Mieszka bardzo, bardzo daleko od swych rodzinnych stron; urodził się w roku 1914 w Rumunii. Za najśmieszniejszy żart świata uważa następującą definicję irlandzkiego homoseksualisty: „Człowiek, który woli kobiety od whisky”).

Nie obchodzi mnie, czy po mojej śmierci ktoś będzie o mnie pamiętał. (Pewien naukowiec, którego znałem jeszcze z General Electric, a miał żonę imieniem Josephine, powiedział mi kiedyś: „Po co mam wykupować polisę na życie? Jak umrę, nie będzie mnie obchodziło, co się dzieje z Jo. Nic nie będzie mnie obchodziło. Będę nieżywy”).

Jestem dzieckiem Wielkiego Kryzysu (podobnie jak moje wnuki). A w czasie Wielkiego Kryzysu każda praca to cud. Wtedy, w latach trzydziestych,

\* Purytański historyk i kaznodzieja, jeden z pierwszych pisarzy amerykańskich. jeżeli ktoś dostał pracę, świętował to przez cały dzień, a o to, co to za praca, pytano go dopiero gdzieś tak koło północy. Praca to praca. Dla mnie pisanie książek czy czego tam jeszcze to praca, jak każda inna. Kiedy moje dojne krowy, czyli czasopisma ilustrowane, wyparła telewizja, zamiast pisać do nich pisałem reklamy, sprzedawałem samochody, wynalazłem nową grę planszową, uczyłem w prywatnej

szkole bogate, beznadziejne dzieciaki i tak dalej. Nie uważałem wcale, że muszę wrócić do pisania, bo jestem to winny sobie czy światu, czy jeszcze czemuś. Pisarstwo było po prostu pracą, którą straciłem. Strata pracy dla dziecka Wielkiego Kryzysu nie różni się wiele od straty portfela czy kluczy. Trzeba sobie załatwić nową.

(W czasie Wielkiego Kryzysu jedna z żartobliwych odpowiedzi na pytanie o pracę, jaką się dostało, brzmiała: „Czyszczenie z ptasich góvien zegarów z kukułką”. A inna: „W fabryce majtek damskich. Mam ściągać pięć tysięcy rocznie”).

Większość ludzi mojego wieku i klasy społecznej jest już na emeryturze, niezależnie od tego, jaką mieli pracę. I dlatego wydaje mi się, że krytycy całkiem niepotrzebnie (a nawet głupio) twierdzą, że przestałem się dobrze zapowiadać. Jeżeli uważają, że sprawiłem im zawód, niech popatrzą, co upływ czasu zrobił z Mozartem, Szekspirem i Hemingwayem.

Mój ojciec, im był starszy (a umarł w wieku siedemdziesięciu dwóch lat), tym bardziej był roztargniony. Ludzie jakoś mu to wybacжали, więc mam prawo oczekiwać, że wybaczą również mnie. (Ani ja, ani ojciec nie mieliśmy żadnych złych zamiarów). Pod koniec życia ojciec, i to kilka razy, nazwał mnie Bozo. Kiedy byłem dzieckiem, mieliśmy takiego foksteriera szorstkowłosego, ale Bozo nawet nie należał do mnie, tylko do mojego starszego brata, Bernarda). Ojciec przeprosił mnie, że nazwał mnie Bozo, a dziesięć minut później zrobił to znowu. Przez ostatnie trzy dni życia (mnie przy tym nie było) bez przerwy szukał w szufladach i na półkach jakiegoś dokumentu. Było to coś ważnego, ale też i tajemnica; nikomu nie chciał powiedzieć, o co chodzi. Nie znalazł go ani on, ani my, więc nie dowiemy się już, o co chodziło.

(Nigdy nie zapomnę ostatnich słów aktora Johna Barrymore'a, które wypowiada w Dobranoc, słodki książę: „Jestem nieślubnym synem Buffalo Billa”).



## XXI

Wiele ludzi uważa, że humor (nie licząc zawodowego rozśmieszania) to metoda samoobrony, którą wolno stosować tylko członkom uciskanych mniejszości. (Sam Mark Twain nazwał się biednym, białym śmieciem). Jakie okropne wrażenie muszę sprawiać ja, wykształcony przedstawiciel klasy średniej pochodzenia niemieckiego, że nic, tylko stroję żarty. Wierzcie mi, nawet gdybym śpiewał w kółko rzewny repertuar patriotyczny, i to ze łzami w oczach, niczego by to nie zmieniło.

(Saul Steinberg opowiadał kiedyś o muzykach,

czyli rosyjskich chłopach pańszczyźnianych. Przerwałem mu, że ja też byłem kiedyś muzykiem. „A jakżeś ty mógł być muzykiem?” - zawołał. Siedzieliśmy nad moim basenem w Hampton. Ja na to: „Przez trzy lata wojny byłem szeregowcem”).

W otwartym porcie, takim, jakim jest Nowy Jork, dokąd przybywają ludzie każdej rasy i wykształcenia (jak do Kalifornii podczas gorączki złota w 1849 roku), by znaleźć szczęście lub zgubę, wszyscy szufladkują wszystkich na podstawie najdrobniejszych różnic rasowych, zwykle nie mówiąc tego głośno (chyba że dzieje się to w gniewie czy strachu). I tak rozmawiając z pisarzem Peterem Maasem przez cały czas pamiętam, że jest on w połowie Irlandczykiem, w połowie Holendrem, a z Kedikai Lipton („Miss Scarlet” z pudełka gry Clue firmy Parker Brothers), że to pół-Japonka, pół-Irlandka. Kiedy rozmawiam z moim najlepszym przyjacielem (bo czystej krwi Irlandczyk Bernard V. O’Hare śpiewa teraz w anielskim chórze), Sidneyem Offitem, pamiętam, że jest Żydem.

Podobnie wszyscy zawsze pamiętają, że jestem

Niemcem - bo nim jestem. (Reżyser filmowy Sidney

Lumet spytał mnie parę lat temu na jakiejś bar-micwie, kim jestem, czy Holendrem, czy Duń-

czykiem, a ja odpowiedziałem mu bezgłośnie, ale tak, żeby domyślił się z ruchu warg: „Szkopem”.

Roześmiał się. Kiedy rozpadało się moje pierwsze małżeństwo, chodziłem z jedną, naprawdę niezłą, pisarką-Żydówką. Któregoś dnia usłyszałem, jak mówi przez telefon do swojej koleżanki, że wyglądam jak esesman).

Ludzie pytają mnie, jak zapatruję się na zjednoczenie Niemiec. Odpowiadam, że to, co nam się podoba w kulturze niemieckiej, dały nam Niemcy podzielone, a to, czego słusznie nienawidzimy - Niemcy zjednoczone.

(Najbardziej przerażającą cechą Niemców w Niemczech jest to, że oni naprawdę uwielbiają wojować z innymi białymi narodami. Kiedy byłem w niewoli, jeden ze strażników, niedobitek z frontu wschodniego, wyśmiewał sukcesy wojskowe imperialnej Anglii. Mówił po angielsku: „Oni i te ich wojny z czarnuchami”. Jeżeli jeszcze żyje i słyszał o Grenadzie, Panamie, Nikaragui i tak dalej, pewnie śmieje się teraz znaszyc wojen z czarnuchami).

Nienawiść naszych Anglosasów podczas pierwszej wojny światowej (nie było mnie wtedy na świecie) do wszystkiego, co niemieckie okazała się tak ostra, że gdy nadszedł czas na drugą, w Ameryce nie znalazłoby się prawie żadnych instytucji szczycących się swym niemieckim pochodzeniem (mam na myśli również mojego ojca). Amerykanie niemieckiego pochodzenia stali się (w geście samoobrony i ze wstydu za cesarza Wilhelma, a potem Hitlera) najmniej pielęgnującym

rodzinne tradycje segmentem naszej białej ludności. (Kto to był, ten jakiś Goethe? Kto to był, ten jakiś Schiller? Zapytajcie Casey'a Stengela \* albo Dwighta Davida Eisenhowera).

Jeden na czterech Amerykanów pochodzi od emigrantów z Niemiec, a który z dzisiejszych polityków zastanawia się, jakby tu zapewnić sobie głosy elektoratu niemieckiego? (Mnie to nie przeszkadza).

Żałuję tylko, że nie przeżył tej zagłady niemieckoamerykański ruch wolnomyślicielski, gdyż mógłby stać się wielką rodziną milionów porządnych Amerykanów, którzy czują, że wszystkie wielkie pytania o życie wciąż nie doczekały się odpowiedzi, nie licząc oczywiście sfabrykowanego przez starego człowieka steku zabobonnych bzdur. Przed pierwszą wojną światową Wolnomyśliciele zbierali się na sympatycznych spotkaniach, nawet na piknikach, w wielu częściach kraju. Czemu, jeśli nie Bogu, służyli podczas swego krótkiego pobytu na Ziemi? Bo zawsze można było służyć jednemu: własnej społeczności. A po co spełniać dobre uczynki (spełniali je), skoro wiedzieli, że nie czeka ich ani Niebo, ani Piekło? Cnota była dla nich sama w sobie nagrodą.

Gdyby dziś istniały Towarzystwa Wolnomyślicieli, osamotnieni racjoniści, potomkowie Oświecenia, nie musieliby zastanawiać się, czy nie pozbyć się mózgow, albo nie zrobić z własnych głów dyniowych lampionów halloweenowych, a za to łatwiej znaleźć sobie bratnie dusze.

\* Słynny baseballista.

Rozważałem napchanie Dodatku długim esejem o wolnomyślicielstwie, napisanym w Indianapolis przez mojego pradziadka, Clemensa Vonneguta, u progu tego zepsutego, krwawego stulecia. Dziadek nie był świętym człowiekiem, tylko zwykłym handlarzem artykułami żelaznymi („Dostaniesz to u Vonneguta”), który praktykował medytację w zachodnim stylu, czyli czytanie książek. Jego esej jest tworem równie świeckim jak Przysięga Hipokratesa, której od tysiącleci przestrzegają przywoici lekarze. W końcu zostawiłem po egzemplarzu w Nowojorskiej Bibliotece Publicznej i Bibliotece Kongresu, i dałem sobie z tym spokój.

Tu kończy się (ku mojemu zdziwieniu) jeszcze jedna książka, którą napisał nie kto inny, tylko ja. (Kiedy mieszkałem na przylądku Cod, zamówiłem u tamtejszego stolarza drugie skrzydło domu, które ten zbudował własnoręcznie, w pojedynkę. Po zakończeniu pracy zrobił coś wspaniałego. Powiedział:

„Jak mi się to udało?” Tak właśnie rozkwita wciąż i gnije Wszechświat w fazie rozwoju. Ten stolarz i ten z Przedmowy, który się zastrzelił, to dwie różne osoby. Ten, który zrobił przybudówkę, nazywał się Ted Adler, po niemiecku „orzeł”; urodził się w USA, walczył przeciwko Niemcom we Włoszech).

W mojej pierwszej książce, Pianoli (wydanej, bagatelka, trzydzieści osiem lat temu, przed wejściem do powszechnego użytku tranzystorów, w czasach, gdy maszyny sprawiające, że człowiek przestaje być potrzebny, były jeszcze olbrzymie, a myślały za pomocą próżniowych lampek), zadałem pytanie, które jest dziś jeszcze trudniejsze: „Po co nam ludzie?” Ja mam odpowiedź: „Do obsługi”. W Hokus pokus, mojej ostatniej - przed niniejszą - książce, wyznaję, że wszyscy chcieliby tylko budować, a nikt nie chce zająć się obsługą. To właśnie jest grane. Tymczasem pomaga nam trochę prawda, dowcipy i muzyka.

(Drugi co do śmieszności przywoity dowcip świata opowiedział mi osobiście wielki komik Rodney Dangerfield. Wystąpiliśmy kiedyś razem w jednym filmie. Opowiadał o swoim wuju, którego podziwiała za czystość cała okolica. Starszy pan brał codziennie sześć, siedem, osiem, a czasem aż dwanaście tuszów czy kąpieli. Gdy umarł, cały kondukt pogrzebowy przeszedł w drodze na cmentarz przez myjnię samochodową).

I znów przychodzi czas powiedzieć „Auf Wiedersehen”.

Człowiekiem, którego szczególnie mam na myśli mówiąc te słowa, jest oczywiście (choć wiem, że życie to krótka chwila między czernią a czernią) Bernard V. O'Hare.

Pradziadek Clemens zakończył esej o wolnomyślicielstwie fragmentem własnego tłumaczenia wiersza Goethego. Chyba pójdę za jego przykładem:

Podlegli wiecznym.

Niewzruszonym prawom.

Musimy wciąż zataczać

Kręgi naszego istnienia.

Sam człowiek jest zdolny

Czynić, co niemożliwe.

On sam oddziela ziarno od plew,

wybiera i sędzi;

Potrafi przedłużyć w wieczność krótką chwilę.

On sam potrafi

Nagradzać dobrych,

Karać występnych,

Uzdrowiać i zbawiać,

I w użyteczne łączyć

Co błędzi samotnie.

Dodatek

CO MÓJ SYN MARK CHCIAŁ, ŻEBYM PO-  
WIEDZIAŁ PSYCHIATROM W FILADELFIN;

# RÓWNOCZEŚNIE POSŁOWIE DO NOWEGO

WYDANIA JEGO KSIĄŻKI THE EDEN EXPRESS

Wydarzenia opisane w The Eden Express miały

miejsce niemal dwadzieścia lat temu. Od tego czasu zmieniło się wiele. Twierdzenie, że choroby umysłowe w znacznej mierze wynikają z czynników biochemicznych, nie jest teraz niczym nowym. Nastąpił zwrot o sto osiemdziesiąt stopni: dzisiaj rzadko słyszy się zdanie, że choroby umysłowe są wyłącznie umysłowe. Pogląd, że obłęd wywołują doznane w dzieciństwie urazy, a najlepsza forma leczenia to rozmowa i zrozumienie, jest obecnie bardzo staroświecki. Dobrze, że tak się dzieje, choć nie oznacza to wcale, że wyeliminowano w ten sposób wstyd, potępienie i poczucie winy, które potęgują cierpienia chorych umysłowo oraz ich rodzin.

Zmieniła się kliniczna definicja schizofrenii. Dawniej istniało pewne pomieszanie pojęć w odniesieniu do ludzi takich, jak ja. Według nowej terminologii zdiagnozowano by u mnie nie schizofrenię, lecz zespół maniakalnodepresyjny. Nie chorowałem zbyt długo i wszystko nie potoczyło się według najgorszego scenariusza, więc nie obejmuje mnie obecna definicja schizofrenii. I choć chce się powiedzieć, że to tylko nic nie wnosząca zmiana etykietek, i że w dodatku nieuczciwie jest zmieniać reguły gry, kiedy opierając się na starych zdążyłem napisać całą książkę, muszę przyznać, że i to jest pewnie zmianą pozytywną, bo oznacza, że o wiele mniej osób w ostrym załamaniu nerwowym będzie teraz uznawanych za przypadki beznadziejne. Prędzej czy później ktoś wynajdzie proste badanie krwi, które ustali, kto na co choruje i jakie należy zastosować leczenie. Nim to nastąpi, pozostają nam spory o etykiety i przesłanki, bo to na razie najkrótsza droga ku prawdzie, jak pomagać ludziom.

Istnieje prawdopodobnie kilkanaście odrębnych schorzeń odpowiedzialnych za to, co obecnie nazywamy schizofrenią i zespołem maniakalnodepresyjnym. Zanim sprawa zostanie definitywnie rozstrzygnięta, można twierdzić wiele rzeczy; właściwie wszystko jest możliwe. Ten brak jakiegokolwiek pewności to wspaniałe pole do popisu dla spekulacji intelektualnych oraz prawdziwe piekło dla pacjentów oraz ich rodzin.

Kiedy pisałem tę książkę, wydawało mi się, że do mojego wyzdrowienia w znacznym stopniu przyczyniły się wielkie dawki witamin, którymi byłem leczony, w połączeniu z innymi, bardziej konwencjonalnymi metodami terapeutycznymi. Żywiłem nadzieję, że wiele osób, u których zdiagnozowano schizofrenię poczuje się lepiej, gdy ich lekarze staną się bardziej otwarci na sugestie, żeby leczyć witaminami. Potem widziałem na własne oczy, że ludzie po dokładnie takich, jak moje, załamaniach nerwowych zdrowieli tak samo, jak ja, choć wcale nie stosowano u nich terapii witaminowej. Widziałem też wiele przypadków, w których terapia witaminowa nie pomogła w ogóle, i wiele innych, co do których nie wiadomo właściwie czy pomogła, czy nie.

Nadal czuję wielką sympatię do moich lekarzy. Byli dobrzy niezależnie od tego czy leczyli mnie witaminami, czy nie; o metodzie tej sądzili zwykle, że nie zaszkodzi, a może pomóc.

Natomiast nie mogę dłużej twierdzić, że moje ozdrowienie zawdzięczam przede wszystkim właśnie witaminom. Nie zmieniłem tekstu mojej książki, gdyż uważam, że wszystko powinno zostać tak, jak napisałem. Nadal jestem z niej bardzo dumny, choć jeżeli wolno by mi było wycofać się z jednej linijki, wykreśliłbym „The more the vitamins took hold..”\* (str. 201).

Opuściłbym też te ustępy na końcu książki, które opisują, gdzie można znaleźć więcej wiadomości na temat terapii witaminowej.

Życie obeszło się ze mną łaskawie. Udało mi się dostać na studia medyczne, ukończyć je, a przy tym cieszyć się tym, co robię. Zajmuję się pediatrią, która to praca daje mi wiele satysfakcji. Mam

dwóch zdrowych synów i nadal kocham moją żonę. Dziwię się sam sobie, jak bardzo przejmuję się Red Soxami\*\*.

Nadal myślę wiele o latach sześćdziesiątych i o tym, jak starałem się być dobrym hippisem. Nie mam żadnych złudzeń, że rozumiem teraz, co wtedy się działo, ale jest kilka rzeczy, które warto powiedzieć. Wcale nie byliśmy tymi pozbawionymi kontaktu z rzeczywistością, eterycznymi, egotycznymi, rozkrochmalonymi, skamlącymi dziećmi kwiatami, jak to ukazują filmy i telewizja, usurpujące sobie prawo do oceny tej epoki. Prawda, mieliśmy zbyt mało lat i doświadczenia, okazaliśmy się też zbyt podatni na złe wpływy socjopatycznych guru w średnim wieku. I źle się to wszystko skończyło, narkotyki też zrobiły swoje; ale przedtem hippisi zrobili wiele dobrego. Byli odważni, uczciwi i szczerzy, i musieli za to zapłacić.

\* „Im bardziej witaminy opanowywały...”

\*\* Drużyna baseballowa z Bostonu.

Jestem pewien, że nikt tego nie sprawdzi, ale wydaje mi się, że kalekich i głęboko zranionych ekshippisów jest tylu, co weteranów wojny wietnamskiej.

Cokolwiek by mówić, w tamtych czasach wszystko stanęło na głowie. Dorośli oznajmili nam niemal wprost, że oni nie mają pojęcia, co robić, i że świat musimy naprawić my, najlepsze, najdzielniejsze, najinteligentniejsze dzieci, jakie kiedykolwiek żyły na Ziemi. A my zrobiliśmy wszystko, co w było w naszej mocy; cieszę się, że uczestniczyłem w tym.

## UWAGI

Wyszkolceni hippisi, tacy jak Mark, którzy podczas wojny wietnamskiej byli w wieku poborowym i w dobrym stanie zdrowia, ale nie musieli w tej rzezi narażać na szwank życia, są rzeczywiście tak samo kalekami, jak ci, co tam walczyli, mają jednak rany innego rodzaju. Najbardziej bolesną z nich jest, jak sądzę, uczucie wstydu, że należą do klasy społecznej (mojej klasy społecznej) tak uprzywilejowanej przez państwo, że jej młodzi przedstawiciele (poza nielicznymi wyjątkami) nie musieli iść na wojnę, jeżeli nie chcieli. Ja sam znam tylko jedną twarz, jedną osobowość, którą potrafiłbym dopasować do jakiegoś nazwiska wyrytego na waszyngtońskim pomniku walczących w Wietnamie: był to syn lekarza, znany Leser. Jego rodzice uznali, że dyscyplina wojskowa dobrze mu zrobi. Nim się obejrżeli, synek wrócił do domu wyprężony na baczność - na zawsze, w worku na zwłoki.

Znam jeszcze tylko jednego ojca, bogatego plantatora ziemniaków (na jego korcie grywałem dawniej w tenisa z Sidneyem Offitem), który stracił w Wietnamie syna. I on, i ten syn (nie znałem go) byli typowymi patriotami, takimi, jak większość Amerykanów podczas drugiej wojny światowej, kiedy to wszystkie klasy społeczne dość równo i godnie dzieliły wszystkie wyrzeczenia oraz niebezpieczeństwa. Ojciec i syn uważali, że zabijanie lub narażanie na szwank swego życia na wojnie jest dla młodego człowieka nie tylko obowiązkiem, ale i zaszczytem. Sam w to wierzyłem, i słusznie, podczas drugiej wojny światowej. Gdybym wtedy poprosił rodziców, żeby podlizali się jakiemuś politykowi i w ten sposób załatwili mi przydział na głębokich tyłach, popełniłbym we własnych oczach (i w oczach moich dzieci, gdyby się kiedyś o tym dowiedziały) rzadkie świństwo; byłoby to jakby samobójstwo mojego sumienia. Mark odziedziczył po mnie podobne sumienie (tak samo, jak dzieci O'Hare'a i tak dalej, i tak dalej). Więc gdyby musiał je zranić, jeżeli nie zabić, po to, żeby nie trafić w koszmar Wietnamu, byłoby to bardzo bolesne. Podobnie jak wielu z jego pokolenia, stał się człowiekiem bez ojczyzny, ponieważ jego państwo zachowywało się względem młodych ludzi swych warstw niższych, nie mówiąc już o Wietnamczykach, w sposób nie tylko okrutny i marnotrawny, ale, jak wielokrotnie powtarzałem, makabrycznie idiotyczny.

Markowi nie podobało się w USA, i słusznie, więc choć nie podlegał już poborowi i nie musiał przed niczym uciekać - poza władzą, która (tak jak i dziś) silnie faworyzuje jego własną rasę i klasę ekonomicznointelektualną - wyjechał do Kanady. Wszystko to opisał w *The Eden Express*. Dalszy ciąg książki (a mam nadzieję, że doczekamy się go, bo z Marka taki dobry pisarz) opowie o tym, jak to się stało, że udało mu się wyleczyć ze swojego fioła, że skończył medycynę na Harvardzie, że jest teraz pediatrą i saksofonistą w średnim wieku, że ma dwóch synów, że praktykuje na obrzeżach Bostonu... (Pielęgniarki stanowego szpitala w Massachusetts wybrały go ostatnio swym ulubionym pediatrą, a wśród jego młodych pacjentów znalazł się też wnuk mojego nieżyjącego przyjaciela, Bernarda Malamuda).

Jedyną zbrodnią przeciwko władzy, jakiej dopuścił się Mark (i Abbie Hoffman oraz tylu innych ludzi ich pokolenia podczas wojny wietnamskiej), była subtelnie jeffersonowska forma zdrady: brak poszanowania.

Moją powieść o drugiej wojnie światowej opatrzyłem podtytułem *Krucjata dziecięca\**. Tylko że średni wiek amerykańskiego trupa podczas mojej wojny wynosił dwadzieścia sześć lat - stary koń! W Wietnamie trup amerykański miał o całe sześć lat mniej, tyle, ile czterej uczestnicy manifestacji antywojennej, zastrzeleni w roku 1970 przez Gwardię Narodową (dekowników w mundurach, bo Gwardia Narodowa reklamowała od wojska) na Kent State University w Ohio. Ponieważ najbardziej widoczni ludzie protestujący przeciwko wojnie - znajdowało się wśród nich wielu takich, którzy zdążyli już wrócić z Wietnamu - byli tak młodzi, wszystko, co sobą reprezentowali, mogło zostać

zlekceważone przez ich przeciwników jako oznaki niedojrzałości. Mówiono tak: starają się ratować ludzkie życie i mienie, ale ich wygląd i sposób bycia (i muzyka, i związane z seksem emocje i niepewności) sprawiają, że nie nadają się do tak poważnej roli.

Z myślą o podobnych uprzedzeniach przygotowałem kiedyś schemat krótkiego opowiadania (nigdy go nie napisałem), które miało nazywać się „Tańczący głupek”. Potem wprowadziłem taki wątek do jednej z moich powieści:

„Na Ziemię przybył latającym talerzem stwór imieniem Zog. Miał wytłumaczyć Ziemianom, jak „Rzeźnia numer pięć”, przekład L. Jęczmyka. zapobiegać wojnom i jak leczyć raka. Zog przywiózł tę wiedzę z Margo, planety, której mieszkańcy porozumiewają się za pomocą pierdnieć i stepowania. Zog wylądował nocą gdzieś w Connecticut. Gdy tylko wyszedł z talerza, zobaczył, że pali się jakiś dom. Wbiegł do środka, pierdząc i stepując, by ostrzec ludzi o grożącym im niebezpieczeństwie. Pan domu rozkwaśił mu głowę kijem golfowym”.

Gdyby Abbie Hoffman był moim synem, w czasie wojny w Wietnamie powiedziałbym mu, że postępuje właściwie. I ostrzegłbym go, że ryzykuje życie dla dobra swych rodaków.

## KAREL ČAPEK, „O LITERATURZE”, ZE ZBIORU

„W STRONĘ RADYKALNEGO CENTRUM” (CAT-BIRDt PRESS, 1990)\*

Wybaczcie, że zacznę nie od literatury, ale od czegoś całkiem innego, od czasów, gdy byłem jeszcze małym chłopcem. Typowy chłopiec z miasta to jakby superchłopiec, urodzony sceptyk, pan ulic; nic dziwnego, że pogardza wieśniakami, wsiurami, łykami i chamami - bo tak nazywa chłopców ze wsi.

Typowy chłopiec ze wsi czuje niezmierną a uzasadnioną pogardę do miastowych, bo on jest przecież panem pól i lasów; zna się na koniach i żyje za pan brat ze zwierzętami gospodarskimi; umie strzelać z bata i rządzi wszystkimi skarbami ziemi, od witek wierzbowych po dojrzałe makówki. A i chłopiec z małego miasteczka na prowincji nie jest najpośledniejszym wśród władców tego świata, bo widzi wokół siebie więcej, niż jakikolwiek inny śmiertelnik: z blis-

\* Przekład z ang. Jan Rybicki (tekst ten nie był dotąd tłumaczony na jęz. polski). ka przypatruje się ważnym dziedzinom ludzkiej działalności.

Kiedy ja sam byłem takim chłopcem w prowincjonalnym miasteczku, widziałem w domu, jak pracuje lekarz; u dziadka mogłem przyglądać się pracy młynarza i piekarza, co było szczególnie zabawne i piękne. U wuja widziałem, co robi rolnik; gdybym wyliczał dalej, nigdy nie skończyłbym wymieniać wam wszystkiego, czego się nauczyłem. Nasz najbliższy sąsiad był malarzem, który pokrywał ściany wzorkiem z rolki, a to przecież niezwykle pasjonująca praca. Czasem pozwalał mi mieszać kolory w słoikach, a raz dane mi było, pękającemu z dumy, przejechać zamoczoną w farbie rolką po ścianie. Wzorek wyszedł krzywo, ale poza tym wydawał mi się świetny. Nigdy nie zapomnę, jak ten malarz maszerował tam i z powrotem po deskach rusztowania, gwizdząc pod nosem, wspaniale spryskany wszystkimi barwami tęczy; jak cudownie prosto pokrywał ścianę wzorkami, a czasem nawet malował coś odręcznie - choćby, na suficie, zadziwiająco dobrze ożywioną różę w kolorze nieświeżej wątróbki. Takie było dla mnie pierwsze objawienie sztuki malarskiej, dla której straciłem wtedy głowę, i której do dziś kochać nie przestałem. I jeszcze codziennie chodziłem popatrzeć, jak pracuje szynkarz, jak wtacza się beczki do piwnicy, jak toczy się piwo, jak zdmuchuje się pianę; i słuchałem, jak mądrze bajają miasteczkowi gawędziarze, gdy tę samą pianę ocierają z wąsów wierzchem dłoni. Codziennie zaglądałem do szewca z sąsiedztwa i w milczeniu przyglądałem się jak tnie skórę, jak tłucze ją na kopycie a potem przykłada do obcasa, i wiele innych rzeczy, bo szewstwo to skomplikowane i delikatne zajęcie, a kto nigdy nie widział, co dzieje się ze skórą w dłoniach szewca, ten nie wie o niej nic, choćby nosił buty z kurdybanu czy nawet z niebiańskiej skórki. W sąsiedztwie mieszkał też kataryniarz, i jego odwiedziłem w domu; jaki byłem zdziwiony, że u siebie nie gra na katarynce; siedział tylko i wpatrywał się w kąt pokoju, aż zrobiło mi się nieswojo. I żalobny kamieniarz, który rzeźbił w kamieniu krzyże i dziwaczne, karłowate, przysadziste aniołki; potrafiłem stać całymi godzinami i patrzeć, jak pracuje nad niewidzącym okiem frasobliwego aniołka. I jeszcze, ha, ha! tak! i jeszcze kołodziej, i piękne drewno, sypiące skry, i podwórko, pełne pędzących kół, jak powiada Homer; a koło, jak wiecie, jest cudem samo w sobie. I kowal w swej kuźni; pękałem z dumy, gdy pozwalał mi czasem dmuchać miechem podczas gdy on, niczym czarny Cyklop, podgrzewał do czerwoności sztabę żelaza i tłukł w nią młotem, aż sypały się skry; a gdy zakładał koniowi podkowę, wokół roznosił się swąd spalonego rogu; koń obracał na kowala swe



mądre oczy, jakby chciał powiedzieć: „No, rób swoje, nie będę się wiercił”.

Trochę dalej mieszkała Tońka, prostytutka; nie bardzo rozumiałem, na czym polega jej zawód, i mijałem jej dom z dziwną suchością w gardle. Raz zajrzałem przez okno, ale pokój był pusty: pasiasta kołdra na łożku, nad nim palma z bazi. Patrzyłem, jak pracują właściciele przędzalni, jak przebiegają przez swe biura, i wybierałem z ich koszy na śmieci zagraniczne znaczki; i przyglądałem się ich pracownikom przy kadziach ze zgrzebiem, i tkaczkom przy tajemniczych, mechanicznych warsztatach; zstępowałem w rozpaloną do czerwoności otchłań suszarni juty i piekłem się przy kotłach wraz z palaczami, podziwiając ich długie łopaty, które sam z trudem dźwigałem. Odwiedzałem rzeźnika, zawsze zastanawiając się, czy nie utnie sobie palca; i sklepikarza, patrząc, jak waży i mierzy; i blacharza; i cieślę, u którego wszystko huczało i stukało. I chodziłem do przytułku, patrzeć, co robią biedacy - któregoś piątku poszedłem z nimi na targ do miasta, by dowiedzieć się, jak wygląda zawód żebraka.

Teraz mam własny zawód, którym param się przez cały boży dzień. Ale choćbym wynosił się z pracą na werandę, nie sądzę, by przyszedł do mnie choćby jeden chłopiec - postać chwilę na jednej, bosej nodze, o której łydkę pocierałby drugą - patrzeć mi na palce, by dowiedzieć się, jak pracuje pisarz. Nie twierdzę, że to zawód zły czy bezużyteczny, ale nie należy on też do tych najpiękniejszych, najbardziej pasjonujących, a i tworzywo jest dziwne - bo niewidzialne. Chciałbym jednak, żeby było w nim to wszystko, co niegdyś widywałem: dźwięczne brzęki kowalskiego młota i barwy pogwizdującego malarza, ciepłiwość krawca i precyzja kamieniarza, pośpiech piekarza, pokora biedaków, i ta zwierzęca siła i zręczność, z jaką wielcy, dorośli ludzie krzątają się przy pracy przed zadziwionymi, zafascynowanymi oczyma dziecka.

## UWAGI

Naukowcy, tacy jak mój brat Bernard, zajmujący się badaniami podstawowymi, też mają oczy pełne dziecięcej fascynacji i zadziwienia. Cechę tę posiadam w tym samym stopniu, co Bernard. Jednak jego fascynacja dotyczy tylko zwierzęcej siły i zręczności wszystkiego, co stworzył Wszechświat. Choć Bernard znajduje się o dwieście kilometrów stąd i nie rozmawiałem z nim przez telefon już chyba całe trzy dni, jestem pewny, że myśli o burzach. On z kolei może być pewien, że ja, jak zwykle, myślę o ludzkiej złości. Ale kiedy odbywam medytacje w stylu zachodnim nad tekstem Ćapka, kiedy wpatrując się w małe, czarne znaczki na zadrukowanej stronie sprawiam, że opada ze mnie cały świat, zapożyczam od Ćapka jego myśli i dzięki ich niewinności czuję się jak nowo narodzony. Gdziekolwiek patrzę po tym jego miasteczku, nigdzie nie widzę zła. For this relief much thanks\*.

Właśnie dlatego, że to taka ulga mieć na chwilę spokój od własnego mózgu, książki, mimo konkurencji telewizji i całej reszty, nadal będą cieszyły się powodzeniem u ludzi, którzy ciężko się napracowali przy łatwej nauce czytania.

Właśnie skończyłem czytać *The Death of Literature*\*\* Alvina Kernana (Yale University Press, 1990). Autor jest emerytowanym profesorem nauk humanistycznych z Princeton, a tytuł swojej książki traktuje wcale poważnie: przytacza tysiące dowodów naukowych, że literatura jest teraz tak sztywna, jak Tutenchamon. Może zresztą ma rację, jeśli literaturę traktuje jako przedmiot, który wykłada się dziś na uniwersytecie, nie narażając się na ataki polityczne. Ale dzieła sztuki raczej rzadko tworzone są z myślą o salach szkolnych. Wyraźną intencją wszystkich rodzajów artystów nieteatralnych jest, by ich dzieła - książki, obrazy, muzyka poważna i tak dalej - stały się mantrami, a więc czymś, co wprawia poszczególnych odbiorców w stan osobistej medytacji. Medytować trzeba w samotności, tak, by każdego, kto pyta medytujących, co odczuwają, lub mówi im, co powinni odczuwać, choćby nie wiem jak czarującego i uczonego, traktowano jak ten szczególny rodzaj plagi, jakim jest kibic brydżowy.

Większość akademickich krytyków literackich

\* Niestety, tej wypowiedzi Francisco z Hamleta (akt I, scena 1; n.p. Barańczak: „Dobrze, że mnie złuzowałeś”) nie da się powiązać z innym, oprócz „zmiana warty”, znaczeniem relief- „ulga”.

\*\* „Śmierć literatury”. wprawia mnie w stan apatii - z wzajemnością. Choć w akademickim teoretyzowaniu o literaturze nie znajduję prawie nic, co mogłoby się przydać czynnemu pisarzowi, prawie nie spotkałem akademickiego badacza literatury, któremu przyszłoby na myśl zapytać pisarza, dlaczego i jak robi to, co robi. To trochę tak, jakby profesor chemii chełpił się, że ignoruje tlen.

No właśnie; niezależnie od tego, co czeka literaturę na salach wykładowych, nieprzeliczone miliony Amerykanów nadal będą medytować nad książkami w doskonale intymnej atmosferze, uciekając, choćby na krótką chwilę, od własnego znużonego umysłu, nie zostawiając po tym ani śladu w formie pracy semestralnej czy oceny.

## CO BERNARD O'HARE MIAŁ DO POWIEDZENIA

### O NASZEJ PRZYJAŹNI NA MOJE SZEŚĆDZIESIĄTE URODZINY

„Pod koniec wojny kumple z wojska kłamliwie

zapewniają się nawzajem, że nie zerwą kontaktu ze sobą. Ale my z Kurtem nie kłamaliśmy; od tego czasu kompletnie nam nie wyszło unikanie się wzajemne.

Jest tak, choć przed wojną łączył nas wyłącznie podobny wiek i to, że obaj paliliśmy za dużo. To, co teraz nas łączy, pochodzi albo z wojny, co niezbyt przyjemne, albo ze starej, bliskiej przyjaźni, a to bardzo miłe.

Poznałem Kurta, gdy Armia wysłała mnie na szkolenie, na którym byliśmy razem w Alabama

Polytechnic Institute, w Auburn w stanie Alabama. Program ASTP był przechowalnią studenterii podczas drugiej wojny światowej. Niestety, nie skończyliśmy szkoły, bowiem przeniesiono nas do piechoty. Tam, ponieważ żaden z nas nie wyznawał się na mapach ani nie orientował się w terenie, zostaliśmy zwiadowcami. To chyba wystarczająco tłumaczy, jak trafiliśmy do niewoli.

Ci, co nas schwytali, powiedzieli: »Dla was wojna się skończyła\* i wysłali nas do Drezna. Mieszkaliśmy w rzeźni. Gdy miasto zaczęli bombardować ludzie, których mieliśmy za naszych, okazało się, że był to najlepszy dom w mieście.

Do Drezna przyjechaliśmy jeszcze raz, po wojnie. Nie sądzę, by którykolwiek z nas spodziewał się, że ono istnieje, ani że w ogóle kiedykolwiek istniało. A jednak, pomimo tego, że szkolono nas na zwiadowców, znaleźliśmy je, choć różniło się ono nieco od znanego nam miastaperły.

Było nam tam źle i za pierwszym, i za drugim pobytem.

Ostatnio nie rozmawiamy wiele o Dreźnie i o wojnie, chyba że ogólnikami. Może dlatego, że gdy jesteśmy razem, za dużo się śmiejemy.

Śmiałyśmy się co chwila, gdy znowu znaleźliśmy się w Dreźnie, ale był to raczej śmiech histeryczny.

Stwierdziliśmy zgodnie, że wciąż czujemy dym i parę innych rzeczy.

Nie zabawiliśmy tam długo.

Potem jechaliśmy do Rosji. Tam też nie zabawiliśmy długo.

W niektórych recenzjach piszą o Kurcie, że specjalizuje się w czarnym humorze. Ci krytycy nie potrafią chyba odróżnić czarnego humoru od Wielkiego Piątku. Nie wiedzą, że to, co czytają, to po prostu reakcja na oszalały świat, pędzący na oślep ku Dreznu do setnej potęgi.

I nie rozumieją jego posłania, w którym błaga, by wszystkie państwa świata kierowały się bardziej Kazaniem na Górze niż naukami tych, co prowadzą świat ku Apokalipsie.

Nic chyba nie można zarzucić człowiekowi, który o tym pisze. A jeżeli to ma być czarny humor, to przydałaby się nam jego epidemia.

Cieszę się, że przeżyliśmy.

Pojechałbym z nim do Drezna jeszcze raz.

Sto lat, Kurt”.

## UWAGI

Zdjęcie na sąsiedniej stronie ukazuje, jak wyglądaliśmy z O'Hare'm pod koniec drugiej wojny w Europie, gdzieś na początku maja 1945 roku. Jesteśmy bardzo głodni, to jest u nas stan chroniczny, od kiedy Niemcy wzięli nas do niewoli pod koniec grudnia 1944 roku. O'Hare i ja to ci dwaj pierwsi od prawej. O'Hare trzyma nogę na ławeczce stojącej na poboczu drogi. Ma na sobie, jak każdy z nas, fragmenty mundurów kilku różnych armii. Ja siedzę z tyłu wozu, z głową opartą o zatylnik. Wszyscy przeżyliśmy bombardowanie Drezna. Zdjęcie zrobił Tom Jones, który drobne czterdzieści pięć lat później przyszedł na mój odczyt w Narodowym Muzeum Lotnictwa i Astronautyki w Waszyngtonie. Odczyt był częścią całej serii, zatytułowanej „Spuścizna bombardowań strategicznych”.

Sytuacja w chwili zrobienia zdjęcia jest następująca: znajdujemy się gdzieś w południowowschodnich Niemczech, niedaleko granicy z Czechosłowacją. Nasi strażnicy wyprowadzili nas z przedmieść Drezna na jakieś pustkowia i nagle zniknęli, pozostawiając nas zupełnie samych na terenie pozbawionym jakiegokolwiek władzy; Armia Czerwona miała tu wkroczyć dopiero za tydzień. Wpadł nam w ręce porzucony przez Wehrmacht wóz z koniem. Dolinę, z której właśnie wyjechaliśmy, opisałem w mojej powieści Sinobrody. Została kompletnie wyczyszczona ze wszystkiego, co nadawało się do jedzenia - zupełnie jakby spadła na nią plaga szarańczy - przez takich jak my zwolnionych jeńców, przez więźniów, szaleńców, ofiary obozów koncentracyjnych, ludzi wysłanych do Niemiec na roboty i uzbrojonych żołnierzy niemieckich. Mamy nadzieję, że uda się nam dotrzeć do wojsk amerykańskich, żebyśmy mogli się najeść, a potem wrócić do domu. Ale wojska amerykańskie są na zachodnim brzegu Łaby, a to kawał drogi.

Właścicielem aparatu fotograficznego, którym zrobiono to zdjęcie, jest Bili Burns, obecnie emerytowany dyrektor radia z Kentucky. Stoi tuż obok O'Hare'a na pierwszym planie, i też trzyma nogę na ławeczce. Aparat znalazł w rowie wśród porzuconych przez hitlerowców proporców, broni i tak dalej. W aparacie była rolka nie naświetlonego filmu. Facet na kozle, obok tego czegoś, co ma udawać flagę amerykańską, to Dick Coyle - uczy teraz w szkole średniej i trenuje drużynę footballową w Ohio. Ten, który gra na organkach, Jim Donnini, jest emerytowanym przedsiębiorcą budowlanym na Florydzie. Ten w berecie angielskiego spadochroniarza, na lewo od gwiazdy amerykańskiej, wymalowanej na boku wozu, to Dale Watson. Za kozłem, w pozycji, jakby za chwilę miał osłonić sobie ręką oczy od słońca, siedzi Dick Crews. Nie wiem, co się stało z Watsonem i Crewsem, więc nie mam stuprocentowej pewności, że z tej ósemki pierwszy zmarł O'Hare. Jestem za to pewny, że nie pozwalibyśmy do tego zdjęcia wtedy, w maju, gdyby nie odwaga i poświęcenie prostych ludzi ze Związku Radzieckiego. To oni walczyli najkrwawiej, to oni cierpieli najwięcej, to oni złamali kark największej części hitlerowskiej maszyny wojennej.

Najwyższy czas, by i u nas, w kraju o ileż szczęśliwszym, wznieść choćby jeden pomnik ku czci tych prostych ludzi. W całej swej historii nie zaznali oni wiele poza niedostatkiem i tyranią, a teraz im oraz ich dzieciom zagraża głód.

(Swoją drogą O'Hare'owi pomyliło się, gdzie się poznaliśmy. O istnieniu Alabama Polytechnic Institute dowiedziałem się dopiero z tego, co wpisał do książki pamiątkowej na moje urodziny. Teraz nie ma go już między nami, a podobno o zmarłych nie wolno mówić źle. Człowiek tylko zastanawia się, czy jeszcze czegoś nie pokręcił).

## Z „PRZEWODNIKA BOMBARDIERA”

(PRZEGLĄD ZNACZENIA GOSPODARCZEGO  
MIAST NIEMIECKICH, 1944)

Drezno (Saksonia)

51°3' szer. geogr. pn. 13°45' dł. geogr. wsch. 960 km (640000)

Drezno, stolica Saksonii, położona po obu brzegach rzeki Łaby, ok. 110 m n.p.m. Większa część lewobrzeżna, wokół starego miasta (Altstadt) mieści ośrodek handlowy, dzielnice mieszkaniowe i urzędy administracji państwowej; na południowych przedmieściach nieliczne zakłady przemysłowe. Prawobrzeżne Neustadt i jego przedmieścia to tereny przemysłowoadministracyjne.

W czasie pokoju znaczną część przemysłu Drezna stanowiła produkcja tytoniu, czekolady i słodyczy; obecnie również znaczna liczba zakładów przemysłu lekkiego i maszynowego, prowadzących produkcję wojenną, ale większość z nich jest zbyt mała, by zasługiwać na odrębną wzmiankę. Kilka najważniejszych zakładów produkuje silniki elektryczne, instrumenty precyzyjne i optyczne oraz artykuły chemiczne.

Wytwórnice amunicji w starym arsenale na północ od Neustadt zajmują rozległą powierzchnię wzdłuż linii kolejowej do Klotsche na terenach przemysłowych, ciągnących się obok lotniska do Dresdner Heide. Ustalono, że na nieużytkach Heide przechowywane są znaczne ilości amunicji.

Drezno jest ważnym węzłem kolejowym. Przecinają się tu najważniejsze połączenia między Niemcami Pd. a Wsch. z bezpośrednią linią Berlin-

-Praga-Wiedeń; rozgałęzienia do Lipska i innych regionów przemysłowych Saksonii. Pewne znaczenia dla żeglugi towarowej na Łabie ma tutaj port rzeczny.

Na południowy zachód od Drezna, w dolinie rzeki Weisseritz, znajduje się przemysłowe miasto Freital (zob. Freital) oraz niewielkie zagłębienie węgla kamiennego, zaopatrujące przemysł lekki Drezna.

Na północnym brzegu Łaby, pomiędzy Dreznem a Miśnią, znajduje się kilka ośrodków przemysłowych, leżących poza granicami miasta. Zostały one opisane oddzielnie (zob. Radebeul, Cóswwig pod Dreznem, Miśnia).

## **UWAGI**

Stroniczka ta pochodzi z takiej jakby małej encyklopedii, w którą wyposażone były amerykańskie i brytyjskie bombowce. Dzięki temu brykowi załogi mogły same wybierać sobie cele zastępcze, jeżeli nie udało im się zrzucić bomb na to, co zaplanowano. Cytuję go tutaj, by udowodnić, że nawet według naszego wywiadu w okolicy Drezna nie istniało wtedy nic, co warto by zrównać z ziemią. A więc spalenie całego miasta nie było przedsięwzięciem militarnym, ale religijnym, wagnerowskim, teatralnym - i jako takie powinno się je oceniać.

**TEKST MSZY ŻAŁOBNEJ, WPROWADZONEJ  
PRZEZ PAPIEŻA PIUSA V ŚWIĘTEGO DEKRETEM  
SOBORU TRYDENCKIEGO W ROKU 1570.**

Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie,  
a światłość wiekuista niechaj im świeci.

Ciebie, Boże, należy wielbić na Syjonie,  
Tobie dopełnić ślubów w Jeruzalem.

Wysłuchaj moją modlitwę,  
do Ciebie przyjdzie każdy człowiek.

Panie, zmiłuj się nad nami.

Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie,  
a światłość wiekuista niechaj im świeci.

W gniewu dzień, w tę pomsty chwilę,  
Świat w popielnym legnie pyle:

Zważ Dawida i Sybillę.

Jakiż będzie płacz i łkanie,  
Gdy dzieł naszych sędzia stanie,

Odpowiedzieć każąc za nie.

Trąba groźnym zagrzmi tonem  
Nad grobami śpiących zgonem,  
Wszystkich stawi nas przed tronem.

Śmierć z naturą się zadziwi,

Gdy umarli wstaną żywi,

Win brzemieniem nieszczęśliwi.

Księgi się otworzą karty,

Gdzie spis grzechów jest zawarty,

Za co świat karania wart.

Kiedy Sędzia więc zasiędzie,

Wszystko tajne jawnym będzie,

Gniewu dłoń dosięże wszędzie.

Cóż mam nędzarz, ku obronie

Czyją pieczę się zasłonię

Gdy i święty zadrży w łonie?

Królu, w grozie swej bezmierny

Zbawisz z łaski lud Twój wierny,

Zbaw mnie, zdroju miłosierny.

Racz pamiętać, Jezu drogi,

Żeś wziął dla mnie żywot srogi,

Nie gub mnie w dzień straszny trwogi.

Długość szukał mnie znudzony,

Zbawił krzyżem umęczony,

Niech ten trud nie będzie płonny.

Sędzio pomsty sprawiedliwy,

Bądź mym grzechom miłościwy,

Zanim przyjdzie sąd straszliwy.

Jęczę pomnąc grzechów morze,  
Wstydem me oblicze gorze,  
Zebrzącemu przebac, Boże.  
Ty, co Marii grzech zmasałeś,  
Łotra modłów wysłuchałeś,  
I mnie też nadzieję dałeś.  
Choć niegodne me błaganie,  
Nie daj mi dobroci Panie  
W ognia wieczne wpaść otchłanie.  
Między owce Twe wliczony  
I od kozłów odłączony  
Daj, niech z prawej stanę strony.  
Opłakany dzień nastanie,  
Gdy z popiołów zmartwychwstanie,  
Grzesznik na Twój sąd straszliwy.  
Gdy odtrącisz potępionych  
Srogim żarom przeznaczonych,  
Weź mnie do błogosławionych.  
Błagam z czołem pochylonym,  
Z sercem z żalu w proch skruszonym,  
Pieczę miej nad moim zgonem.  
Opłakany dzień nastanie,  
Gdy z popiołów zmartwychwstanie,  
Grzesznik na Twój sąd straszliwy.  
Bądź mu, Boże, miłościwy!

Dobry Jezu a nasz Panie,  
Daj im wieczne spoczywanie. Amen.  
Panie Jezu Chryste, Królu chwały,  
zachowaj dusze wszystkich wiernych zmarłych  
od kar piekielnych i od głębokiej czeluści.  
Wybaw je z lwiej paszczy,  
niech nie pochłonie ich piekło,  
niech nie wpadają w ciemności,  
lecz niech święty Michał Archanioł  
wprowadzi je do wiecznego światła,

które niegdyś obiecałeś Abrahamowi i jego potomstwu. Składamy Ci, Panie, ofiarę i modlitwę  
uwielbienia, przyjmij je za dusze, które dzisiaj wspominamy. Spraw, o Panie, niech przejdą ze  
śmierci do życia.

Święty, Święty, Święty, Pan Bóg Zastępów  
Pełne są niebiosa i ziemia chwały Twojej  
Hosanna na wysokości.  
Błogosławiony, który idzie w imię Pańskie.  
Hosanna na wysokości.  
W gniewu dzień, w tę pomsty chwilę,  
Świat w popielnym legnie pyle.



Zważ Dawida i Sybillę.

Wysłuchaj moją modlitwę,  
do Ciebie przyjdzie każdy człowiek.

Miłosierny Jezu, który gładzisz grzechy świata, wieczny odpoczynek racz im dać, Panie.

Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata,  
wieczny odpoczynek racz im dać, Panie.

Światłość wiekuista niechaj im świeci,

O Panie, wśród świętych Twoich na wieki, bo jesteś pełen dobroci.

Wybaw mnie, Panie, od śmierci wiecznej w ów dzień straszliwy, kiedy poruszone będą niebo i  
ziemia, gdy przyjdiesz sądzić świat przez ogień.

Drzę i boję się na myśl o czekającym sądzie i przy szłym gniewie.

Wysłuchaj moją modlitwę.

Wybaw mnie, Panie, od śmierci wiecznej.

Dzień ów, dzień gniewu, klęski i nieszczęścia.

Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie,  
a światłość wiekuista niechaj im świeci.

## MSZA ŻAŁOBNA WPROWADZONA PRZEZE MNIĘ W ROKU 1985

Wieczny odpoczynek racz im dać. Kosmosie,  
a żadne światło niech nie zakłóca im snu.

Niczym dla Ciebie, o pędzące Głazy, nasze uwiel-  
bienie

Ani ślub niespełniony

We śnie o Jeruzalem.

A jednak modłę się:

To z Ciebie wyszedł każdy człowiek;

Czasie, zmiłuj się nad nami.

Żywioły, zmiłujcie się nad nami.

Wieczny odpoczynek racz im dać, Kosmosie,  
a żadne światło niech nie zakłóca im snu.

W gniewu dzień, w tę pomsty chwilę,

Świat w popielnym spalim pyle:

Zważ na armie i flotyllę.

Po cóż płacz i po cóż łkanie,

Cóż, że grzechów sędzia stanie?

Nikt mu nie odpowie za nie.

Trąba niech nie zagrzmi tonem

Nad grobami śpiących zgonem,

Niech nie stawia nas przed tronem.

Niechaj prochy pozostaną

Pośród prochów, niech zostaną

W ziemi, choćby ich wołano.

Po cóż w księgi patrzeć karty,

Gdzie spis grzechów jest zawarty?

Czy jest proch karania warty?  
Kiedy sędzia więc zasiędzie,  
Niech zrozumie, że w obłędzie  
Świat pokarał grzechem wszędzie.  
Śmierć z Naturą niech się dziwi,  
Że umarli śpią, nieżywi,  
Gdy ich wzywa sędzia mściwy.  
Cóż mam, nędzarz, ku obronie  
Czyją pieczę się zasłonię  
Gdy i święty zadrży w łonie,  
Kiedy wokół wojna płonie?  
Tworze, w grozie swej bezmierny  
snu, czuwania dawco bierny  
Zbaw mnie, zdroju miłosierny.  
Ty, co ciałem grasz śmiertelnym,  
Mej wędrówki cel naczelny,  
Niechaj kości w dzień piekielny.  
Mój szalony, kochający  
Brat chciał zbawić mnie cierpiący  
Czy na darmo ból piekący?  
Jęczę pomnąc grzechów morze,  
Wstydem me oblicze gorze,  
Skróć czuwanie moje, Tworze.  
Ty, co Marii nie przekląłeś,  
ani jej nie wybaczyłeś,  
I mnie też nadzieję dałeś.  
Choć żeś głuchy na błaganie,  
Nie daj, obojętny Panie  
W jakieś ognia wpaść otchłanie.  
Między owce Twe wliczony  
oraz kozły, niech złączony  
Proch nasz leży, spopielony.  
Kto chciał widzieć złych karanie,  
spotka go rozczarowanie,  
bo z popiołów nikt nie wstanie.  
Gdy skażesz oszołomionych,  
na wstyd ciężki przeznaczonych,  
Weź mnie do błogosławionych.  
Kto chciał widzieć złych karanie,  
spotka go rozczarowanie,  
Bo z popiołów nikt nie wstanie.  
Bądź im, Tworze, miłościwy!  
Czasie i Żywioty,  
Dajcie im spoczywanie. Amen.  
O Kosmosie, w grozie swej bezmierny

zachowaj bez wyjątku dusze wszystkich zmarłych od kar piekielnych i od głębokiej czeluści.

Wybaw je z lwiej paszczy,

niech nie pochłonie ich piekło,

niech tylko wpadną w ciemność, cichą a słodką. Nie zaślepiaj ich światłem, obiecany niegdyś

we śnie Abrahamowi i jego potomstwu.

Od tysiącleci składamy Ci, Kosmosie, ofiarę i modlitwę uwielbienia;

Wynagrodź je nam swą obojętnością względem pośmiertnego bytu  
dusz, które dzisiaj wspominamy.

Dość cieszyliśmy się za życia!

Spraw, niech przejdą ze śmierci do snu.

Święty, święty, święty, Czas i Żywioły,

Pełne są niebiosa i ziemia Ich chwałą.

Hosanna na wysokości.

Skruszony i zadziwiony, który zaznał życia!

Hosanna na wysokości.

W gniewu dzień, w tę pomsty chwilę,

Świat w popielnym spalim pyle:

Zważ na armie i flotyllę.

Więc modłę się do Ciebie,

bo z Ciebie wyszedł każdy człowiek;

Miłosierny Czasie, który gładzisz grzechy świata, daj im spoczywanie.

Miłosierne Żywioły, z których można zbudować

nowy świat, żyzny, zielonobłękitny,

dajcie im wieczne spoczywanie.

Światłość wiekuista niechaj nie zakłóca im snu, O Kosmosie, bo jesteś pełen dobroci.

Wybaw mnie, Kosmosie, od wiecznego czuwania

w ów dzień straszliwy, kiedy poruszone będą niebo

i ziemia,

gdy na popielny pył spalimy nasz świat,

do czego gotujemy armie i flotyllę

w imię nieznanых bogów.

Drzę i boję się na myśl o czekającym sądzie i przyszłym gniewie.

Wysłuchaj moją modlitwę.

Wybaw mnie, Kosmosie, od wiecznego czuwania

w ów dzień gniewu, klęski i nieszczęścia:

Wieczny odpoczynek racz im dać, Kosmosie,

a światłość wiekuista

niech nie zakłóca snu sprawiedliwych.

# ŁACIŃSKI PRZEKŁAD MOJEJ MSZY

AUTORSTWA JOHNA F. COLLINSA

Requiem aeternam dona eis, Munde,  
neve lux somnum perturbet eorum.  
Nihili vobis hymnus, Lapides volantes,  
nihili votum irritum  
in somnis in Jerusalem.

Attamen oro:

a te omnis caro venit.

Chrono, eleison.

Stoecho, eleisate.

Requiem aeternam dona eis, Munde,  
neve lux somnum perturbet eorum.

In die irae, in die illa,  
solvemus saeculum in favilla,  
testimonio nostris telis, factis in bella  
in nominibus deorum ignorabilium.

Ne favilla contremiscat,  
etsi aliquis Judex sit venturus,  
cuncta tamquam stricte discussurus!

Nulla tuba, mirum spargens sonum  
per sepulcra regionum,  
cogat favillam ante ullum Thronum.

Favilla permaneat favilla,  
quamquam vocata cum terrore accedere,  
sicut in vita, ad aliquem Judicem vel Thronum.

Liber scriptus proferendus est  
in quo totum continetur,  
unde favilla judicetur?

Tunc, cum aliquis Judex sedebit  
et quidquid latet apparebit,  
is intelligat quod nil inultum remanserit.

Mors et Natura dicant quidlibet,  
cum favilla ut favilla dormiat  
jussa se excusare alicui Judici.

Quid sum miser tunc dicturus?

Quem patronum rogaturus,  
cum etiam justus sint damnatus  
bellis in nominibus deorum ignorabilium?

Factura tremendae majestatis,  
dator somni vel vigiliae,  
tu fons fortuiti doloris vel pietatis,  
dona mihi somnum innocentem.

Aleator carne

tu es causa meae viae:

ne iterum jacias talos in illa die.

Frater meus, qui temere me amavit  
me redimere conatus est crucem passus:  
tantus labor non sit cassus.

Ingemisco tamquam reus;  
culpa rubet vultus meus:  
supplicantem serva plure talis vigiliae.

Qui nec Mariam et latronem in cruce damnavisti  
nec eis dimisisti  
mihi quoque spem dedisti.

Preces meae non sunt auditaе,  
sed sublimi negligentia efficies  
ut perenni non cremer ullo igne.

Inter oves locum mihi praesta  
atque haedos, nullos nullis separando,  
relinquendo nostram favillam ubi cadet permixtam.

Ridiculosae frustrationis erit dies illa  
sperantibus videre resurgentes ex favilla  
reos judicandos.

Confutatis litigiosis,  
ridiculosae frustrationi addictis,  
numera me in delectatis.

Ridiculosae frustrationis erit dies illa  
qua resurget ex favilla  
judicandus - nec vir nec mulier nec natus - nemo reus.

Vos confido eis parcere, Lapides,  
Tempus, Elementa.

Donate eis requiem. Amen.

Munde, factura tremendae majestatis,  
libera animas omnium ad unum defunctorum  
de poenis inferni et de profundo lacu;

libera eas de ore leonis,  
ne absorbeat eas tartarus,

ut pianę cadant in obscurum tranquillum et suave. Noli caecare eas luce promissa in somnis  
Abrahae et semini ejus.

Hostias et preces tibi, Munde,  
laudis obtulimus in milia annorum.

Dona nos tua perpetua negligentia factorum,  
quae sunt trans mortem, earum animarum quas  
hodie commemoramus.

Vita satis erat ludil

Fac eas de morte transire ad somnum.

Sanctum, sanctum, sanctum, Tempus, et Elementa; pleni sunt caeli et terra gloria vestra.

Hosanna in excelsis.

Humiliati et stupefacti ille et illa, qui vitam experti sunt. Hosanna in excelsis.

In die irae, in die illa,  
solvemus saeculum in favilla,  
testimonio nostris telis, factis in bella  
in nominibus deorum ignorabilium.

Sid ad te precor,  
a quo omnis caro venit.

Pium Tempus, quod sepelis peccata mundi,  
dona eis requiem.

Pia Elementa, a quibus novus aedificari potest  
mundus,

humidus caeruleus fertilis,  
donate eis requiem sempiternam.

Ne lux perpetua somnum perturbet eorum, Munde,  
quia pius es.

Libera me, Munde, de vigilia aeterna  
in illa die tremenda quando caeli movendi sunt et terra,  
dum solvemus saeculum in favilla  
in nominibus deorum ignorabilium.

Tremens factus sum ego, et timeo,  
dum discussio venerit atque ventura ira.

Itaque oro.

Libera me, Munde, de vigilia aeterna  
in illa die irae, calamitatis, et miseriae.

Requiem aeternam dona eis, Munde,  
neve lux perpetua somnum innocentem perturbet eorum.

**NIGDZIE DOTĄD NIE PUBLIKOWANY ESEJ,  
KTÓRY NAPISAŁEM PO PRZECZYTANIU  
„SZCZOTEK” WYBORU NAJLEPSZYCH WIERSZY  
I KRÓTKIEJ PROZY LUDZI PRZEBYWAJĄCYCH  
(DAWNIEJ LUB OBECNIE) W DOMACH DLA  
CHORYCH UMYSŁOWO**

Bywało kiedyś tak, że urzędnicy, jeżeli mieli na to ochotę, mogli zawieszać nad swoimi biurkami śmieszne a nawet bezczelne napisy, które kupowano w sklepikach z tak zwanymi „dzindzibołami”. Pamiętam jedną z tych złotych myśli:

**ŻEBY TU PRACOWAĆ, NIE TRZEBA MIEĆ ŻŁE W GŁOWIE, ALE TO POMAGA.**

Taki żartprefabrykat zobaczyłem chyba w sklepie z artykułami żelaznymi Vonneguta w Indianapolis, gdzie kiedyś pracowałem w lecie, żeby mieć na ubranie, randki i etylinę. Sklep należał do innej gałęzi naszej rodziny.

I wtedy, i teraz uważa się powszechnie, że ktoś, kto robi coś bardzo nowego w sztuce, musi być stuknięty. Czy można uznać za zdrowego na umyśle kogoś, kto myśli aż tak dziwnie? Za czasów dzieciństwa mojego ojca uważano, że istnieje powiązanie między gruźlicą a geniuszem, bo tylu słynnych artystów na nią chorowało. Podobnie przydatne miały być pierwsze stadia kiły. A E.B. White, nieżyjący już pisarz i wspaniały redaktor The New Yorkera, powiedział mi kiedyś, że nie zna ani jednego dobrego pisarza, który nie popadłby w alkoholizm. A teraz jeszcze, jakbyśmy potrzebowali więcej dowodów na to, że artystom wychodzą na dobre wszelkie choroby, mamy tu ten pierwszy tom doskonałych utworów napisanych przez osoby chore umysłowo, niektóre wyleczone, niektóre nie, niektóre już zmarłe - ale nie sławne.

Dla mnie jednak - a pracuję w branży pisarskiej już tyle lat - książka ta dowodzi tylko dwóch rzeczy: po pierwsze, że dobrego pisarstwa mamy więcej, niż da się wydać drukiem, i po drugie, że ludzie utalentowani myślą inaczej, niż milcząca większość, ponieważ zostali - lub uważają, że zostali - zepchnięci na margines całości społeczeństwa. Zamykanie niektórych z nas w szpitalach psychiatrycznych jest po prostu jednym z niezliczonych, a trwających nieprzerwanie procesów spychania na margines. Na margines może człowieka zepchnąć gruźlica, kiła, wyrok, przynależność do pogardzanej rasy czy partii, zły wygląd albo obrzydliwa osobowość -• i to równie skutecznie, jak wyszukane załamanie nerwowe.

Ale nie wystarczy być zepchniętym - lub czuć się zepchniętym - na margines, by zostać twórcą. Do tego trzeba jeszcze talentu, czego nie można odmówić autorom przedstawianych tu prac. Pisania uczyłem już w życiu w najróżniejszych szkołach, od Harvardu po prywatną szkołę specjalną dla nastolatków. I dochodzę do wniosku, że procent osób uzdolnionych literacko w dowolnej grupie jest prawie zawsze taki sam. Dlatego zdziwiłbym się, gdyby ten procent, zresztą zawsze niewielki, był wyższy - lub niższy - w szpitalu psychiatrycznym.

Jeszcze raz: źródłem inspiracji jest nie choroba, a rzeczywiste lub urojone zepchnięcie na margines. Natomiast nie zdziwiłbym się wcale, gdyby okazało się, że utalentowani ludzie, zepchnięci na margines z powodu swej choroby umysłowej, tworzą więcej wartościowych dzieł sztuki niż ci, których na margines zepchnięto z innych powodów. To pasuje, bo nikt nie odczuwa tak mocno i przerażająco odcięcia od reszty społeczeństwa, jak oni. My, ta reszta, robimy z nich mistrzów świata samotności.

Zacytuję poetę Krisa Kristoffersona: „Wolność to znaczy nie mieć nic do stracenia”. Na tym właśnie polega korzyść, jaką osobie utalentowanej daje zepchnięcie na margines. Ktoś, kto nie ma nic do stracenia, uwalnia się od własnych myśli, bo nic mu już nie da powtarzanie myśli innych.

Beznadzieja jest matką Oryginalności.

A jak dowodzi wybór, o którym mowa, trzy piękne córki Oryginalności, wnuczki Beznadziei, to Nadzieja, Wdzięczność Innych i Niezachwiane Poczucie Własnej Godności.



## MOJA ODPOWIEŹ NA LIST

DZIEKANA KAPLICY UNIWERSYTECKIEJ  
TRANSYLVANIA UNIVERSITY  
BĘDĄCY REAKCJĄ NA PRZEMÓWIENIE, KTÓRE  
TAM WYGŁOSIŁEM.

Szanowny Panie Dziekanie!

Nasz wspólny przyjaciel Ollie przesłał mi kopię Pańskiego listu, napisanego tuż po moim odczycie na Transylvania University.

Jestem czwartego pokolenia Amerykaninem pochodzenia niemieckiego i sceptykiem religijnym („wolnomyślicielem”). Podobnie jak moi purytańscy w zasadzie przodkowie, wierzę, że Boga nie da się poznać, a więc nie można mu służyć, zatem najpiękniejszą służbą jest służba własnej społeczności, której potrzeby są widoczne i oczywiste. Wierzę, że sprawiedliwe życie trywializują te metody bata i marchewki, jakimi są obietnice wysoce nieprawdopodobnej nagrody lub kary w wysoce nieprawdopodobnym życiu przyszłym. (Przy okazji: za czasów Henryka VIII karą za fałszerstwo było publiczne gotowanie żywcem). Biblia to przydatny punkt wyjścia w dyskusjach z Amerykanami, których się nie zna, bo tak wielu z nas coś tam o niej wie. A jeszcze pisali do niej geniusze, przynajmniej dwaj - Mojżesz i Chrystus.

Właśnie Jezus jest dla mnie szczególnie istotny, zauważył on bowiem coś, co i ja dostrzegam: życie jest tak ciężkie, że większość ludzkości albo jest, albo czuje się przegrana. Stąd, jeżeli chcemy zachować choć odrobinę godności, najważniejsza dla prawie wszystkich z nas jest umiejętność przegrywania z honorem. Według mnie tego właśnie nauczył nas, gdy go krzyżowano, niezależnie, czy sam był Bogiem, czy nie. Zresztą, jeżeli nie był, to ani jako pierwszy, ani jako ostatni człowiek nauczał tego własnym przykładem, cierpiąc niewysłowione męki.

Jeśli zaś chodzi o oficjalną naukę chrześcijaństwa, jestem za. Jak pan widział na własne oczy, sam ją głoszę; głosiłem ją już, za darmo, na waszym uniwersytecie, w Bagdadzie, w nowojorskim metrze, w katedrze Św. Jana Bożego i w kościele Św. Klemensa. Moje kazanie z kościoła Św. Klemensa można znaleźć na końcu mojej książki Niedziela palmowa, razem z przemówieniem, jakie wygłosiłem na pogrzebie Lavinii Lyon.

Natomiast nie znoszę kazań, w których głosi się, że wiarą w boskość Jezusa można coś w y g r a ć. Z braterskim pozdrowieniem.

Koniec

# Spis treści

<a href="#">Przedmowa.</a>	3
<a href="#">I.</a>	4
<a href="#">II.</a>	8
<a href="#">III.</a>	13
<a href="#">IV..</a>	20
<a href="#">V..</a>	22
<a href="#">VI.</a>	30
<a href="#">VII.</a>	32
<a href="#">VIII.</a>	35
<a href="#">IX..</a>	38
<a href="#">X..</a>	41
<a href="#">XI.</a>	49
<a href="#">XII.</a>	55
<a href="#">XIII.</a>	57
<a href="#">XIV..</a>	61
<a href="#">XV..</a>	66
<a href="#">XVI.</a>	73
<a href="#">XVII.</a>	79
<a href="#">XVIII.</a>	83
<a href="#">XIX..</a>	86
<a href="#">XX..</a>	92
<a href="#">XXI.</a>	94
<a href="#">RÓWNOCZEŚNIE POSŁOWIE DO NOWEGO..</a>	96
<a href="#">UWAGI.</a>	98
<a href="#">KAREL ČAPEK, „O LITERATURZE”, ZE ZBIORU..</a>	99
<a href="#">UWAGI.</a>	100
<a href="#">CO BERNARD O’HARE MIAŁ DO POWIEDZENIA..</a>	101
<a href="#">UWAGI.</a>	102
<a href="#">Z „PRZEWODNIKA BOMBARDIERA”.</a>	103
<a href="#">UWAGI.</a>	104
<a href="#">TEKST MSZY ŻAŁOBNEJ, WPROWADZONEJ.</a>	104
<a href="#">ŁACIŃSKI PRZEKŁAD MOJEJ MSZY..</a>	108
<a href="#">NIGDZIE DOTĄD NIE PUBLIKOWANY ESEJ,</a>	111
<a href="#">MOJA ODPOWIEDŹ NA LIST.</a>	112